

3

SKARPA

KWARTALNIK LITERACKI

REVISTA POLONÊSA «SKARPA»



A N O II — JULHO - DEZEMBRO — 1965

N.º 4-5

União Química Paulista S. A.

S Ã O P A U L O

Escritório: Rua Alvaro de Carvalho, 118, conj. 503/4

Tel.: 36-4532

Fábrica e Depósito: Rua Domingos Paiva, N.º 332 —

Tel.: 92-1919

Enderêço Telegr.: “ A N I L I C Q U A ”

DISTRIBUIDORES EXCLUSIVOS DE:

**Anilinas e auxiliares p/indústrias: textil, couro e
papel de**

E. I. DU PONT DE NEMOURS & CO., U.S.A.

“LATYL”, “DEKATYL”, “PONSOL”, “SULFANTHRENE”,

“LEUCOSOL”, “PONTAMINE”, “PONTACHROME”,

“CHROMACYL”, “CAPRACYL” ETC.

ARIDEX, AVITONE, AVITEX, ALKANOL, DUPONOL,

ZELCON, ZESET, ZELEC, ZELAN ETC.

REPRESENTANTES PARA O BRASIL DE

INDUSTRIE CHIMICHE BARZAGHI - UFA, Italia

Produtos p/ acabamento Textil e Indústria Petro-

lífera na base de resina e celulose

SOLIDINA, GELOGUM, etc.

CHEMISCHE FABRIK RUDOLF & CO., Alemanha

Especialidades p/ beneficiamento de fibras em geral

R U C O N E T Z E R etc.

9. Tubochem

Revista Polonêsa "SKARPA"

ANO II N.º 4/5 — JULHO - DEZEMBRO — 1965

DIRETOR RESPONSÁVEL: Sylvia da Fonseca.

Redator: Seweryn A. Hartman.

Editada: pela Revista Polonêsa "Skarpa".

Redação: Rua Barão de Itapetininga, 221 s. 1203 f. 35-55-84
Caixa Postal. 30.750 — São Paulo - Brasil.

Assinaturas: Cr\$2.000 anuais (4 números)

Para o exterior: US \$ 3.00.

Número avulso: Cr\$ 600.

Composto e impresso na "Gráfica Vicentina Ltda".

Alameda Cabral, 846 — Curitiba - Paraná.

MARIA DĄBROWSKA

Dobiegający końca rok 1965 zaznaczył się zgaśnięciem największej gwiazdy na firmamencie literatury polskiej. W maju tego roku zmarła Maria Dąbrowska.

Nie sposób wyrazić czym była dla nas wszystkich w kraju i poza krajem ta drobna kobieta o łagodnej twarzy i krótkich po chłopięcemu obciętych włosach. Była ona wcieleniem nie tylko genialnego talentu, tą, która z rąk Reymonta i Żeromskiego przejęła pałeczkę sztafety, lecz przede wszystkim człowiekiem. Jej prawość, nieprzekupność, obywatelskie sumienie, nie oglądanie się za łaskami możliwych tego świata, sprawiły, że szanowaliśmy w niej autorytet moralny, jakim nie może się poszczycić w naszym wieku żaden pisarz polski.

Tworzyć zaczęła Maria Dąbrowska dość późno. Debiut Jej "Uśmiech dzieciństwa" przypada na r. 1923, kiedy miała już 34 lata. Ta książka, za którą w r. 1925 przyznano jej nagrodę Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, zbiór dwunastu opowiadań, te wspomnienia lat dziecięcych, to wstęp jak gdyby do ogłoszonych znacznie później "Dni i nocy". Już w tych pierwszych opowiadaniach zarysowały się cechy stylu Dąbrowskiej — prostota, umiar, celność określeń, oszczędność słowa, obrazowość.

Następnym utworem były opowiadania zawarte w tomie: "Ludzie stamtąd", stanowiące relację o doli wyrobników wiejskich. Zarówno krytyka, jak i czytelnicy ocenili "Ludzi stamtąd" bardzo wysoko. Mimo, iż jest w tej książce znacznie więcej smutnych, niż pogodnych obrazów, odkłada się ją po przeczytaniu z jakąś otuchą tyle tam prawdziwie macierzyńskiego podejścia do spraw ludzkich i wiary w przyszłość.

Potem już przyszły "Dnie i noce", wielka epopeja, najwspanialsze dzieło literackie międzywojnia i okresu powojennego.

Powiadają, że "Dnie i noce" wywodzą się z tego samego źródła co "Saga rodu Forsythów" Galsworthiego. Jest to, niewątpliwie ten sam rodzaj literacki, ale przewyższa pierwowzór głębią psychologiczną postaci, prostotą narracji, zwłaszcza zaś przemyśleniami światopoglądowymi i rozumieniem zjawisk życia.

wych. Choć utwór ten traktuje o losach rodziny ziemiańskiej każdy — bez względu na pochodzenie społeczne — może się w nim doszukać własnych losów. Cierpienie, miłość i radość, tak jak je pokazuje Maria Dąbrowska, są bowiem uczuciami wspólnymi nam wszystkim.

Za "Dnie i noc" otrzymała Dąbrowska w r. 1933 Nagrodę Państwową. Po tej wielkiej epopei wydała przed wojną w r. 1937 zbiór wystąpień publicystycznych pt.: "Rozdroże", aby następnie zamilknąć na cały okres wojenny. Po wojnie pracowała dłuższy czas nad przekładami (wymieńmy tu mistrzowskie tłumaczenie dziennika Samuela Pepysa) i napisała dramat historyczny "Stanisław i Bogumił" bez większego zresztą znaczenia. Zdawało się, że jej talent pisarski wygaś, gdy ukazanie się tomu opowiadań "Gwiazda zaranna" dowiodło jak błędne było podobne mniemanie. Takie opowiadania jak "Trzecia jesień" i "Na wsi wesele" to arcydzieła, którym równych mało się znajdzie w literaturze światowej.

Wydała jeszcze Dąbrowska pierwszą część powieści "Przygody człowieka myślącego", która stanowi dalszy ciąg losów bohaterów "Dni i nocy". Przed śmiercią pracowała nad częścią drugą tego utworu.

Umarła mając lat 76, ale dusza jej była wiecznie młodzięca. Do końca życia interesowała się żywo postępami nauki, zagadnieniami społecznymi, losem ludzi na tej naszej skłóconej planecie. Złożono do grobu zużytą powłokę cielesną, ale dzieło jej pozostanie nieśmiertelne jak długo istnieć będzie mowa polska.

Seweryn A. Hartman

Korzystajcie z usług

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne.

W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad "COEXCO":

Niezawodny termin

Stała, niezmienna cena

Własne tereny

Staranne wykończenie

Sprzedaż na raty

Companhia para expansão da construção 'COEXCO'

São Paulo, Rua São Bento, 279 — 12 piętro — Tel.: 30-4737

APOSTOŁ Z LAMBARENE

W samym sercu Afryki, w jednym z osiedli murzyńskich nad rzeką Ogowe, w dzisiejszej republice Gabon (byłej kolonii francuskiej), zakończył swój długi, bo dziewięćdziesięcioletni, mozolny, ale jakże bogaty i szczęśliwy żywot — niezwykły człowiek. Nazwisko jego: Albert Schweitzer. Gdy czytamy wspomnienia poświęcone jego osobie i działalności, aż dziw bierze ile w tym skromnym i dobrodusznym pustelniku łączyło się upodobań, talentów i powołań. Duchowny ewangelicki, teolog, filozof, lekarz, misjonarz, pisarz — laureat nagrody literackiej im. Goethego, organista — wirtuoz, muzykolog, nieustrudzony krzewiciel pacyfizmu i antyrasizmu, wyróżniony nagrodą pokojową Nobla, szeregiem honorowych doktoratów, obywatelstw oraz niezliczonymi odznakami i orderami.

A tak mało był znany wśród szerszych mas. Przydarzyło mu się kiedyś w podróży pociągiem między Nowym Jorkiem a Kalifornią, że pani, której pomógł w ułożeniu walizek na półce, podziękowała mu rozrzuwiona: How nice. Mr. Einstein!

Nie zdziwił się. Tę częstą zresztą pomyłkę powodowało ogromne podobieństwo do imiennika jego, nie mniej sławnego profesora Einsteina. Ta sama aureola rozwichrzonych włosów, te same długie, zwisające wąsy, ten sam dobrotliwy uśmiech oraz charakterystyczna dla obu uczonych — niedbałość w ubiorze.

Wiadomość o obecności tak znakomitego pasażera rozeszła się błyskawicą po pozostałych wagonach. I gdy Albert Schweitzer zamierzał wysiąść na jednej ze stacji w Colorado obstarpił go natychmiast podróżni, prosząc, chórem o autograf. "Einstein" uśmiechając się zagadkowo, zaczął na podsuwanych mu kartach kreślić coś po francusku i niemiecku, podpisując swoim imieniem i nazwiskiem. Po chwili rozczarowani łowcy autografów zaczęli spoglądać po sobie, jakby pytając: "Albert... Schweitzer? Ale kto to jest?"

Urodził się Albert Schweitzer 14-go stycznia 1875 roku w Kayserbergu, w górnej Alzacji, jako syn pastora luterańskiego.

Będąc małym dzieckiem był tak wątpliwy, że nie wróżyło mu dłuższego życia. Tymczasem, dorósłszy, znalazł w sobie tyle zdrowia i mocy, tyle rodzajów kipiącej energii, że udało mu się w jednym istnieniu zespolić szereg różnych aktywności, a w każdej z opanowanych dziedzin nauki i sztuki osiągnąć szczyt doskonałości. Był przy tym przysłowiowo skromny i niewiele myślący o sobie. Jadał mało i niewyszukanie, sypiał nie dłużej, niż trzy godziny na dobę. Zaslugi swoje zawsze uważał za zupełnie zwykłe wyniki pracy, nie noszącej żadnych cech genialności, czy wyjątkowości.

Gdy zaproszony do Stanów Zjednoczonych dla wygłoszenia odczytu w uniwersytecie w Aspen w dwusetną rocznicę urodzin Goethego, znalazł się po akademii wśród tłoczących się ku niemu reporterów i fotografów, zauważył z zażenowaniem:

— Jesteście bardzo mili, bardzo uprzejmi dla mnie. Traktujecie mnie, jak wielkiego bankiera albo mistrza boksu...

Ale jako, że nie urodził się Schweitzer dziedzicem wielkiej fortuny ani nie posiadał muskułów zapaśnika musiał dla opłacenia studiów szukać źródeł w różnych dziedzinach pracy, dochodząc w nich z czasem do doskonałości.

Gdy po kolejnym uzyskaniu doktoratów teologii i filozofii objął parafię kościoła luterńskiego w Günsbach, w której przez wiele lat proboszczem był jego własny ojciec, doszły go wieści o wysokiej śmiertelności wśród Murzynów w środkowej Afryce, dziesiątkowanych przez trąd i śpiączkę, z braku pomocy lekarskiej. Poczul w sobie potężny bodziec do nowej ambicji i w wieku lat trzydziestu powrócił na uniwersytet, tym razem by studiować medycynę. Już jako dyplomowany lekarz i żonaty z Heleną Bresslau, (córką profesora historii na uniwersytecie w Strasburgu, absolwentką tejże uczelni, z miłości ku Albertowi - dyplomowaną pielęgniarką), przeniósł się do dalekiej Afryki by nieść pomoc cierpiącym czarnym braciom. I nie tylko by leczyć, ale i nawracać, oświecać, uczyć muzyki i języków europejskich, grać na organach, śpiewać piękne pieśni, nie rzadko własnej kompozycji, udzielać pociechy religijnej, a w chwilach wolnych od tych zajęć pisać prace treści religijnej, filozoficznej, opisowej, komponować utwory muzyczne, przeprowadzać badania bakteriologiczne, biologiczne, itp., nie mówiąc już o podróży misyjnych po Afryce oraz wypadach na inne kontynenty, zapraszany przez wybitnych uczonych, uniwersytety, rządy.

Impulsem, który pchnął Schweitzera do tego rodzaju ryzykownego i niebezpiecznego przedsięwzięcia i z którego czerpał natchnienie i otuchę przez blisko pół wieku w żmudnej pracy lekarza i duszpasterza, było niezwykle uwielbienie życia we wszystkich jego przejawach i formach. Uważał Schweitzer, że każda zagrożona istota musi być ratowana: wszystko, co żyje powinno być chronione przed odruchem zniszczenia i rozkładu.

Umiłowanie istot żyjących było u niego tak wielkie, że nieraz graniczyło z pewną świętą naiwnością, jakiej można się doszukać jedynie w czystej duszy dziecka. W ciągu całego życia nie pozwolił sobie Schweitzer na niewinny w naszym pojęciu sport rybołówstwa. Nie byłby bowiem w stanie poświęcić życia marnej glistki, nie mógłby patrzeć na męki nadzianej na hak

ryby. Nie zabiłby mrówki. Ażeby uchronić swe manuskrypty przed żarłocznością afrykańskich insektów, dziurawił każdą kartkę z osobna, nawlekał na sznurek i wieszał wysoko u stropu izby, w której mieszkał i pracował.

Sam siebie zwykł był nazywać mordercą. Jako lekarz zmuszony był bowiem zabijać... mikroby. Wyrzuty łagodziła myśl, że czyni to przecież dla dobra człowieka, któremu pragnie uratować życie.

Po tym, co o nim czytamy, zbyt częste staje się pytanie co sądził o wojnach, bombie atomowej, obozach koncentracyjnych, ludobójstwie.

Jako produkt dwóch kultur i cywilizacji — francuskiej i niemieckiej, bolał nad zgrzytami natury politycznej na własnej ziemi, we własnym środowisku i we własnej rodzinie. Linia jego rozmyślenia i analizy, jako wypadkowa dwóch odmiennych filozofii, wyzwoliła go całkowicie z jakichkolwiek wrogości, fanatyzmu religijnego, egzaltacji nacjonalistycznej czy rasowej. Nie zaprzętał sobie głowy polityką, pozycją słupów granicznych na szachownicy brutalnych rozgrywek między narodami, które jednakowo kochał i poważał. Interesował go zawsze i jedynie człowiek, zawsze i niezmiennie wielbił życie. Oto dlaczego w swych pracach i traktatach poświęconych trwałemu pokojowi świata starał się wskazać drogę do wyjścia z impasu, prowadzącego jedynie do niepotrzebnego rozlewu krwi i niszczenia dorobku kulturalnego człowieka. Według niego, przypuszczenie, że jedynym ratunkiem dla ludzkości są niekończące się ulepszenia instytucji politycznych i społecznych poprzez postęp techniczny to tragiczny błąd naszego stulecia. Wierzył tylko w jeden postęp, tylko w jedną ewolucję: wewnętrzną etyki jednostki. Środki techniczne, jakimi dysponujemy, jedynie gmatwają nam bytowanie. Postęp etyczny, jak Schweitzer nazywał wzmożone dążenie do polepszenia wzajemnego stosunku człowieka do człowieka zasadzać się musi na sprawiedliwość, a nie na korzyściach natury socjalnej czy ekonomicznej. Rozwiązania osobistych powikłań nie należy też oczekiwać "z góry" od bóstwa lub rządzącego autorytetu politycznego. Należy go szukać wyłącznie we własnym sumieniu. By należycie pojąć ten zbawienny sposób, wystarcza jedna jedyna maksyma życiowa: "Dobre jest co służy do zachęty i ochrony życia, złe — co je niszczy i hamuje."

Jeśli poważanie, jakie Schweitzer zawsze żywił dla życia, stałoby się podstawą do ustanawiania norm dla wszelkiej zbiorowości, jednostki zrozumiałyby w końcu, że nie ma takiego celu, dla którego wolno byłoby poświęcić choćby jedną żywą istotę.

W epoce kolektywizmu, wielkiego przemysłu i dyktatur, w epoce, w której miliony istot ludzkich bezlitośnie wciągane w zębate koło wielkich ambicji despotów, wielkich interesów finansowych lub zgoła obłąkanych utopił, miłosierdzie i bezgraniczny kult życia owego protestanckiego sługi bożego w białym hełmie tropikalnym wydać się mogą naiwnymi abstrakcjami, ale właśnie w obecnym czasie są nam jak najbardziej potrzebne, choćby dla samego uzmysłowienia sobie i ciągłego napominania, że cywilizacja ma szanse przetrwania jedynie przez doskonałość nie się jednostki.

Albert Schweitzer całe swe długie i błogosławione życie, zdolności i pracę bez wytchnienia poświęcił dla osiągnięcia właśnie tej doskonałości, o której mówił i pisał. Z dala od wielkich miast, cywilizacji i kultury, odosobnionemu w pustkowiach czarnego ładu, udało mu się nieść pomoc lekarską bez pogwałcenia choćby jednego z przesądów, stanowiących normy życia Murzynów. Tak dla przykładu, w szpitalu swoim w Lambarene nie sprzeciwił się zwyczajowi, panującemu wśród kobiet ciężarnych, pokrywania się białą farbą od stóp do głów, co w ich pojęciu odstrasza złe duchy.

Albert Schweitzer kochał ludzi bez względu na kolor ich skóry, wierzenia, sposób bytowania. Szanował każdą tradycję, każdy obyczaj panujący wśród ludzi, z którymi się stykał. Przyślowiowa tolerancja i wyrozumiałość zjednały mu miłość i autorytet wśród tych, którzy go znali osobiście lub poprzez jego liczne dzieła różnorodnej natury.

Albert i Helena Schweitzerowie przybyli do Afryki jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Pierwsze kroki praktyczne, jako lekarz i pielęgniarka, rozpoczęli na stosie desek z rozbitego, opuszczonego kurnika. Deski zbili, pobielili i tak powstał pierwszy "szpital doktora Schweitzera". W swych pamiętnikach Schweitzer z dumą wspominał te czasy.

"Tylko raz musiałem się zawstydzić" opowiada w jednym z tych pamiętników — "gdy jeden z moich pacjentów, oryginalny przedstawiciel ginącego już plemienia Kanibalów, zwrócił się do mnie ze słowami, które choć naiwnie wyrażone w jego prymitywnym narzeczu, brzmiały, jak tragiczne oskarżenie całej cywilizowanej ludzkości: "Gdy łapiemy białego człowieka to, aby go — zjeść. Wy zabijacie, boście źli i okrutni".

SPROSTOWANIE

W nr 1 "Skarpy" na str. 4, wiersz 13 od góry w opowiadaniu Miry Sławińskiej prostujemy następujący błąd:

Zamiast: "szopenowa Anczka" powinno być szepowa Anczka (w tłumaczeniu ze słoweckiego — "kulawa Anczka"). —

Redakcja

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES
E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Para leitores da revista "SKARPA" 10% de desconto

Rua Libero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413 S A O P A U L O

União Química Paulista S. A.

S A O P A U L O

Escritório: Rua Alvaro de Carvalho, 118, conj. 503/4

Tel.: 36-4532

Fábrica e Depósito: Rua Domingos Paiva, N.º 332 —

Tel.: 92-1919

Enderêço Telegr.: “ A N I L I C Q U A ”

DISTRIBUIDORES EXCLUSIVOS DE:

**Anilinas e auxiliares p/indústrias: textil, couro e
papel de**

E. I. DU PONT DE NEMOURS & CO., U.S.A.

**“LATYL”, “DEKATYL”, “PONSOL”, “SULFANTHRENE”,
“LEUCOSOL”, “PONTAMINE”, “PONTACHROME”,
“CHROMACYL”, “CAPRACYL” ETC.**

**ARIDEX, AVITONE, AVITEX, ALKANÓL, DUPONOL,
ZELCON, ZESET, ZELEC, ZELAN ETC.**

REPRESENTANTES PARA O BRASIL DE

INDUSTRIE CHIMICHE BARZAGHI - UFA, Italia

**Produtos p/ acabamento Textil e Indústria Petro-
lífera na base de resina e celulose
SOLIDINA, GELOGUM, etc.**

CHEMISCHE FABRIK RUDOLF & CO., Alemanha

Especialidades p/ beneficiamento de fibras em geral

R U C O N E T Z E R etc.

AU CLAIR DE LA LUNE...

Kilka listów, znalezionych między papierami, którymi była wypełniona wielka dębowa skrzynia, nie dawało mi spokoju.

Listy te nosiły daty roku 1830 i 1831. Z urywków ich można się było domyśleć romantycznej historii, której bohaterami byli mój pradziad Aleksander Wielogłowski, porucznik 1-go Pułku Strzelców Gwardii Konnej Królestwa Kongresowego i Anna Potkańska, późniejsza jego żona, córka jednego z najmożniejszych podówczas obywateli ziemi kieleckiej.

Nudzisz mnie i nudzisz, — wdychała moja matka, — a ja przecież połowy tego nie wiem, co dziadzio Grzegorzewski. Wybierz się do Radoszyny, a nasłuchasz się o wszystkim do woli.

Listy, leżące na moim biurku, dręczyły niedomówieniami:

“Miły mojemu sercu bracie!

Zastawa w lesie pod Słowikiem. Od świtu w poniedziałek, tak jak przykazałeś, będę czekał w gajówce. Wybrani z Michałowic czynszownicy ze mną. Dalej, od Chęcin, konie rozstawnie co 15 wiorst”.

“O’ciec dobrodziej najlepszego ducha. Woła: — Pokażemy staremu satrapie co to Starze. — Dał mi dwa pistolety co to jeszcze Wagram pamiętają”.

“Ksiądz Andrzej z Słoboszowic z nami. Oznajmił, że ołtarz przystroi najpiękniejszymi różami, które już kwitną, a z których pielęgnacji słynie”.

“Z kościoła prosto do Nieszkowa, który ojciec dobrodziej, jako podarek ślubny, oddaje ci we władanie”.

W jednym z listów znalazłem kartkę wyrwaną z książki do nabożeństwa. Wydrukowany był tam hymn:

“Już słońce schodzi ogniste,

Ty, jedność, światło wieczyste.

W sercach naszych Trójco Święta

Rozlej miłość niepojętą...”

U góry kartki już ledwie widocznymi literami było wypisane:

“Wybacz śmiałość JWP Hrabianko! Z własnej woli chcesz się poświęcić na całe życie służbie zakonnej?”

W dole, już przy pomocy szkła powiększającego, odczytałem:

"Z woli rodzica, której słuchać muszę".

Ruszyłem do Radoszyny.

Dziadzio, Jan Grzegorzewski, brał jako młody chłopiec udział w powstaniu 1863 roku. Po upadku powstania udało mu się zbiec za granicę. Dłuższy czas spędził we Francji, gdzie zbliżył się do kół radykalnych. Na kilka miesięcy przed śmiercią ojca powrócił do kraju i osiadł w Radoszynie.

Trudno było by powiedzieć, że Jan Grzegorzewski gospodarował na ojcowskiej schedzie. Kilkuletnie wygnanie zerwało więzy łączące go z rodziną i sąsiadami. Pokochał chłopów, którzy stanowili jedyne jego otoczenie. Zamiast orać i siać dzielił radoszyńską ziemię i morgę po mordze sprzedawał miejscowym chłopom za symbolicznego rubla. Niewielką resztówkę wdzierżawił także po kawałku biedocie wiejskiej. Zaniedbany i zachwaszczony ogród warzywny i sad oraz cztery krowy stanowiły cały jego majątek. Z czego żył Pan Bóg raczył wiedzieć.

Pod wieczór, jadąc przez Mińsk Mazowiecki, minąłem małe miasteczko Stanisławów i dotarłem do Radoszyny. Zajechanie przed dwór okazało się niemożliwe; zwieszające się z urwanych zawiasów wrota zagraadzały wjazd. Zostawiłem samochód na drodze i nie będąc pewien, czy rzeczywiście znajduję się w Radoszynie poszedłem w stronę podwórza. Stały tam: stodoła bez dachu i obora. Najsolidniejszą częścią tego ostatniego budynku — były wrota. Jak to z łatwością zauważyłem nigdy nie były otwierane. Krowy wychodziły z obory przez ściany.

Upewniwszy się, że ta bieda z nędzą jest naprawdę Radoszyną udałem się do dworu. Był nim niski, zapadły w ziemię, drewniany domek z gankiem. Dach o pozrywanych tu i ówdzie gontach załamywał się w niespodziewanych miejscach.

Wstrząśnięty widokiem włości dziadzia Grzegorzewskiego, który był krewnym mojej matki i jako taki powinien był reprezentować godnie gospodarskie imię rodziny, zapukałem do na wpół otwartych drzwi. Usłyszałem śpiew. Trochę drżący, nienajmniej mocny głos męski, nucił:

"Au clair de la lune

Mon ami Pierrot

Prête moi ta plume

Pour écrire un mot.

Ma chandelle est morte,

Je n'ai plus de feu,

Ouvre moi ta porte

Pour l'amour de Dieu!..." 1)

— Muuu! — zaryczała krowa pasąca się obok ganku za moimi plecami.

Gdzieś za domem rozległ się rozdzierający krzyk niewieści:

— Różia, ściągaj duchem z płota gacie pana dziedzica! Na deszcz się zbiera.

Pchnąłem "la porte" i znalazłem się w małym, zalatującym wilgocią saloniku.

Dziadzio Grzegorzewski siedział w fotelu naprzeciw mnie i podśpiewywał skręcając ogromnych rozmiarów papierosa. Ubrany był w czamare, sięgającą prawie kolan, siwe wąsy zwiisały mu w dół, przesłaniając kąciki ust.

— Tak musiał wyglądać sędzia Soplica, — pomyślałem.

Mimo swoich osiemdziesięciu lat zerwał się rażno z fotela, ujął mnie pod ramię i poprowadził do małej kanapki. Ukłuty wystającą z niej sprężyną uśmiechnąłem się pogodnie.

— No, przecie byłem na ślubie twoich rodziców i na twoim chrzcie — wykrzyknął, kiedy skończyłem wyjaśniać kim jestem. Mało się od tamtego czasu zmieniłeś — zaśmiał się, mrużąc figlarnie jedno oko.

Po kolacji, złożonej z kwaśnego mleka z kartoflami i suto okraszonej kaszy gryczanej, przeszliśmy do saloniku. Różia, olbrzymia, rozczochrana dziewczucha, postawiła na stole lampę naftową i nalała do szklanek kwasu chlebowego. Dziadzio Grzegorzewski podszedł do półki, umieszczonej w rogu pokoju i zaczął przeglądać, ułożone na niej bardzo starannie, papiery. Znalazszy to czego szukał usiadł za stołem i podkręcił lampę.

— Na emigracji w Paryżu — powiedział — zachodziłem często do naszego krewnego, Walerego Wielogłowskiego. Był już bardzo stary. Opowiadał mi wiele o dawnych czasach, o sprawach prawie zapomnianych. Mówił tak pięknie, że mając dużo wolnego czasu postanowiłem spisać jego opowieści. Posłuchaj tej, której urywki znalazłeś w listach.

Nie lata, miesiące i dni stanowią o losie człowieka, ale sekundy. Wydarzenia dziejowe mają często mniejszy wpływ na nasze życie, aniżeli pęknięta sprzączka od popręgu.

Oleś Wielogłowski, porucznik 1 Pułku Strzelców Konnej Gwardii, jadąc konno w odwiedziny do swoich przyjaciół Komornickich, którzy gospodarowali w Cychrach pod Górą Kalwarią, przeskoczył niewielki rów. Sprzączka od popręgu pękła. Był to koniec września r. 1831. Od sprzączki się zaczęło.

Złamana ręka, gojąca się bardzo powoli, uniemożliwiła Oleśowi wyruszenie w pole z gen. Różyckim.

— Znajdzie się dla waćpana inna robota w Warszawie — powiedziano, kiedy błagał, aby mógł pociągnąć za pułkiem choćby z furgonami.

Z wiosną, gdy złamana kość zrosła się jako tako robota się znalazła: wysłano go z ważnymi papierami do Krakowa dla nawiązania kontaktu z senatem Wolnego Miasta.

Z żalem zrzucił mundur i z ordynansem, Michałkiem Pliszką, udał się w drogę.

— A opatrz dokumentnie popręgi! — przestrzegł Michałka, gdy ten poprowadził konie.

Omijając główne drogi trzeciego dnia podróży pod wieczór dotarli do Bliżyna.

(Być może znajdą się czytelnicy, należący do mojego pokolenia, którzy przypomną sobie nazwę wytłoczoną na drzwiczkach

do pieców w starych domach warszawskich lub kieleckich, albo też na płytach kuchennych: *B l i ż y n*. Tak się nazywała jedna z pierwszych w Polsce odlewni żelaza).

Płomień, który zauważyli z oddali jeźdźcy, buchał z pieców odlewniczych. Wjechali do wielkiej, zamożnej wsi. Poza nią, coraz to wyraźniejszą o zmroku łuną, znaczyła swoją pracą odlewnia. Cały widnokrąg za wsią zamykała nie kończąca się ściana starego lasu.

Huta, lasy, pola, jak okiem sięgnąć, stanowiły własność Ignacego hr. Potkańskiego. Daleko było okolicznym Broel-Plate-rom do takiej fortuny. Równać się chyba mogła tylko z Chrobrem Wielopolskich.

Ignacy Potkański owdowiał wcześniej. Żona jego przypłaciła życiem urodzenie córki, Anny. Znakomity ród skazany był na wymarcie. Myśl, że dobra bliżyńskie mogą przejść na inne imię była dla Potkańskiego nie do zniesienia. Dorastająca szybko córka przypominała o groźbie, która zawisała nad jego głową.

Po śmierci żony zdziwaczał: rządził się w Bliżynie jak u dzielnego księcia, nie utrzymywał żadnych stosunków z sąsiadami. Jedynym możliwym jego spadkobiercą mógł zostać bratanek, Alfred Potkański, utracjusz i birbant, zamieszkujący w Wiedniu. Mało o nim wiedział i postanowił sprowadzić go do Bliżyna. Alfred przyjął z ochotą zaproszenie. W Bliżynie prawił stryjowi komplementy, zbijał baki i modlił się po cichu o rychły zgon swego dobrodzieja.

Groźbę przejścia fortuny w ręce innej rodziny hr. Potkański zażegnał bardzo łatwo: postanowił poświęcić córkę Panu Bogu.

Poza znakomitym administrowaniem majątkami zajmował się z zapałem pieniactwem. Procesował się załadle, uparcie i nieustępliwie. W sądach kieleckich, piotrkowskich i warszawskich był osobą dobrze znaną. Między wieloma innymi prowadził długoletni spór z ojcem Olesia, Konstantym Wielogłowskim. Chodziło w tym sporze o jakiś folwarczek znajdujący się pod Rudą Maleniecką.

Zsiadając z konia przed dworem bliżyńskim Oleś Wielogłowski nie wiedział ani o procesach, ani o istnieniu Anny Potkańskiej.

Wysoki, chudy kamerdyner zeszedł ze schodów ganku na jego powitanie. Wysłuchawszy jak się gość nazywa i dowiedziawszy się, że pragnie przenocować we dworze zniknął za drzwiami. Kiedy ukazał się po chwili ponownie widać było, że jest mocno poruszony.

— Monsieur le comte Satrapa — powiedział — polecił mi odprowadzić waszą wielmożność do oficyny.

— Słyszałem — uśmiechnął się Oleś, — że ta wieś należy do Ignacego Potkańskiego. Któż to jest Satrapa?

— C'est lui — odpowiedział kamerdyner.

W godzinę później przyniósł mu na tacy kolację do oficyny. Głowiąc się nad tym co mogło być przyczyną tak niezwykle

go przyjęcia Oleś klęknął do wieczornego pacierza. Kiedy zamierzał zgasić świecę do pokoju cichutko wsunął się Michałek.

— Dlaczego jeszcze nie śpisz? — spytał Wielogłowski.

— Wedle rozkazu JW Pana porucznika mam donosić przez całą drogę do Warszawy co widzę i słyszę — odpowiedział wyprostowany po wojskowemu Michałek.

— O czym słyszałeś?

— O mamzeli.

— O kim?

— O mamzeli. Mieszka zamknięta w pokojach pałacowych.

— Straszny?

— Gdzie tam. Ponoć tak piękna jak anioł z ołtarza w kościele św. Jana.

— Kto ci o niej naopowiadał?

— Kirasjer.

— Michałku, widzi mi się, żeś pijany.

— Nie, JW Panie poruczniku. Nazywa się Baptysta. Kiedy armia Cesarza Napoleona cofała się spod Moskwy pozostał tutaj. Gada po naszymu tylko jakoś dziwnie. To on przyniósł JW Panu porucznikowi kolację. Mówi, że już niedługo wywieżą nieśczęśliwą i zamurują w klasztorze. Mamzela płacze po nocach, aż serce się kraje. Nie dopuszczają do niej nikogo poza ochmistrzą.

Oleś Wielogłowski wyciągnął się na łóżku i leżał przez dłuższą chwilę w milczeniu.

— Hm, mruknął wreszcie — jutro niedziela. Chyba nie zabraniają jej słuchać mszy świętej w kościele. Ano zobaczymy. Dobranoc, Michałku.

— Dobranoc, JW Panie poruczniku.

Następnego ranka bardzo wcześnie kirasjer zjawił się w oficynie ze śniadaniem. Na krawędzi tacy leżała koperta. Oleś zerwał ją i przeczytał list.

“Konie czekają przed domem. Życzę Waszmości szczęśliwej drogi.

Ignacy Potkański”.

— Anim panny nie widział, a już mi dają rekuzę — powiedział Wielogłowski i zabrał się rażno do jedzenia.

Ksiądz Antoni Broniarski, proboszcz parafialny w Bliżynie, przyjął go z otwartymi rękami. Był on poprzednio wikarym w Słomnikach i znał dobrze rodzinę Wielogłowskich, której majątki rozrzucone były po całym miechowskim.

— Biedna Anusia, — załamał ręce — rwie się to do życia, a hrabia dla własnej ambicji więzi ją, a za kilka tygodni wywiezie do klasztoru. Była tu na plebanii w zeszłą niedzielę. Akurat przyszedł organista Grzegorz ze swoją małą córeczką. Wzięła dziecinę na kolana, pieściła, a łzy płynęły jej z oczu potokiem. Służba Boża — ciągnął wzruszonym głosem ks. Broniarski — to najszczytniejsza służba jaką można pełnić na tej ziemi, ale trzeba do niej prawdziwego powołania. Można też służyć Panu Bogu nie oblekając sukienki zakonnej.

Dźwięk sygnaturki przypomniał, że czas już na pierwszą mszę świętą. Ksiądz ujął Olesia pod ramię.

— Chodźmy. — powiedział — posadzę Waszmość Pana tuż za ławką, w której siaduje Anusia z ochmistrzynią Regentowiczową. Pozwalają jej przychodzić tylko na pierwszą mszę świętą. Głowę ma zakrytą. Twarzyczkę ledwie dojrzeć.

Podczas mszy, kiedy Regentowiczowa pogrążona była w pacierzu, Oleś wydarł kartkę z książeczki do nabożeństwa i podał ją niepostrzeżenie Anusi. Odwróciła się. Przez chwilę patrzyli na siebie.

Tę to kartkę znalazłem sto lat później.

Wielu sprzymierzeńców pozyskał Oleś Wielogłowski podczas następnego dnia i nocy w Bliżynie. Ksiądz Broniarski, który naraził się Potkańskiemu za upartą obronę praw chłopskich do pastwisk, obiecał całkowitą pomoc. Karczmarz, Abramek Kaczka, mający wstęp do dworu, uwielbiał Anusię za wyłączenie jego bachorków i wraz z rodziną płakał nad jej losem.

Kirasjer Baptysta oświadczył, że ma dosyć le comte Satrapa i ofiarował Olesłowi swoje służby bez wynagrodzenia.

Przejeżdżając przez Michałowice Oleś wstąpił do brata, Bolesława, i zawiadomił go, że po wykonaniu misji w Krakowie pojedzie do Warszawy i wróci do Bliżyna, uzyskawszy potrzebne pozwolenie.

W kilka miesięcy później przed żniwami dziwne rzeczy zaczęły się dziać z organami w kościele bliżyńskim: Psuły się syczały i piszczały przeraźliwie, zbiegiem okoliczności zawsze podczas czytania z ambony zapowiedzi. Chłopi odwracali głowy, patrząc na chór i żegnali się nabożnie. Poniektórzy przypisywali to niezwykle zachowanie się organów Grzegorzowi, który nie pogardzał butelczyną.

Odjazd Anusi Potkańskiej do klasztoru karmelitanek w Krakowie zapowiedziany był na 4 sierpnia. Trzeciego sierpnia Abramek Kaczka zamknął karczmę. Wczesnym rankiem kirasjer nadbiegł do karczmy. Po chwili dwóch jeźdźców opłótkami poza wsią pogalopowało w stronę Kielc.

W piękne południe sierpniowe dwa pojazdy zbliżały się traktem krakowskim do pokrytych świerkowym lasem wzgórz pod Słowikiem. W pierwszym jechała Anna Potkańska z ochmistrzynią Regentowiczową. W drugim rozpierał się wygodnie Alfred Potkański. Zdawał on sobie dobrze sprawę, że fortuna stryja dopiero wtedy stanie się na pewno jego własnością, kiedy wrota klasztorne zamkną się na zawsze za Anusią. Z wyszukaną galanterią ofiarował się towarzyszyć kuzynce do Krakowa.

W gąszczu leśnym poza gajówką, gdzie oczekiwały trzy inne pojazdy, poderwano ludzi na nogi. Oleś Wielogłowski z bratem Bolesławem wyszli na trakt. Furmani bliżyńscy ściągnęli lejce. Oleś podbiegł do pierwszego powozu. Zdumiony Alfred patrzył na Anusię, gdy wyskoczyła z powozu i wpadła w ramiona Olesia. Opuścił powóz i założywszy ręce na piersiach stanął na drodze. Powoli zbliżał się do niego Bolesław Wielogłowski.

— Takiego postępu można się spodziewać jedynie po potomkach wojewody Sieciecha — syknął Alfred, przypominając Wielogłowskiemu jego przodka.

— Jestem do usług Waszmość Pana — powiedział Bolesław podając mu pistolet.

Alfred nie przyjął pistoletu.

— Zawracać! — krzyknął, wsiadając do powozu.

W sześć lat później zjawił się w Nieszkowie Abramek Kaczka. Przywiózł wiadomość o ciężkiej chorobie Ignacego Potkańskiego.

— Niech Jaśnie Oświecone Państwo jadą co koń wyskoczy do Bliżyna — radził.

W wielkiej sypialni na dębowym gdańskim łożu spoczywał dziedzic bliżyńskich włości. Zachodzące słońce słało promienie na meble i portrety przodków. W ręce, opadłej na koidrę, hrabia trzymał miniaturę Anusi. Drzwi sypialni uchyliły się powoli. Do pokoju weszła mała, jasnowłosa dziewczynka i nieśmiało zbliżyła się do łoża.

— A czyjaś ty? — zapytał ze zdziwieniem Potkański.

— Ja wnuczka dziadzi, Elżunia.

Potkański uniósł się na poduszkach i zaczął gładzić dziewczynkę po główce.

— Gdzie mamusia? — szepnęła.

Elżunia odwróciła się i wskazała na drzwi.

— Czekaj tam z tatusiem, ale boją się wejść — odpowiedziała już śmiejąc.

Potkański się uśmiechnął.

— Powiedz, żeby weszli.

Nad klęczącymi przy łożu zrobił znak krzyża.

Wyszliśmy przed dom. Dziadzio Grzegorzewski wznosił głowę do góry i wpatrzył się w tarczę księżycy.

— W taką noc sierpniową świecił podobnie nad Bliżynem i Nieszkowem.

Świecił nad szczęściem.

1. — Przyjacielu mój, Pierocie, pożycz mi pióro. Chcę przy świetle księżycy napisać jedno tylko słowo. Świeca mi zgasa, nie mam ognia. Otwórz mi drzwi na miłość Boską!

Dr Stanisław Bundyra

Jedyny adwokat polski w São Paulo

Członek Związku Adwokatów Brazylii.

Załatwia wszelkie sprawy sądowe: cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp.

Rua Barão de Itapetininga, 29 — Edif. IV - Nova Barão
- C/503 — Telefone: 33-9405 — SÃO PAULO

PRZYJMUJE OD GODZINY 14 do 19

PRODUTOS QUÍMICOS

“TANATEX” LTDA.

São Paulo

Escritório: Rua Álvaro de Carvalho, 118 cj. 503/4
Tel.: 36-4532 e 34-5061

**PRODUTOS ESPECIAIS P/ PROCESSOS DIFÍCEIS
DE BENEFICIAMENTO**

**CARRIERS P/TINGIMENTO DE FIBRAS
POLIESTER ETC.**

TANALON ESPECIAL

TANAPAL ME

TANAPON X-70

CAROLID

TANAVOL

ETC.

Czarny tragik w Łodzi

Milej łodziance, pani Hance S.

Na pewno większość licznych mieszkających w Brazylii łodzian nie wie, że w ich mieście rodzinnym zakończył życie i swoją wspaniałą karierę sceniczną genialny odtwórca postaci szekspirowskich, zwłaszcza Otella, znakomity czarny aktor, Ira Aldridge.

Wnuk Fryderyka, króla możnego plemienia Fullahów znad rzeki Senegalu, zamordowanego razem z całą niemal rodziną i dworem przez zbuntowanych poddanych urodził się w Afryce w 1807 r. w dramatycznych okolicznościach, kiedy ojciec jego Daniel, jedyny ocalały z rzezi i wywieziony do Ameryki przez jakiegoś pastora, powrócił do kraju aby odzyskać tron. Wyprawa nie udała się i Daniel z żoną Luranah i małutkim Iram musiał po raz wtóry szukać ratunku w ucieczce.

Mały Ira był przeznaczony przez ojca do stanu duchownego, lecz pewnego wieczoru malec przypadkiem dostał się do teatru i to zadecydowało o całym jego życiu. Postanowił zostać aktorem. Debiut odbył się wkrótce na malutkiej scenie, gdzie wszyscy koledzy aktorzy byli tak jak on, czarni. Nie trwało to długo bo któregoś dnia biali, jak to do dziś robią ich potomkowie, zburzyli teatrzyk. Wówczas ojciec powraca do swego pierwotnego projektu zrobienia z syna duchownego i wysyła go na uniwersytet w Glasgow. Ale i tym razem młodzieniec nie potrafił pozbyć się swych teatralnych zamiłowań i pomimo otrzymania w uczelni medali i odznaczeń, porzuca po 18 miesiącach studia teologiczne i wraca na scenę.

Widzimy go już w r. 1833 jako 28-letniego młodzieńca interpretującego rolę Otella w nie byle jakim teatrze bo w Covent Garden. Wkrótce rozszerza swój repertuar kreując "białe" szekspirowskie role Schyłoka, Makbeta, Ryszarda II, Leara. Talent jego rozwinął się wszechstronnie. Gra w dramatach, tragediach, komediach i farsach. Śpiewa i tańczy.

W r. 1852 rozpoczyna tryumfalny objazd Europy. Król Fryderyk Wilhelm IV dekoruje go złotym medalem "Sztuki i Wiedzy" I kl., odznaczeniem które poprzednio otrzymały takie postaci jak Humbolt, Spontini i Liszt. Książę Sakson - Koburg mianuje go kawalerem domu saskiego...

Dalsze tryumfy święci Aldridge w Austrii, Węgrzech, Szwajcarii, Holandii. Następnie jedzie do Szwecji i w r. 1858 debiutuje w Petersburgu. Hr. Fiodor Tołstoj, wiceprezydent Akademii Sztuk Pięknych przyjmuje go z otwartymi ramionami. W jego domu poznaje i nawiązuje przyjaźń z ukraińskim poetą Tarasem Szewczenko, który właśnie powrócił z zesłania w Syberii. Znany rewolucjonista i pisarz Czernyszewski ogłasza szereg entuzjastycznych artykułów o Aldridge'u jako artyście i człowieku. Michaił Szczepkin, były chłop pańszczyźniany, twórca rosyjskiego realizmu scenicznego, nawiązuje przyjaźń ze swym "czarnym bratem". Cała demokracja, z przebywającym na emigracji w Londynie Aleksandrem Hercenem na czele, jest dumna z "wolnego Murzyna" i takiego wielkiego artysty.

W r. 1866 Aldridge gra z francuską trupą w Stambule, a potem w Polsce, w najlepszym polskim zespole młodego wówczas Atanazego Trapszy.

Wprost z Polski Aldridge jedzie do Francji gdzie w Wersalu ma się odbyć jego francuski debiut. W tym właśnie czasie pojawia się w sprzedaży najnowsza książka Teofila Gautier "Podróż do Rosji". Opisuje w niej, między innymi, występy Aldridge'a w St. Petersburgu. "... Był on lwem Sankt-Petersburga i trzeba było wiele dni naprzód starać się o dostanie krzesła na jeden z jego wieczorów. Grał najprzód Otella. Pochodzenie Ira Aldridge'a zwalniało go z konieczności używania farby z lalki i kawowych fusów; nie potrzebował ubierać ramię w czekoladowy trykot. Skóra w tej roli była jego własna... I wejście na scenę było wspaniałe: był to Otello taki jakim go stworzył Szekspir, z półotwartymi oczami i jakby oślepiiony słońcem Afryki, jego niedbała wschodnia postawa i ta nieprzymuszona murzyńska, której nie potrafi naśladować żaden Europejczyk..." I dalej: "Oczekiwaliśmy energicznego, nieopalanowanego, ognistego, trochę barbarzyńskiego i dzikiego sposobu gry w stylu Keana; ale wielki tragik murzyński, bez wątpienia aby się pokazać równie cywilizowany jak biały, miał grę mądrą, spokojną, klasyczną, majestatyczną..."

Teatr w Wersalu był przepełniony do ostatnich granic. Poza literatami, dziennikarzami, intelektualistami, arystokracją i bogatą burżuazją, byli tam także robotnicy, nawet ulicznicy i 200 żołnierzy piechoty i kawalerii! W łóż naprzeciwko sceny siedział "sam" Aleksander Dumas, wówczas u szczytu sławy, a na parterze takie znakomitości jak: dramaturg Teodor Barrière, literaci Commerson, Cochinat, Le Guillois, Jourdier...

Pierwsze sceny Otella publiczność przyjęła chłodno. Ale już samo wejście Aldridge'a wywołało burzę oklasków i trwały one do końca dramatu, wybuchając co chwila z niesłabnącą siłą. Na bankiecie po wersalskim spektaklu redaktor "La Liberté", nawiązując do królewskiego pochodzenia Aldridge'a, powiedział: "Stanowczo nasze obyczaje demokratyzują się. Ongiś artyści grali przed widownią królów; dziś wieczorem syn króla grał

przed widownią artystów!" Dumas zarzucił Aldridge'owi tylko jedną rzecz: "Jest on zanadto naturalny..." Ten zarzut jest największą pochwałą, — dodał Le Guillois. Aldridge wznosił toast dziękując swym nowym przyjaciółom po angielsku i zakończył tymi słowy po francusku: — A bientôt, à Paris! Do zobaczenia wkrótce w Paryżu!

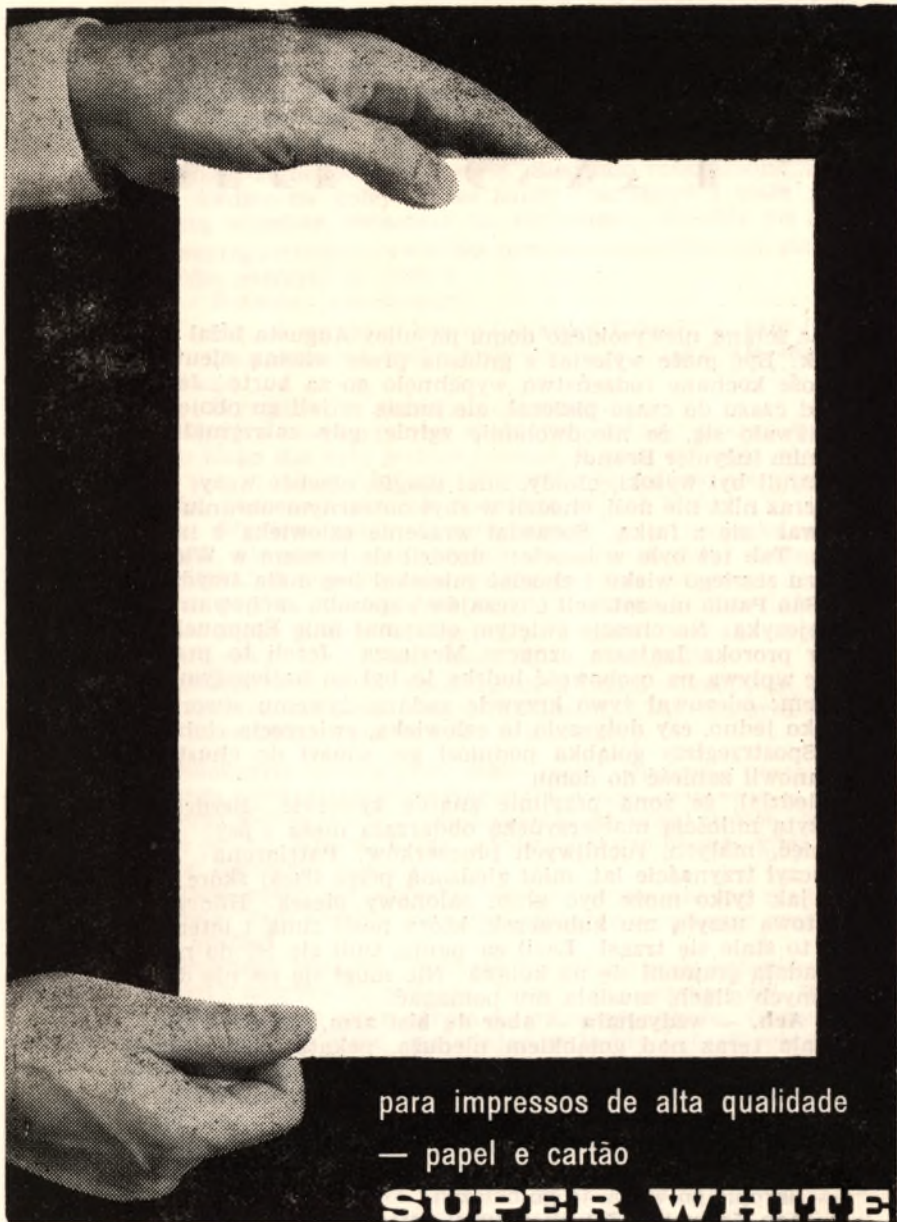
Wielki aktor zdobył zdecydowanie całą Francję. Objeżdżając wszystkie prowincjonalne miasta z niemińszym tryumfem, pozostał w niej do maja 1867 r. Miał na jesieni występować w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Lecz tragiczny los zdecydował inaczej.

Zaproszony w międzyczasie do Petersburga, na prośbę Atanazego Trapszy po drodze zatrzymał się w Polsce, gdzie wystąpił w Radomiu i Piotrkowie z polskim zespołem. Wszędzie miał niesłychane powodzenie, gorąco oklaskiwany przez liczną publiczność polską. Następnie przyjechał do Łodzi, lecz w przeddzień premiery zachorował i następnego dnia, 7 sierpnia, umarł. Urządzono mu wspaniały pogrzeb, w którym wzięły udział wszystkie władze miejskie i tłumy mieszkańców Łodzi. Spoczywa do dziś na cmentarzu łódzkim. Tak zgasła brutalnie ta czarna gwiazda pierwszej wielkości co tak wspaniale zabłysła na firmamencie Sztuki. Zaslugiwała na więcej, niż zapomnienie.

* * *

Dla nas Polaków ten tragiczny zgon na naszej ziemi aktora tej miary co Ira Aldridge ma wielkie znaczenie i jest bardzo znamienne. Ten genialny artysta, który na wszystkich niemal scenach całego świata święcił zawrotne tryumfy, który był przyjmowany jak równy na tyłu królewskich i książęcych dworach, i dostał tyle chlubnych odznaczeń a wśród swoich przyjaciół i admiratorów liczył wielu sławnych literatów i publicystów, nie zawahał się kilkakrotnie występować w ówczesnej, wcielonej do Rosji Polsce, w zespole Atanazego Trapszy. I to nie tylko w bogatej przemysłowej Łodzi, która zawsze miała opinię miasta miłującego teatr, gdzie występowali wszyscy najslawniejsi aktorzy polscy, ale i w takich małych miastach jak Radom i Piotrków. Świadczy to, że nie tylko mieliśmy doskonałych aktorów, jak założyciel "dynastii" Trapszów, Atanazy ale i to, że publiczność nasza wówczas, przed stu niemal laty, nawet na prowincji stała na bardzo wysokim poziomie kulturalnym.

**WSZYSTKIM CZYTELNIKOM NASZEGO PISMA ŻYCZYMY
WESOŁYCH ŚWIĄT I SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU.**



para impressos de alta qualidade
— papel e cartão

SUPER WHITE

PTASZEK

Pod ścianą niewysokiego domu na ulicy Augusta leżał mały gołąbek. Być może wyleciał z gniazda przez własną nieuwagę, być może kochane rodzeństwo wypchnęło go za burtę. Jeszcze żył i od czasu do czasu pisał, ale ludzie mijali go obojętnie. Już zdawało się, że nieodwołalnie zginie, gdy zatrzymał się przed nim inżynier Brandt.

Brandt był wysoki, chudy, miał długie, obwisłe wąsy, których teraz nikt nie nosi, chodził w zbyt obszernym ubraniu i nie rozstawał się z fajką. Sprawiał wrażenie człowieka z innego świata. Tak też było w istocie: urodził się bowiem w Wiedniu w końcu zeszłego wieku i chociaż mieszkał bez mała trzydzieści lat w São Paulo nie zatracił obyczajów i sposobu zachowania się Europejczyka. Na chrzcie świętym otrzymał imię Emanuel, co według proroka Izajasza oznacza Mesjasza. Jeżeli to prawda, że imię wpływa na osobowość ludzką to był on najlepszym tego dowodem: odczuwał żywo krzywdęadaną żywemu stworzeniu wszystko jedno, czy dotyczyło to człowieka, zwierzęcia lub rośliny. Spostrzegłszy gołąbka podniósł go, włożył do chusteczki i postanowił zanieść do domu.

Wiedział, że żona przyjmie znajdę życzliwie. Bezdzienna, niewyżyta miłością macierzyńską obdarzała męża i psy. Psów było pięć, małych, ruchliwych pinczerków. Patriarcha rodu, Bob, liczył trzynaście lat, miał złedzoną przez liszaj skórę i był głupi, jak tylko może być głupi salonowy piesek. Hildegarda Brandtowa uszyła mu kubraczek, który nosił zimą i latem, a mimo to stale się trząsł. Łaził za panią, tulił się jej do nóg, a gdy siadała gramolił się na kolana. Nie mógł się na nie dostać o własnych siłach, musiała mu pomagać.

— Ach, — wzdychała — aber du bist arm, mein Schatz!

Stała teraz nad gołąbkim niedużą, pękata, o wydatnym biuście i jeszcze wydatniejszym zadzie, w zapiętym po szyję niebieskim fartuchu w kwiatki, w który wpięte były szpilki i igły, i biadała:

— Er ist sehr schwach, Muni. Ich meine, er will nicht leben...

— Skropię go wodą, to go orzeźwi.

— Ach, co znowu! Wy, mężczyźni, jesteście tacy gruboskórni!

Owinęła pisklę wata, włożyła do koszyka.

W nocy Brandt budził się wielokrotnie. Widział, jak żona w długiej, nocnej koszuli wychodzi z łóża małżeńskiego i wędru-

je do koszyka, w którym spał gołąb. Słyszał pisk ptaka i dźwięki kołysanki.

Rano, szukając pod łóżkiem pantofli, zapytał:

— Nie zdechł jeszcze?

Hildegarda rozpromieniona i pełna czułości, uniosła do góry wskazujący palec prawej ręki, gruby jak kielbaska:

— Opatrzność nad nim czuwa. Ma się znacznie lepiej. Spójrz!

Pisklę zrzuciło z siebie watę. Siedziało rozkraczone, nadęte. Tu i ówdzie na gołej skórze lśniły granatowe i białe piórka. Zresztą wszędzie, zwłaszcza na skrzydłach, ożerniły się pypcie. Z otwartego dzioba prawie bez przerwy wydobywał się pisk. Małe oczka patrzyły ze złością.

— Prawda, jaki śliczny?

— Hm, — mruknął bez entuzjazmu Brandt, — jadł już coś?

— Dawałam mu bułkę rozmoczoną w mleku, ale nie chciał jej tknąć.

— Słyszałem, że gołębie lubią groch.

Kiedy w czasie przerwy obiadowej inżynier Brandt wrócił do domu łóżko nie było jeszcze zasłane, a żona chodziła w szlafroku i w rannych pantoflach. Wszystko to jednak nie miało znaczenia, ponieważ ptaszek nareszcie zaczął jeść.

— Wyobraź sobie — szczebiotała — z początku odsuwał dziobek, ale potem nie mogłam mu nastarczyć. Jestem taka szczęśliwa! Z tego powodu spóźniłam się z obiadem. Zrobię ci coś na prędkę, nie będziesz się o to gniewał? Może jajecznicę?

— Niech będzie jajecznica — odparł Brandt, który nie przywiązywał szczególnej wagi do tego co jadł.

Głodnym obiadem podzielili się z psami. Rzuciły się na żarcie jakby od rana nic jeszcze nie dostały. Tak też było w istocie. Boże drogi, pani zapomniała o nich!

Skończyły się dla psów dobre czasy. Ptaszek i ptaszek! Hildegarda zdawała się pamiętać tylko o nim, zajmował w jej sercu coraz więcej miejsca. Najboleśniej odczuwał to Bob. Nie brała go już na kolana, a raz nawet oberwał klapsa, gdyż ośmielił się oszczekać gołębia.

Dom pełen był wrzasku. Gołąb dopominał się nieustannie o żarcie. Jadł dławiąc się i przymykając z rozkoszy oczy. Rósł też i grubiał.

Pewnego poranka, ruszając nieporadnie skrzydełkami, wyskoczył z koszyka na podłogę. Dreptał napuszony i zły. Niekiedy wydobywało mu się z gardła gniewne gruchanie. Obszedł tak kilkakrotnie jadalnię, zaglądając w każdy kąt. Wyglądało to jakby obejmował pokój w posiadanie.

W kilka dni potem zastał przed kominkiem śpiącego Boba. Zdradliwie, nie wypowiadając wojny, rzucił się na psa, który chciał się dźwignąć, ale słabe, zreumatyzowane nogi odmówiły posłuszeństwa. Przewrócił się do góry brzuchem, gołąb dobiegał mu się do oczu. Na szczęście, zwabiona krzykiem, przvbiegła z kuchni Hildegarda. Dopiero wtedy ptaszek zrejterował.

Odtąd Bob unikał jadalni. Wpadała tam czasem Norma. Żywa i zwinna nic sobie nie robiła z gołębia, który dreptał za

nią gruchając. Prawdziwa bieda zaczęła się jednak z chwilą, gdy ptaszek nauczył się latać. Dotąd wojował z psami, teraz postanowił podporządkować sobie ludzi.

Wieczorem Brandtowie lubili odwiedzać znajomych. Raz na tydzień bywali w kinie. Inżynier Brandt przepadał za grą w kręgle. Co drugi lub trzeci dzień chodził do jednej i tej samej kregielni, gdzie spotykał tych samych kumpli, starych wiedeńczyków. Opowiadali sobie kawały, pili piwo między partiami.

Ale gdy gołąb zauważył, że ktoś wybiera się wieczorem z domu — stawał się agresywny. Spadał no głowę winowajcy i dziobał do krwi. Wyraźnie nie życzył sobie, żeby zostawiano go samego.

Nienawidził też gości, zwłaszcza pewnej młodej damy, uroczej blondynki, którą Hildegarda podejrzewała o flirt z mężem, co zresztą nie było zgodne z prawdą.

Stopniowo małżonkowie rozluźniali kontakty z przyjaciółmi, aż wreszcie wytworzyła się wokół nich pustka. Stali się do matorami. Nie słuchali radia, gdyż doprowadzało ono gołębia do szału. Nie włączali telewizora. Pozostawała gazeta i książka. Hildegarda robiła na drutach swetry, gołąb leżał pod jej nieobutą stopą i gruchał — była to jego ulubiona pozycja.

Brandt przestał palić fajkę. Gdy wyjmował ją z kieszeni ptak rzucał się na niego z furją.

— On nie znosi dymu tytoniowego, biedaczek — mówiła Hildegarda. — Trudno, musisz zrezygnować z palenia, przynajmniej w domu.

W stosunku do swoich współbraci ptaszek wykazywał rażące odchylenia smakowe. Groch mu się wkrótce przejadł, domagał się coraz to innego pożywienia. Przepadał za ciastkami z kremem, ostrym gatunkowym serem i sardynkami w oliwie. Gdy Brandtowie siadali do stołu sfruwał tam także i włożył łapami w talerze, podziobał dwa, trzy razy i wynosił się z wyraźną dezaprobatą.

Brandt tarposił wówczas wąż i mówił:

— Wiesz, tego to już za wiele!

— Brzydzisz się? Daj Boże, żeby wszyscy byli tacy czyści. Znam pewnych panów, którzy nie gołą się co dzień i nie zawsze myją ręce przed obiadem.

— A ja ci mówię, że mam go dosyć. Ukreć mu łeb.

Nie doszło do tego. Pewnego dnia Hildegarda wbiegła z płaczem do sypialni, gdzie Brandt zażywał poobiedniej drzemki.

— Co się stało, Hildo? — zawołał przerażony.

— Ach, Muni, nasz ptaszek nie żyje!...

Zapinając piżamę poszedł za nią do jadalni.

Gołąb leżał martwy przed kominkiem. Poprzez puch na brzuszku widać było żółte sadło. Zmarło mu się na otluszczenie serca lub niestrawność.

Upłynęło wiele czasu od śmierci ptaszka. Ale Brandtowie nie zmienili trybu życia. W dalszym ciągu nigdzie nie bywają, nie słuchają radia, inżynier pali fajkę tylko poza domem.

Jan Krawczyk

MURZYN

(Dokończenie z n.º 3)

Przez niedopatrzenie w nr 3 pominięty został cały początkowy ustęp, będący dalszym ciągiem z nr 2.

Ustęp ten podajemy poniżej, przepraszając jednocześnie autora za tę przykrą omyłkę.

REDAKCJA

Dochodził do strumyka gdy podniósł się z kamienia człowiek i cofnął o parę kroków w cień zarośli. Nie wiedział z kim ma do czynienia, a mógł liczyć jedynie na uprzejmość. Uchylił kapelusza i skłonił się grzecznie pytając raczej dla formalności, niż z potrzeby, dokąd prowadzi ścieżyna. Nieznany osobnik, potężnie zbudowany Murzyn, mruknął coś niezrozumiałego pod nosem i zastygł w postawie napiętego wyczekiwania. Was obrzucił go krótkim lecz nieufnym spojrzeniem. Mógł to być ktoś Bogu ducha winien, albo skończony obwieś. Za tym ostatnim przypuszczeniem przemawiał wiszący u pasa potężnych rozmiarów **fakon** oraz dwururkowy pistolet, pochodzący prawdopodobnie z okresu Cabrala, odkrywczy Brazylii.

Gest, jaki Murzyn uczynił usuwając się z drogi, musiał być odpowiednio skwitowany, więc Was powiedział uprzejmie:

— **Obrigado, amigo.**

Przeszkoczył strumyk i zanim poszedł dalej spojrzał poza siebie. Murzyn stał nieporuszony, podejrzliwy i czujny. Was myślał o nim długi czas, zapomniał dopiero o zmierzchu, gdy zaczął rozglądać się za miejscem na nocleg. Znalazł to miejsce pod ścianą gęstej **takuary**, której pochyłe czuby tworzyły rodzaj dachu. Rozniecił ogień dla odstraszania moskitów, posilił się i legł na miękkim listowiu bambusowym, która nie wiadomo dlaczego przypominało mu pachnace podłoże lasów iglastych w ojczystym kraju. Złudzenie było tak silne, że mimowoli pociągnął głęboko nosem. Ale zamiast woni żywicy poczuł zapach butwiejących liści. Był zmęczony. Przymknął oczy chcąc usnąć szybko. By o świtanu puścić się w dalszą drogę. Ale zbudzona ledwie uchwytnym szelestem czujność kazała otworzyć oczy i spojrzeć w nieprzenikniony mrok. Coś żywego skradło się w ciemności. Mógł to być człowiek lub zwierz drapieżny, jednakowo w tej chwili niebezpieczni. Podniósł się cicho i oparł plecami o bambusy. Mając tył zabezpieczony i rewolwer w garści na wysokości piersi czekał co nastąpi dalej. Ognisko ledwie się tliło. W smołowatej czerni nocy nie widział nic. Stopą wyciągniętej nogi podsunął kawałek drewna do ogniska. Węgle się rozżarzyły i krąg blasku poszerzył. Po chwili dostrzegł na tle ciemniejących zarośli cień przyczajonej dwunożnej istoty.

Opanowując wzrastający niepokój powiedział głośno:

— Jeśli nie masz złych zamiarów podejdź bliżej. Krzywdy ci nie zrobię.

Z mroku wyłonił się Murzyn. Teraz wydał się wyższy, bardziej barczysty, tylko krok miał niepewny. Albo się bał, albo udawał bojaźliwego. Wąs nie był zadowolony z tego spotkania.

— Bliżej, bliżej — zachęcił ostrym głosem. — Nie masz czego kryć się w cieniu. No, czego chcesz?

Murzyn chrząknął i powiedział:

— Samemu strasznie w lesie. We dwóch raźniej.

— I ja tak myślę. Przesuń się nieco...

Murzyn kucnął u ogniska. Patykiem poruszył węgle. Zabłysła ciemna, połyskliwa twarz. Wąs obserwował ją z natężoną uwagą. Wiele przeszedł w życiu, miewał momenty poważnego zagrożenia i nie uważał się za tchórza, ale panicznie bał się niespodzianek, takich niespodzianek, które mogły go zaszkodzić.

— Dokąd to los prowadzi?

— Przed siebie.

— To znaczy — gdziekolwiek. Są tacy, którym to nie robi różnicy. No, dobrze. A skąd, jeśli można wiedzieć?

— Z osady nad Comandai.

— Sprzyszykło się?

— Tak — kiwnął głową. — Sprzyszykło się. Zresztą człowiek ma po nogi by się przenosić z miejsca na miejsce.

— Zwiedzanie kraju ma dobre strony — przyznał Wąs, — ale turyści odwiedzają zazwyczaj szlaki bardziej uczęszczane.

— Zgadza się. Dla wyjaśnienia muszę jednak dodać, że zwiedzam te okolice nie dla przyjemności, ale po prostu z musu. Jednym słowem — ukrywam się.

— Urwał i spojrzał na Wąsa.

— Zabiłem człowieka.

Od tego miejsca zaczyna się dopiero c. d. opowiadania z nr 3:

Następne dni zeszyły na karczowaniu puszczy. Kiedy się z tym uporali Wąs przygotował plecak. Wybierał się w drogę.

— Nie wiem czym ci się odwdzięczę — powiedział do Murzyna. — Na razie nie mam pieniędzy, ale nie zawsze tak musi być. Przyjdź kiedy będę miał forszę. Zapłacę z serca i szczerze.

Tavares błysnął białkami oczu.

— To znaczy, że teraz mam odejść?

— No, nie chciałbym cię zatrzymywać dłużej. Nie masz tu co robić. Weź przynajmniej ten fakon na pamiątkę. Dobry jest, przyda ci się. Co, nie chcesz?

Murzyn poczuł się jak na rozdrożu — kilka szlaków przed nim, a nie wiadomo, który wybrać. Coś w jego planach pokrzyżowało się, nie był na to przygotowany.

Wąs zauważył jego wahanie.

— Co zamierzasz zrobić?

— Zilacek wybiera się do Argentyny, ciągnie mnie ze sobą.

— Nie wierzę. Ty patrzysz na niego dziko, a on też gdyby mógł utopiłby cię w łyżce wody. Odkąd zjawiłeś się za-

czął pić więcej. Śledzi cię i obesrduje każdy krok. Coś w tym musi być.

Murzyn przymknął oczy.

— Nic nie było i nic nie ma.

4

Górecki wysyłał dwie karosy do Santo Angelo po towary do sklepu. Wąs przysiadł się na jedną z nich. Pięćdziesiąt kilometrów drogi przez leśne wertepy i okolice dzikie i bezludne kosztowały go zaledwie dwie butelki trzcinówki, z których sam tyknął sporo. Następne sześćdziesiąt kilometrów do Iju udało mu się przebyć w nieco krótszym czasie dzięki dyliżansowi, który w dalszym ciągu robił konkurencję niedawno założonej kolei. Żona powitała go płaczem i śmiechem, a córki wprost szalały z uciechy. Długie miesiące rozłąki ciągnęły się beznadziejnie; wyobrażały sobie co najgorsze.

Wąs przynaglał do pośpiechu. W parę dni byli spakowani. Koleją dotarli do Santo Angelo. Tutaj musieli czekać na okazję. Rozpadało się na kilka dni i drogi stały się nie do przebycia. Upłynął cały miesiąc na oczekiwaniu karos Góreckiego. Gdy wreszcie dotarli do osady nad Comandai — nowy kłopot z wyszukaniem podwozy. Trafił się wreszcie jakiś usłużny rodak, który za niewielkim wynagrodzeniem zawiózł ich w lasy, "na swoje".

Na miejscu Wąsowa chwyciła się za głowę z przerażenia. Dokoła gęsta i dzika puszcza, a pośrodku polany prymitywna szopa. W Polsce krowy miały lepsze obory!

— Ja tu nie wytrzymam — powiedziała z rozpaczą w głosie. — Pędzej chyba zwariuję!...

Groźba ta jakoś nie podziałała na Wąsa. Widział niezadowolone żony, ale nie miał zamiaru ustąpić. Najlepszym lekarstwem na zrzędenie było milczenie, dlatego nie odzywał się ani słowem. Pocieszał się, że z czasem żona przywyknie do nowego miejsca. Świadomość posiadania własnego kawałka ziemi — wspaniałego lasu z dostępem do rzeki — napędzała mu serce radością.

O zmierzchu, gdy żona pitrasila kolację w mrocznej kuchni, z lasu wyłonił się człowiek. Chwilę postął, popatrzył z daleka i w końcu zaczął się zbliżać krokiem niepewnym i wahającym. Dziewczęta narobiły wrasku, że "dziki", więc Wąs wybiegł na dwór gotów strzelać do przybysza. Okazało się, że to Tavares.

— Boa noite. Jak wam idzie?

— Miałeś jechać do Argentyny.

— Miałem, ale rozmyśliłem się. Dość mam włóczęgi. O kilometr w dół rzeki zbudowałem chatkę i tam się urządzam.

Była to dobra wiadomość. Sąsiad! — zawsze to coś znaczy. Wąs poprosił Murzyna do mieszkania i poczęstował szimaronem. Na ścianie wisiała kopczą się lampa naftowa, bez szkła, słabo rozpraszająca mrok. Wąsowa pilnowała garnków, dzieci siedziały grzecznie na stołku, a Tavares rozglądał się ciekawie dokoła. Interesowały go nie tyle przywiezione nieliczne graty, ile sama rodzina. Wąsowa wydała mu się młodą i przystojną kobietą, córki, przyjemnymi dziećmi,

zwłaszcza najstarsza, może już piętnasto czy szesnastoletnia dziewczyna, zapowiadająca się na ładną pannicę. Zanim przyszło ukrywać się i unikać ludzi widział różne dziewczęta. Niektóre były naprawdę piękne, ale żadna nie mogła się równać z tą jasnowłosą i niebieskooką. Miała długie warkoczki, zadarty noseć, dołeczki na policzkach i nieśmiałe spojrzenie. Po prostu aniołek nie dziewczyna.

Mimo woli wyrwało mu się z głębi piersi ciężkie westchnienie.

Wąsowa uchwyciła spojrzenie Murzyna. Nie podobało się to jej.

— Basiu, zabierz dzieci do mieszkania.

— I co zamierzasz robić? — pytał Wąs.

— Co? Przyjdiesz to zobaczysz. W każdym razie zostaję tu na stałe.

— I dasz sobie radę?

— A ty dasz?

— Ja mam dzieci, żonę, one pomogą. A tobie kto?

— Właśnie patrzę na nie. Muszę przyznać, że masz dużo odwagi...

— Odwaga odwaga, a tu przede wszystkim trzeba wytrwałości — zagadał szybko Wąs w obawie by Murzyn nie zaczął przy żonie wykladać swego poglądu na sprawę osiedlania się w puszczy.

Tavares pogawędził jeszcze chwilę, wreszcie pożegnał się i poszedł. Wąsowa wystąpiła z pretensjami.

— Nie podoba mi się twój przyjaciel. Czy zauważyłeś jak patrzył na Basię? Myślałam, że ją poźre. Zobaczysz, jeszcze z tego będzie bieda.

— Nie gadaj głupstw. Wam, babom, zdaje się, że ktoś na was spojrzy to zaraz ze specjalną intencją. Tavares to dobry chłop.

— Sam przecież opowiadałeś, że uciekł przed kimś. Na darmo nie uciekał.

— Nie wiadomo. Czasami — wiesz jak to bywa — człowiek uczepli się niewinnie i potem męczą. Dlatego uciekł.

— Już ty go nie usprawiedliwiał! — wrzasnęła poirytowana. — Sam jesteś taki sam i dlatego go bronisz. Gdybyś był porządny to byś nas tutaj nie ciągnął. Co będzie z dziewczętami, czyś ty się zastanowił nad tym? Basia dorasta, a za nią drugie, i co?... W tej pustyni chcesz je trzymać? Za kogo wydasz za męża? Za tego Negra? Na czysto zwariowałeś!... Jutro — słyszysz co ci mówię? — jutro stąd wyjeżdżamy.

Nigdy jeszcze nie widział żony tak zagniewanej. Jakby ją giez ukąsił lub złe napadło. Nie czekając kolacji wyleciał na dwór. Było ciemno, niebo skrzyło się od gwiazd, las pachniał, świerszcze cykały w trawach. Siadł na pnju i zapatrzył się w mrok. Zaciskał pięści, postanawiał nie poddawać się presji żony.

Baba stworzona jest do gadania — rozmyślał, — decyduje jednak tylko mężczyzna.

Przyznawał częściowo żonie rację, ale przecież on także miał słuszość.

Nie spodziewał się od życia żadnych ułatwień, żadnych sprzyjających i korzystnych okoliczności, wręcz przeciwnie:

trud, troski i pracę ponad siły. Nie bał się wszakże bo widział cel przed sobą. Nie dostrzegała tego żona lub może nie chciała dostrzec. Przyjechała gdyż wyobrażała sobie, że zastanie wszystko gotowe, że tylko ręce założyć, po ogrodzie będzie chodzić i spoglądać okiem pani na gospodarstwo.

— Tfu! — splunął nagle ze złością. — Na to musi trochę poczekać.

Pustka go nie przerażała. Wierzył że to długo nie potrwa. Przecież jadąc z rodziną z Santo Angelo mijali sporo furmanki kolonistów ciągnących w te strony. Przed kilku miesiącami osada nad Comandai miała ze sześć chałup, teraz jest ich tyle, że nie policzy. Jedna tylko żona tego nie widzi.

— A niech ją! — zacisnął zęby. — Choćby meła ozorem dzień i nos i tak stąd się nie ruszę. A ona nigdzie nie polecie, bo będzie się bała.

5

Był zły jak sto diabłów i nie potrafił tego ukryć. Przyjaźń przyjaźnią. Można w jej imię cieszyć się z racji czyjejś wizyty, tylko nie na dłuższą metę. Gdyby chodziło o brata, to inna sprawa, ale Zilacek? Pracowali razem, no dobrze, może miał mu nawet coś niecoś do zawdzięczenia, ale to nie mogło zobowiązywać do nadskakiwania chłopu dlatego, że jest gościem, robienia przyjemnych min zaśmiewania się z kawałów, które znał na pamięć, a których nie powinny słyszeć córki.

Zilacek przyszedł w zupełnie niepowodnym momencie. Pracy było huk, że choć się rozerwij. Cześć jakby tego nie widział, łąził za Wąsem krok w krok i głądził o nieważnych sprawach. Trzeba było anielskiej cierpliwości, aby to wytrzymać.

— Argentyna nie dla mnie — zwierzał się po raz setny. — Kastylia to zarozumiała naród. Czescy koloniści myślą tylko o robieniu pieniędzy; a Polacy żrą się między sobą. Do diabła z tym wszystkim!... Czas chyba i mnie skończyć z tułaczką. Lata leca, a człowiek nic nie zyskuje. Tyle chyba, że więcej zmarszczek na gębie i siwych włosów na łbie.

Wąs stwierdził ten fakt nie bez pewnego zdziwienia. Zilacek nie był stary — miał najwyżej trzydzieści dwa lata. To nie życie ale wódka go marnowała. Gdyby nie pinga mógłby uchodzić za dorodnego mężczyznę. Wysoki, dobrze zbudowany, trzymał się prosto i ruchy miał energiczne, pewne siebie. Ale z pijaństwa dostał worków pod oczami, twarz mu obrzękła, sflaczała, żrenice straciły blask, a ręce drżały.

— Pijesz jeszcze?

— Na moim miejscu i ty byś pil.

— A co cię do tego zmusza?

— Co? Przeżycia... Myślisz, że łatwe miałem życie? Teraz to się odbija.

— Kaput z tobą.

— Sam to widzę. Mam ochotę wygrzebać się z nałogu ale brak siły woli. Czasem wydaje mi się, że tylko kobieta mogła by mnie wyratować.

— Jaka kobieta?

— Jakakolwiek. Kochająca, szanująca i oddana. Wiesz, kobieta zmusza mężczyznę do pewnych zobowiązań. Może bym się ustatkował, osiadł niedaleko, choćby za Tavaresem. Niezbyt mi się uśmiecha sąsiedztwo tego czarnego diabła, ale niech go!... W imię miłości bliźniego gotów jestem zapomnieć o kolorze jego skóry i traktować jak równego sobie człowieka. Zresztą - dodał, - na razie mieszkam u niego...

Tak, Tavares go tu przyprowadził i zaraz się ulotnił. Wiedocześnie nawet on nie mógł znieść uciążliwego towarzystwa Czecha. Wąs spojrział na Zilacka takim wzrokiem, jakim się zwykle darzy natrętnego przybłędę. Ten zaś albo tego nie widział, albo to nie robiło na nim wrażenia. Pozostał na ośbiedzie. Później znowu włóczył się za Wąsem, aż wreszcie poszedł nad rzekę, gdzie Basia prała bieliznę. Usiadł na kamieniu i jakiś czas milczał, spoglądając na pełne kolana dziewczyny, wyglądające spod podkasaney sukienki. Później zaczął opowiadać różne kawały, zaczerpnięte z niewybrednego repertuaru. Dziewczyna chichotała wstydliwie odwracając twarz, uciekała szrokiem przed jego natarczywymi spojrzeniami, a czasem miała ochotę podnieść się i uciec do domu. Powstrzymywała ją przed tym jedynie obawa, że ojciec mógłby ją za to skarcić. Bądź co bądź obaj razem pracowali, przyjaźnili się i ojciec dotychczas wyrażał się o Zilacku raczej dodatnio. Chwilami Czech popadał w zadumę, patrzył na spienioną wodę, gwizdał. Wreszcie wracał wzrokiem do dziewczyny, uśmiechał się i powtarzał z pijackim uporem:

— Basiu, milenko, ożenim se s tobou!...

— Akurat, potrzebne mi to do szczęścia.

— Potrzebne czy nie potrzebne, ale taki już los dziewcząt. Rodzą się po to, aby wyjść za mąż.

— Może inne, ja nie jestem taka.

— Zrozum, Basiu, muszę mieć babę

— A na co?

— Żeby mi jeść gotowała, sprzątała, porządki robiła, życie umilała.

— I gdzie to wszystko ma robić?

— Zobaczysz jaki dom wystawię. Przy nim wasza buda nic nie jest warta.

— Do takiego pałacu koniecznie trzeba królowny.

— Ty jesteś dla mnie więcej, niż królowną.

Dziewczyna zatkała sobie uszy. Ten olbrzym, niepokoił ją, onieśmiał i śmieszył jednocześnie. Jeśli marzyła w swych dziewczyczych snach o mężu to w każdym razie nie o takim jak Czech. Twarz miał spijaczoną, oczy tępe i ruchy ociężałe, powolne. Nie, ktokolwiek inny, tylko nie Zilacek. Porwała się nagle na nogi i pognęła do domu.

Zilacek włóczył się jeszcze tu i tam, dopytywał, wpraszał z pomocą, choć nikt jej nie pragnął. Późnym wieczorem powlókł się do chaty Tavaresa.

Nie było go przez kilka dni. Wąs cieszył się, że Czech uprzykrzył sobie puszcze i wyniósł się w inne strony. Był to bowiem tęp człowiek, który nigdzie nie zagrzewał długo miejsca. Byłoby lepiej — rozmyślał, — gdyby się wyniósł stąd. Mógł mieć na dzieci wpływ demoralizujący. Zna już

zwróciła na to uwagę. Psiakrew! Brazylia taka duża, niechby się zabrał bodaj do Mato Grosso!

Ale czwartego czy piątego dnia Czech zjawił się znowu. I to w czasie obiadu. Nie pozostawało nic innego jak zaprosić go do stołu. Mówił, że szukał odpowiedniego na osiedlenie miejsca. Znalazł je, oczywiście, również nad rzeką, tylko cokolwiek dalej za Tavaresem. W pobliżu działki, którą sobie upatrzył, osiadają rodziny kolonistów niemieckich, pochodzące z São Leopoldo.

Obiad przebiegał spokojnie, gość starał się być interesujący. Chciał się ukazać się w korzystnym świetle, bo dobierał słów i często zerkał na Basię, aby sprawdzić jakie robi to na niej wrażenie. Opowiadał ciekawe fakty z własnych przeżyć, a te miał urozmaicone. Jako młody chłopiec wyemigrował z rodzinnego Kipidna do Italii, skąd później dostał się do Hiszpanii; włóczył się tam kilka lat. Do Brazylii przybył jako robotnik okrętowy. W Santos dźwigał worki z kawą przez całe upalne lato, aż się w końcu ciężko rozchorował. Kiedy wyzdrowiał po długiej kuracji był bez grosza przy duszy. Wybrał się wtedy pieszo do Porto Alegre. W Novo Hamburgo związał się z pewnym Niemcem; założyli warsztat kołodziejsko - kowalski. Spółka nie trwała długo, pokłócili się i rozeszli. Zilacek zaczął wędrowkę po polskich koloniach w stanie Rio Grande do Sul. Co robił i jakich zawodów się chwycił tego by nie spisał na wołowej skórze i nie opowiedział przez dziesięć dni, gdyby nawet gadał bez przerwy dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Miał ciekawe spostrzeżenia i umiał opowiadać z humorem. Dziewczeta siedziały wpatrzone w niego jak w tęczę i słuchały z pootwieranymi buziami. Basia raz po raz wybuchała śmiechem, spoglądając na Zilacka z pewnym niedowierzaniem, a równocześnie z podziwem. Czech był dziś starannie wygolony, włosy pod wpływem jakiegoś pachnącego płynu lśniły nieskazitelną czernią. Białych nitk siwizny jakos się nie widziało, człowiek jakby odmłodził, oczy świeciły żywym blaskiem, biła od niego pogoda, pewność siebie i zadowolenie.

Wąs przysłuchiwał się z namarszczonym czołem i posępną miną. Nie podobały mu się Zilackowe historyjki na tematy miłosne, którymi sypał dla okraszy przygód. Wąsowa siedziała naindyczona, raz po raz strzelając złym spojrzeniem w kierunku męża. Czuł, że za to co się dzieje żona ma pretensję tylko do niego. Aby rozładować napięty nastrój wysyłał Basię do kuchni to za tym, to za owym. Czech oglądał się za nią, przerywał opowiadanie czekał póki nie wróciła. Wąsowie wietrzyli niebezpieczeństwo, ale nie wiedzieli, jak Basię przed nim zabezpieczyć.

A Basia, jak to Basia, słuchała chętnie Zilackowych opowieści. Nie zastanawiała się co prawda, a co zmyślenie, co opowiada bezinteresownie, a co w określonym celu. Wszystko było dla niej równie ciekawe i równie zabawne. Zilacek zyskiwał na szacunku z racji swego otrzaskania się po świecie, już nie boczyła się na niego i chciwie nadstawiała ucha. Gdy wreszcie Czech pożegnał się i poszedł zapytała:

— Kiedy on miał czas widzieć tyle ciekawych rzeczy?

— Taki stary byk jedno słowo powie prawdziwe a dwadzieścia nieprawdziwych — rzuciła posępnie matka.

— Jaki on tam stary!...

Wąsowie spojrzeli na siebie zaalarmowani.

6

Na widok Wąsa, Tavares przerwał pracę. Wsparł się na motyce i czekał. Miał ochotę okazać radość z powodu przybycia sąsiada, którego polubił na swój sposób, tylko krępowała go obawa, że może to nie wypadać. Z białymi nigdy nie wiadomo jak i co. Niby tacy sami jak czarni, a przecież w głębi duszy jacyś inni, skryci, podejrzliwi, zachłanni, arogancy i butni. Wyższa rasa!... Na ten temat miał swój pogląd, poparty nie jednym doświadczeniem. Choćby taki Zilacek: gardzi nim, bo czarny i śmierdzący, ale przecie żre wszystko co te czarne ręce przyrządzą. Wąs jest wprawdzie bardziej ludzki, przystępniejszy, życzliwszy, ale przecie i w nim diabeł może drzeć...

— Patrzę na twoją chatę i nie mogę zrozumieć, jak ty i Czech możecie się w niej zmieścić — rzekł Wąs.

— Mała z wyglądu, ale pojemna.

— Bardzo mała. Myślę, że jak twój gość śpi wyciągnięty to nogi wystają mu przez drzwi.

— Prawie — zaśmiał się Tavares. — I to nie tylko w nocy, bo i w dzień lubi leżeć.

— I jak ty z nim wytrzymasz?

— Ano, wytrzymuję.

— Długo tego będzie?

W tym był sęk i Tavares często zadawał sobie to pytanie. Czech żał za dwóch i jeśli nie wylegiwał się do góry brzuchem to włożył po puszczy. Pomocy z niego żadnej, a ciężar znaczny. Gdyby się wreszcie zdecydował zabrać na swoją działkę, o której tyle mówi, ale diabła mu się tam chce działać! Po prostu buja, mydli oczy, a po co?...

— No, chyba poto, żebym mu dziewczynę dał..

— Co, Basię?

— Ano, krąży koło niej od kilku dni. Kością mi już w gardle staje. Żona spać nie może i stale mnie płuje. Zrób z nim co, powiada, — bo ja dłużej nie wytrzymam. Jak mi się pokaże, — powiada, — jeszcze raz, to, powiada, — ukropem ślepie mu wypalę!... Sam chyba zauważyłeś, że jest porywczym, więc w przystępie gniewu rzeczywiście może chłopca oślepić. I na co to mu? Czy nie lepiej, żeby sobie poszedł? Może gdzieś indziej znajdzie kobietę, która będzie do niego pasowała i wiekiem, i urodą, i doświadczeniem. Sam przecież wiesz, że Basia — to jeszcze dziecko.

— Dziecko — przyświadczył Tavares w zamyśleniu.

— Ot, widzisz, jaki to kłopot zwał się na nas. Ty masz lokatora, który jest ci ciężarem, my zaś w domu niepokój i burzę po każdej jego wizycie. Jak dłużej to potrwa, zbałamuci mi jeszcze córkę i co wtedy?

— Zbałamuci napewno — potwierdził Murzyn. — Już ja go znam. To urodzony babiarz...

— Każdy powinien wiedzieć gdzie, kiedy, co i z kim. A ten na nic nie zważa. Cholera! — zaklął. — Chyba wezmę pały i przepędzę go na cztery wiatry.

— Chcesz się z nim bić?

— Jeśli nie będzie innego wyjścia...

— Znam go nie od dziś, wiem więc co to za typ. Uparty i swego musi dopiąć.

— Tymbardziej trzeba go przepędzić. A gdybyś mu zaproponował, żeby sobie poszedł?

— Czy to pomoże? Już raz mu powiedziałem. Ale gadać do niego, a do słupa na jedno wychodzi. On nigdy nie jest trzeźwy i dlatego mowy ludzkiej nie rozumie.

— Więc co zrobić? — zafrasował się Wąs.

Murzyn milczał. Grube wargi zacisnął, tylko białka oczu mu błyszczały. Zdawało się, że coś ukrywa, że boi się zdradzić. Wąs zdjął kapelusz, poskrobał się w gęstą czuprynę i westchnął:

— Trudno, przygotuję pałę i każę mu iść w diabły. Mam dosyć tego towarzystwa. Co by był ze mnie za ojciec, gdybym pozwolił zbałamucić własną córkę.

Tavares przestąpił z nogi na nogę.

— Słuchaj Antonio, co ci powiem. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem Czecha, poznałem w nim faceta, który jest sprawcą mojego nieszczęścia. Powiedziałem ci kiedyś, że zabiłem człowieka. To nieprawda. Cięży na mnie podejrzenie, ale zabójcą jest właśnie Żilacek.

Wąs stuknął się palcem w czoło.

— Zawsze podejrzewałem, że coś między wami zaszło. On patrzył na ciebie zawsze bokiem. Dziw, że cię nie poznał.

— Dorozumiewał się, ale przez pingę pamięć się w nim przytępiła. I teraz, kiedy nie jest pijany jeszcze mu się coś majaczy, ma podejrzenia. Wówczas kiedy się to stało był też pod gazem. Odkąd go spotkałem zawsze lubił wypić. A na *estancji* Umbuzeiro była możliwość picia na umór. Sam *coronel* Castro za kołnierza nie wylewał. Sprowadził Czecha, żeby mu zmontował młyn herwowy.

Wąs słuchał Murzyna ze wzrastającym zdumieniem. Oto odkrywała się karta z życia Czecha, którą dotychczas starannie ukrywał. Czynił to słusznie, gdyż była to zapewne najczarniejsza karta w jego życiu. Z opowieści Murzyna wynikało, że *coronel* Castro nie był złym człowiekiem, ale gdy popił uganiał się za dziewczkami, nie przebieając w wieku i kolorze. Spodobało się to Czechowi, który nawet prześcignął pod tym względem gospodarza. Każdej nocy dobierał się do innej Mulatki lub Murzynki. Jedna z nich, właśnie ta, którą sobie Tavares z dawna upatrzył na żonę, była jego stałą kochanką. Trwało to dopóki nie zaszła w ciążę. Cięża i rodzenie bekartów nie były nowością na *estancji* Umbuzeiro. Przychodziły na świat dzieci niewiadomych ojców w różnych kolorach, o włosach krótkich, kręconych, lub gładkich i twardych, jak końska szczecina. Czech nagle się opamiętał. Może zląkł się, żeby nie urodziło się dziecko czarne o jego rudych włosach, a może miał inne skrupuły. Dość, że którejś nocy Murzynkę znaleziono zimną, o wyszczerzonych zębach. Czech od razu krzyknął, że to Tavares, a *coronel*, gdy oprzytomniał po przepiciu kazał pojmać Murzyna. Wywiązała się walka, w której oberwało się porządnie samego *corone-*

lowi, bo Tavares wybił mu oko, choć cios wymierzony był Czechowi. W końcu Murzyn zdołał ujsć, a to dzięki wyrozumiałości służby, która orientując się doskonale w całej historii niezbyt ochoczo go chwytala.

— I ty go gościsz pod swoim dachem?

— A goszczę — pośepnie odparł Tavares. — Sto razy mógłbym go zadusić, czy zarżnąć jak prosię, ale jakoś nie mogę zdobyć się na to. Nie sumienie wstrzymuje mnie przed tym, sam nie wiem co. Nie powiem, żebym nie pragnął zemsty. Pamiętam stale, że zmarnował mi dziewczynę i przez niego długi czas stroniłem i stronię od ludzi. Coronel Castro jest bardzo znany, jedno jego słowo, a obedrą mnie żywego ze skóry...

Wąs podrapał się znowu w czuprynę.

— Wiesz, — powiedział tknięty nagle jakąś myślą, — ty go zostaw. Ja go przepędzę, a wtedy może i od ciebie odejdzie. Po co masz mieszać się jeszcze do moich spraw, gdy masz swoją, większą i boleśniejszą.

— Nic mu nie poradzisz. Ja go znam, to bestia uparta. Każda kobieta jest dla niego tylko samica. Musi ją posiadać, obojętne jakimi środkami. Może jednak lepiej było by go unieszkodliwić...

— Nie, nie. Proszę cię nie odbieraj mu życia. Już ja go namówię, kiedy przyjdzie do mnie — a może już tam jest? — że by opuścił te strony.

Murzyn miał szwyr ściągniętą, czoło zmarszczone i dwie głębokie bruzdy koło ust.

— Jak sobie chcesz — mruknął niechętnie.

7

Zilacek był niezwykle podniecony i pił na umór od rana. Tavares obserwował go z napiętą uwagą i, gdy Czech opróżniał butelkę stawał zaraz następną. Robił to niby obojętnie. Zilacek zaś był nienasycony. Trawił go ogień który usiłował uśmierzyć bezskutecznie. Pił pingę wprost z butelki, bełkotał do siebie po czesku, czasem mruczał zapomniane melodie. Niekiedy wstawał i chodził po izbie, kopiąc ze złością nieliczne sprzęty. Tavares patrzył na to w milczeniu.

— Negrze, — mruczał Zilacek, — fajny z ciebie chłop, choć jesteś czarny. Bodaż się tacy na kamieniu rodzili. Ale ten Polaczek, to żmija zdradliwa nie człowiek. Fałszywy i przewrotny jak wygłodniała onca. Sam nie wiesz kiedy ci do gardła skoczy. Uprzejmie zagaduje, gości i głąska, choć do rany przyłoży. A kiedy myślisz, że masz brata przed sobą, pokazuje ci zęby jak wściekły pies.

— A co, może nagadał ci co?...

— A nagadał, że niech go jasny szlag!

— Głupstwo, niech gada. Siedź spokojnie i nie ciskaj się. Każdy ma prawo gadać.

— Łatwo ci mówić, bo nie ciebie to spotkało.

— Ech, co mnie spotkało lepiej o tym nie wspominać. Pij i przestań głądzić.

— Piję. Skąd nabrałeś tyle wódki?

— Kupiłem za skórki, które trzymałem w komorze. Dobra pinga, prawda?

— Dobra. Jak myślisz, co Wąs może do mnie cierpieć?
— Nie wiem, chyba nic. Zdaje się, że już zaczynasz majaczyć.

— Diabła tam majaczyć. Nie od dziś zauważyłem, że się na mnie boczy. Ha, boi się o córeczkę. A przecież i tak musi ją komuś dać.

— Oczywiście, tylko nie takim jak my.

— Bzdury pleciesz. Tyś czarny a ja co innego.

— Starzejesz się; myślisz, że odda ją staremu?

— A jednak dziewczyna jest mi przychylna, mogę przysiąc.

— Łudzisz się.

— Nic podobnego. Jak długo siedzę tu u ciebie? Chyba z pół roku. A więc czasu dość, żeby nabrać pewności.

— Może dziewczyna tylko przez grzeczność nie daje ci do zrozumienia, że brzydzi się tobą, a ty zaraz Bóg wie co...

— Ech, ty nie wiesz nic. Czarny ty, duszę i rozum też masz czarne. Czy zwierzę zna się na ludzkich uczuciach? Tak samo i ty. Skąd możesz wiedzieć, co czuję do tej dziewczyny, hę? Powiem ci sam: ogień czuje w sobie, ogień mnie trawi dzień w dzień, pochłania mnie całego. Męcę się.

— Ona ma ojca, który ci jej nie da.

— Właśnie już mi to przypomniał. Nawet dobitniej, niż należało. Ale ja tak łatwo nie rezygnuję. Nie takie jak ona zdobywałem i wszystko szło gładko. Jak więc sądzisz...

Nie dokończył myśli, przypiął się znowu do butelki. Spożycie miał mętne, nieprzytomne, ruchy rąk niezgrabne, sztywne, pinga łała mu się po brodzie za koszulę.

— Szkoda wódki — spokojnie zauważył Tavares.

— Nie żałuj, kiedyś ci zwrócę.

Czknął potężnie i raptem podniósł się ze stołka. Luźną koszulę z trudem wcisnął w spodnie, zapiał pas i rozstawił szeroko nogi, jak człowiek, który nie może utrzymać równowagi.

— Czas na mnie — mruknął niewyraźnie. — Zobaczymy...

Wetknął nóż głębiej za pas, poprawił rewolwer dyndający się w takt chwiejącego się tułowia.

— Zobaczymy... Albo ona... albo... jej... tatulek...

Tavares zagroził mu drogę, chwycił w pól i zaciągnął w kąt.

— Połóż się i wypocznij. Pójdiesz później, wyglądasz teraz jak świnia.

Zilacek szarpnął się, pchnął Murzyna aż poleciał na ścianę i zawołał z wściekłością:

— Precz, bo cię przebiję. Sam jesteś świnia i do tego czarna. Śmierdzisz jak cholera!...

Przez chwilę wydawało się, że Tavares rzuci się na Zilacka i wyładuje na nim wszystko, co się w nim uzbierało przez lata tułaczki, ukrywania się, głodówki i poniewierki. Ręce same szukały noża, oczy przesłaniała mgła nienawiści, coś krzyczało mu do ucha: "Bij, przyszła odpowiednia godzina!"...

Przeciągnął dłoń po spoconym czole i aż się zadziwił, że tak łatwo mu się udało opanować nerwy. Wyprostował się i splunął z obrzydzeniem za wychodzącym Zilackiem. Nie tylko czuł nienawiść ale i obrzydzenie do tego człowieka. Nie — postanowił sobie, — nie zbruka rąk krwią tego łajdaka, nie będzie dybał na

jego życie, niech żyje jak najdłużej. Ale przecież jest tyle sposobów, by zemścić stało się zadość. Wiedział teraz co uczyni.

Począł jakiś czas i, gdy się upewnił że Czech już znacznie się oddalił, wyszedł za nim. Na ścieżce prowadzącej do Wąsów przyspieszył kroku. Od częstej wędrówki Zilacka tam i z powrotem była tak wydeptana, że mógł się nią, posuwając z zamkniętymi oczyma. W pewnym miejscu potknął się niespodzianie na przedmiocie leżącym jak pień w poprzek ścieżki. Zaklął szpetnie i zaraz spostrzegł, iż ma przed sobą Czecha. Szarpnął go za ramię. Tamten nie zbudził się z pijackiego zamroczenia. Wówczas Tavares wyciął kilka prętów *cipó*. Skrępował Czechowi ręce i nogi, chustką zawiązał oczy i kawałkiem jego własnej koszuli zakneblował usta. Następnie zerwał źdźbło trawy i dmuchając pociągnął po niej szybko ostrzem noża. Próba wypadła zadowalająco. Pochylił się; dźwignął skrępowanego Zilacka i zarzucił sobie na plecy. Stękał uginając się pod ciężarem, gdyż Czech ważył co najmniej sto kilo. Posuwając się prawie krok za krokiem minął chatę i nie zatrzymując się powędrował dalej.

“Zadam ja ci lekarstwo na poskromienie jurności — myślał ze wzrastającą zawziętością. — Ponościł cię na widok kobiet, ale teraz to się już nawet nie obejrzysz, choćbyś spotkał nie wiem jakie cudo. A jeśli to zrobisz to tylko po to, żeby splunąć z niesmakiem.

W głębi puszczy była nad rzeką jama, wykopana przez powalone burzą drzewo. Miejsce to wydawało mu się najodpowiedniejsze. Nikt tam nie zajrzy.

Zgięty, sapiąc ciężko, zlany potem szedł przedzierając się przez gęste zarośla. W dole panowała cisza, ale górą kłóciły się papugi i w pobliżu *pica-pau* obstukiwał próchniejącą *perobę*.

Jan Krawczyk

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

Niechże i mnie wolno będzie wyrazić swój pogląd o kwartalniku “Skarpa”. Uważam, że skoro pismo ukazuje się w określonym stylu i ramach jako pismo literackie nie powinno się zmieniać jego charakteru. Mam jednak zastrzeżenia co do układu. Przede wszystkim na pierwszej lub ostatniej stronie należy zamieszczać spis rzeczy. Brak również artykułu wstępnego, wyrażającego poglądy redakcji.

Po drugie uważam, że “Skarpa” powinna być redagowana podobnie jak “Seleções Reader’ Digest” przez co rozumiem, że należy zamieszczać tylko jedną dłuższą powieść, a wszystkie inne artykuły powinny być skondensowane do maximum i tematycznie zróżnicowane w działach: pedagogicznym, naukowym, literackim, historycznym, biograficznym, sportowym, humorystycznym itd.

Nie podzielam natomiast obserwacji p. St. Hessla, który chciałby wprowadzić do pisma informacje o wypadkach krajowych i zagranicznych. Kogo interesują tego rodzaju wiadomości niech zaprenumeruje sobie inne pisma polonijne, jak np. “Lud”. “Skarpa” jest pismem literackim i nie może zastąpić gazety.

Dr S. Felix Werpachowski

**Se V. pensa que MASTER
é um cigarro
igual aos outros,
vai mudar de opinião
logo na primeira tragada.**

RICA DE CIGARROS FLORIDA S/A

(Porque **MASTER**
é um novo conceito
em cigarros.)



Książki, książki...

POD PRĄD

Ukazała się na półkach księgarskich książka gen. Tadeusza Machalskiego: "Pod prąd". Jest to książka niezmiernie ciekawa, szczególnie dla naszego pokolenia, które przeżyło to wszystko, co w niej wymienione największy i najważniejszy okres naszego życia, klęskę wrześniową roku 1939.

Gen. Machalski, były oficer kawalerii austriackiej i później polskiej, oficer Sztabu Generalnego i długoletni dowódca pułku kawalerii na Kresach, porusza w swej książce genezę klęski i opisuje przebieg samej kampanii. Jest to gorzka książka, doskonale jednak, przejrzyste, bardzo dobrym stylem napisana, budząca wspomnienia tragiczne w sposób zupełnie wyjątkowy. Nie mamy tu do czynienia ani z historią, ani z pamiętnikiem, lecz z opisem zdarzeń prawdziwych przez człowieka, który żył i działał w okresie niepodległości i który ją utracił jak my wszyscy, ale posiada kwalifikacje do oceny wydarzeń, zwiastując w zakresie wojskowym.

Gen. Machalski próbuje być bezstronnym narratorem. Niestety, nie robi tego wrażenia na czytelniku. Za wiele w nim jest jak gdyby pasji i nienawiści, stąd szalenie subiektywne traktowanie nieledwie każdego zdarzenia, stąd dyskwalifikująca krytyka każdego posunięcia politycznego, czy wojskowego, zbyt wiele "gdyby" i zbyt wiele krytyki posunięć i decyzji wtedy, kiedy się już wie co faktycznie zrobił przeciwnik. Łatwo w takim wypadku powiedzieć dziś jak a powinna być właściwa decyzja w danym czasie, gdy była pobierana, kiedy to co zrobi przeciwnik stanowiło najbliższą tajemnicę i najtrudniejszy element do oceny.

Gen. Machalski dochodzi do przekonania, że gdyby polskie wyjściowe ugrupowanie wojenne było inne, niż faktycznie walka na naszym froncie mogła przeciągnąć się o kilka miesięcy. Francja musiałaby przystąpić do ofensywy już 15 września 1939 roku na ogołocone z wojska zachodnie Niemcy i wojna mogła by być wygrana w krótkim czasie. W wypadku lepszej wydolności polskiego oporu wojennego we wrześniu Rosja, twierdzi gen. Machalski, nie weszła by najprawdopodobniej w granice Polski, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Dalej gen. Machalski uważa, że nawet przy istniejącym wyjściowym ugrupowaniu wojennym, takim nieodpowiednim jakim było, można było prowadzić walkę ze znacznie lepszym rezultatem do czasu czynnego wystąpienia aliantów, gdyby było właściwe dowodzenie już w czasie wojny tak ze strony naczelnego wodza, jak i dowódców armii.

Nie ulega żadnej wątpliwości, jak się wydaje, że dowódcy armii i naczelne dowództwo polskie nie znajdowali się na poziomie, że wyżsi dowódcy nie posiadali absolutnie żadnych kwalifikacji na te stanowiska, że popełniali karygodne, koszarne błędy i ponoszą winę za t a k ą klęskę, jakiej Polska doznała, że gorycz zalewa serce człowieka i podnosi się bunt, że tacy ludzie dowodzili ofiarną masą i do takiego doprowadzili rezultatu cały wysiłek narodu przez 20 lat niepodległości.

To jedna strona medalu, ale żeby ją uwypuklić należało by właśnie przeanalizować ją bez namietności, przedstawić we właściwej skali i naświetlić wszystkie inne aspekty zagadnienia, aby usunąć wątpliwości nasuwające się przy czytaniu książki gen. Machalskiego.

Będę mówił jedynie o sprawach czysto wojskowych — planu wojny i jej wykonania.

Zacznijmy od pierwszego zagadnienia.

Gen. Machalski analizuje plan wojny Rydza Śmigłego na przykładach rosyjskiego planu wojny z r. 1914. Uważa, że plan Rydza Śmigłego był zły, ponieważ opierał się na przeciwstawieniu się hipotetycznemu planowi działania niemieckiemu zamiast na realnościach terenowo-strategicznych obszaru polskiego i generalnej linii strategii niemieckiej niezmiennej od Schlieffena i Moltkego oraz na duchu niemieckiego Sztabu Generalnego, dążącego do rozwiązań maksymalnych typu Kann tj. zniszczenia przeciwnika w drodze całkowitego strategicznego okrążenia całości sił całością sił.

Wskutek tego gen. Machalski uważa, że marszałek Rydz popełnił zasadniczy błąd, grupując gros sił polskich w centrum frontu ze słabymi siłami na skrzydłach północnym i południowym, co doprowadziło do kompletnego upadku polskiego oporu już w drugim — trzecim dniu wojny. Sądzi on, że gdyby marszałek Rydz posiadał gros sił na północnym i południowym skrzydle frontu (naprzeciw Prus Wschodnich i w rejonie Kraków - Karpaty), zmasowaną kawalerię w części środkowej ugrupowania (rejon Poznań-Lódź) i odwody na wschodnim brzegu Wisły — kampania mogłaby się przeciągnąć wiele miesięcy, Francja wejść do wojny itd.

Gen. Machalski chce uzasadniać swoją koncepcję rzeczywistym przebiegiem wydarzeń tj faktem, że Niemcy zaatakowali Polskę kleszczowo dwoma potężnymi ramionami — z północy od Prus Wschodnich w kierunku na Brześć Siedlce i z południa z rejonu Kraków-Karpaty w kierunku na środkową Wisłę, Lublin - Brześć, aby zniszczyć całość polskich sił na wschodnim brzegu Wisły, pozostawiając bez poważnego nacisku to wszystko co znajdowało się na przedpolu zachodnim Warszawy.

Hitler liczył, że w ten sposób pobije Armię Polską bez frontalnego angażowania się i że znajdujące się tu siły polskie wpadną w jego ręce na wschodnim brzegu, okrążone od tyłu, bez zaplecza i komunikacji. Gen. Machalski chce udowodnić, że to się rzeczywiście stało tak jak Hitler planował na skutek polskich błędów, ponieważ było źle i nieodpowiednie ugrupowanie wyjściowe — słabe polskie skrzydła i **zbyt silne centrum**.

Tu coś nie gra w rozumowaniu gen. Machalskiego. Fakty przeczą rozumowaniu i wnioskowi.

Cóż bowiem się stało? Uderzenie niemieckie wyszło istotnie idąc po linii wielkiej koncepcji okrażenia Polaków na wschodnim brzegu Wisły. To główne, zdaniem gen. Machalskiego, działanie niemieckie uporało się szybko z oporem znacznie słabszych polskich armii Narew i Modlin na północy i armii Karpaty i Kraków na południu, spychając te ostatnie armie na środkową Wisłę, Lwów i dalej w obszar Tomaszowa Lubelskiego. Polskie skrzydło północne zostało zepchnięte na południe w stronę Modlina i Warszawy, ale gros jednostek niemieckich poszło na Brześć. Według gen. Machalskiego doprowadziło to do polskiej klęski, jako konsekwencja złego, wadliwego ugrupowania, gdyż zabrakło odpowiednich sił na kierunkach głównego i możliwego do przewidzenia uderzenia niemieckiego.

Cóż jednak stało się z tzw. **silnym** ugrupowaniem środka - armiami: Pomorze, Poznań i Łódź, na które wyszły jedynie drugorzędne siły niemieckie? Armie te zostały również pobite, bardziej, pewniej i dokładniej, niż armie skrzydłowe. Przeszły one na drugi brzeg Wisły zupełnie zdruzgotane, raczej szczątki ich i już przed 11 - 12 września, podczas gdy armia Kraków poddała się dopiero 15 września w rejonie Tomaszowa. Fakty te świadczą, że nie tylko złe ugrupowanie, złe dowodzenie Naczelnego Wodza i dowódców armii rozstrzygnęło o klęsce. Musiały być również inne czynniki i przyczyny. Przyczyny te gen. Machalski jakby świadomie przemilcza, rzucając cały ciężar odpowiedzialności na jeden z powodów — niekompetencję wyższych dowódców i nie wspominając prawie o kwestii olbrzymiej t a k t y c z n e j przewagi niemieckiej nad jednostkami polskimi już od szczebla plutonu do szczebla batalionu i dywizji, przewagi wyrażającej się w spręcie, sile ognia, ruchliwości i technicznych środkach dowodzenia.

Gdyby było prawdą, że wyłącznie złe dowodzenie zaciążyło na rozbiciu Armii Polskiej jako całości to jakże mogło się stać, że g r o s polskich sił zostało pobite przez nieznaczną jedynie część sił niemieckich, jak to się stało w polskim centrum, zwłaszcza na obszarze armii Łódź i Poznań.

Gros uderzenia niemieckiego objęło jedynie południowe skrzydło armii Łódź - Wołyńską Brygadę Kawalerii. Na reszcie frontu tej armii wyszły faktycznie niemieckie siły wiążące. Jednak te operacyjnie słabsze siły potrafiły przełamać obronę polską, ponieważ górowały nad nią technicznie. I to jest fakt. Szkoda, że o tym gen. Machalski nie wspomina wyraźnie w swej ciekawej książce.

Niemiecka dywizja piechoty, niemiecki batalion miały wprost niesamowitą przewagę nad odpowiadającymi im nazwą jednostkami polskimi. Była to głównie przewaga ogniowa artylerii i moździerzy piechoty oraz przewaga ruchliwości taktycznej w przeciwieństwie do wrażliwości ciężkich, konnych kilometrów taborów polskich, a także przewaga wsparcia lotniczego i niemieckiego dowodzenia przez radio. Uderzenia niemieckiej piechoty na szczeblu dywizji łamały normalnie przygotowaną doraźnie polską obronę piechoty, zmęczonej nocnymi marszami, często głodnej ze zniszczonymi przez lotnictwo taborami.

Dywizje polskie, jeszcze jako tako uzbrojone obronnie (względnie duża ilość km) nie posiadały właściwie wcale jakieś

kolwiek zdolności przebojowej w natarciu. Stąd fiasko przeciwnatarć tam, gdzie tylko zarysował się kryzys obrony, tam, gdzie kończył się początkowy impet i zaskoczenie (obrona 2 i 30 dywizji piechoty armii Łódź, natarcia dywizji armii Poznań i setki innych przykładów).

Armia polska była lepiej wyposażona w artylerię w roku 1920, niż w r. 1939 — tak samo nieruchliwa jak wówczas — obecnie wobec zmotoryzowanego przeciwnika jak żółw bez pancerza za to z bardziej wrażliwym ogonem i głową.

Wydaje się wobec tego, że wnioski gen. Machalskiego i jego przypuszczenia co do możliwości znacznego przedłużenia kampanii, a nawet wygrania później wojny są zupełnie dowolne i nie mają żadnego realnego uzasadnienia w przebiegu kampanii.

Za słabość polskiego wyposażenia w stosunku do niemieckiego nie można winić dowódców armii, ani dywizji. Środki materialne kraju nie pozwoliły na więcej, niż to co się miało i co dano do ręki żołnierzowi. Gen. Machalski, podkreślając błędy dowodzenia Naczelnego Wodza i dowódców armii kładzie na ich karb wyłączny powód klęski, co nie jest w 100 proc. słuszne, gdyż sądzę, że nawet przy najlepszym dowodzeniu musieliśmy ulec przewadze technicznej przeciwnika.

Nie chcę w żaden sposób pomniejszać dyskwalifikacji wyższych dowódców, zaobserwowanej przez gen. Machalskiego, ani jego krytyki ugrupowania wojennego polskich jednostek, chcę jedynie dorzucić moją sugestję dla czytelnika książki "Pod prąd", jak gdyby dla zbalansowania "rachunku sumienia" przyczyn klęski.

Kładąc wszystko na karb głupoty, czy nieudolności lub braku przygotowania fachowego naczelnego dowództwa i dowódców armii wytwarzamy fałszywy obraz zdarzeń i dochodzimy do fałszywych wniosków zasadniczych: możliwości wygrania kampanii, czy jej decydującego przedłużenia. Wojnę, kampanię lub bitwę wygrywa się zawsze przewagą, przewagą materialną i dowodzenia, moralną, doktryny, wyszkolenia i zaskoczenia. Decyduje suma tych czynników. Przewaga doktryny i co za tym idzie wyszkolenia zależy w olbrzymim stopniu od zasobów materialnych kraju, sprowadza się w końcu do przewagi materialnej.

Tzw. przewaga moralna żołnierza jest czynnikiem dość nieuchwytnym — zależy naprawdę od przewagi materialnej. Przewagę moralną buduje i utrzymuje świadomość siły leżąca w posiadaniu w dostatecznej ilości odpowiedniej broni, również — trzeba to dodać — zaufania do dowódców. Najlepsze morale wojska kończy się, gdy żołnierz widzi, że nie może sprostać przeciwnikowi w walce, ponieważ nie ma co najmniej równorzędnych środków walki. Przewaga zaskoczenia to funkcja posiadania odpowiednich środków i umiejętności ich użycia. Wchodzi w dziedzinę dowodzenia.

W sumie wygranie wojny zależy od przewagi jednego przeciwnika nad drugim. Przewaga zaś w sumie zależy od przewagi materialnej umiejętnie użytej przez przewagę dowodzenia. Winy każdej klęski należy się zawsze doszukiwać w tych dwóch czynnikach. Gen. Machalski w swej nienawiści przeciwko czynnikom rządzącym i kierującym armią przed i w czasie kampanii 1939 r. wydaje się pomijać tę prawdę. Brak mu jest jak

gdyby osobistych przeżyć na polu walki r. 1939. Rzecz to bowiem nieprawdopodobna, aby ktoś, kto na jakimkolwiek szczeblu dowodzenia przeżył tę tragiczną kampanię, mógł zlekceważyć czynnik olbrzymiej przewagi technicznej armii niemieckiej w stosunku do armii polskiej i uważać, że tylko błędy dowodzenia czy ugrupowania stały się przyczyną klęski.

Szkoda, że gen. Machalski nie dowodził pułkiem, brygadą lub dywizją w tej kampanii. Gdyby tak było zobaczyłby, że najlepsi, najbardziej inteligentni, energiczni i wykształceni dowódcy niewiele mogli zrobić, nie potrafili bowiem reagować na czas, nie mając **czym** wskutek miazdzącej przewagi taktycznej i szybkości działania Niemców. Każdy rozkaz był spóźniony, ponieważ nie mógł nadążyć za zmieniającą się sytuacją. Dowódca, który ingeruje w bitwie jedynie dysponując swoim odwodem, prawie nigdy nie mógł nim ingerować, gdyż ruchy odwodów polskich były zawsze wolniejsze od działania Niemców. Środki łączności były nieodpowiednie, środki transportowe na poziomie armii Napoleona, a przewaga ognia przeciwnika w żadnym stosunku do własnego. Niemcy osiągnąwszy nawet bardzo lokalny pozostanie sukces w systemie polskiej obrony, co się zawsze może zdarzyć, mogli go natychmiast przekształcić w sukces taktyczny, a ten natychmiast w operacyjny. Nie sposób było nacierać piechotą na czołgi, ani zastąpić im drogi obronnie, ani robić z nimi wyścigu. Te prawdy wyjawily się i grały przez cały czas czteroleniej wojny na wszystkich frontach i we wszystkich kampaniach.

Tej kampanii, ani wojny razem z Francją nie mogliśmy wygrać. Przewaga techniczna Niemców była za wielka tak jak później Niemcy nie mogli wygrać wojny wobec przewagi liczebnej Rosji i technicznej aliantów zachodnich. Szkoda, powtarzam, że niedostatecznie podkreśla to gen. Machalski, rysując obraz w dużym stopniu spaczony. Trudno również uwierzyć mu w ocenie wyższych dowódców. Potępia ich w czambuł, stawiając wszystkich na jednakowym poziomie. Wyraźny błąd i niesprawiedliwość. Zarówno charaktery, jak i poziom wykształcenia, sposób dowodzenia i błędy były bardzo różne i bardzo różnie zaważyły na sytuacji. Kim innym był Młot-Fijałkowski, Dąb-Biernacki, Hanka-Kulesza, a kim innym np. gen. T. Kutrzeba.

Nie można porównywać szmat ludzkich, pajaców w mundurach, kompletnych laików, ludzi bez cienia charakteru z taką postacią jak gen. Kutrzeba, człowiek światły o wielkiej godności i dużej wiedzy wojskowej. Można krytykować dziś poszczególne posunięcia Kutrzeby, ale nie wolno równać go i mierzyć miarą rażących miernot. Wywołuje to niesmak i osłabia tezę gen. Machalskiego.

Doskonale rozumiem gorycz gen. Machalskiego w stosunku do "kierownictwa", gdyż każdy żołnierz rozumie, że może ulec przed s i ł ą i że to nie jest hańbą. Ktoś zawsze musi przegrać wojnę, ale każdy żołnierz buntuje się i wzdryga przed złym dowodzeniem, które marnuje jego wysiłek, lekceważy jego krew i przyczynia się do tego co nazywamy hańbiącą przegraną w odróżnieniu od nieuniknionej, czy nawet zaszczytnej przegranej. Nasza przegrana w czasie kampanii wrześniowej wsku-

tek głupiego, nieodpowiedzialnego dowodzenia Naczelnego Wodza i wielu dowódców armii miała ten posmak w gardłach żołnierzy. Książka gen. Machalskiego budzi go na nowo i jakby powiększa przez swoje wnioski, że gdybyśmy mieli odpowiedniejsze, mądrzejsze rządy i dowódców ludzi wykształconych i z charakterem to wypadki musiałyby przybrać inny, niż przybrały obrót niezależnie od naszego położenia geopolitycznego, strategicznego i ekonomicznego.

Cały późniejszy przebieg drugiej wojny światowej wskazuje jak błędne są poglądy gen. Machalskiego. Kampanii r. 1939 wygrać nie mogliśmy wskutek olbrzymiej przewagi niemieckiej. Mogliśmy ją zakończyć z większym honorem — to prawda.

Gorycz utracenia ojczyzny jest olbrzymia i ciągle jeszcze żywa w sercach tych, którzy ją utracili. Można więc mówić z pasją, a nawet z nienawiścią do ludzi, którzy do tej utraty się przyczynili. Można żądać osądu historii eksponując swoje uwagi, doświadczenia i przeżycia, ale aby ostateczny osąd historii w przyszłości, a osąd ludzki dzisiaj był sprawiedliwy należy przede wszystkim zachować umiar i umieć analizować przyczyny według ich rzeczywistej wagi tak jak zaciążyły na przebiegu i ostatecznym rezultacie wypadków. Podkreślanie jednych czynników, i pomijanie innych daje obraz spaczony. Ważne to jest zwłaszcza nie dla pokolenia, które przeżyło klęskę, ale dla pokolenia, które po nim przychodzi.

Stanisław P. Koszutski

1. Tadeusz Machalski. Pod prąd. Wyd. B. Świdzkiego. Londyn 1965, str. 224.

PAMIĘTNIKI

"Pamiętniki" prof. Wacława Lednickiego, których wyszedł na razie I tom, mają dużo wspólnego z dziejami Tadeusza Irteńskiego, książkami M. Pawlikowskiego, choć nie są "upowieściowane" jak te ostatnie. A to dlatego, że i jeden i drugi autor nie ogranicza się do opisu swojego życia i wypadków rodzinnych ale podaje szczegółowo zarówno tło ich życia, charakterystykę miejscowości w której ono upływało, spotykane osoby a zwłaszcza wszystkie ważniejsze wypadki w kraju ich zamieszkania. Są więc te książki cenne zarówno dla tych co współcześnie żyli w tym samym kraju jak i dla tych, co chcą ten kraj poznać.

Ale i losy tych dwóch autorów są podobne: ojcowie obydwu byli ziemianami, ale nie rolnikami lecz adwokatami i rolnictwo traktowali raczej jako hobby. Majątki ich leżały na Kresach, jednego w Mińszczyźnie a drugiego obok Smoleńska. Ten ostatni, Borki, tragicznym zbiegiem okoliczności miał leżącą obok

stację kolejową Katyn, gdzie w kilkadziesiąt lat potem wyładowywali Enkawudyści tysiące polskich oficerów prowadzonych na śmierć morderczą w katyńskim lasu. Obaj, Lednicki i Pawlikowski, kochali polską wieś, kresową, jeden z nich był miłośnikiem sportu konnego, drugi zaś namiętnym myśliwym. Obaj pisali o tym jak głęboko na wschód sięgała przed rewolucją rosyjską kultura polska. Wreszcie obaj na emigracji znaleźli się na tym samym Uniwersytecie Berkeley w Kalifornii.

Książkę W. Lednickiego, pomimo że ma ona przeszło 600 stron, czyta się łatwo i szybko, a to dzięki pięknemu językowi i jasnemu, przejrzystemu stylowi. Jest ona przede wszystkim hołdem synowskiemu dla obojga rodziców, głównie zaś dla ojca, Aleksandra Lednickiego. Nikomu chyba ze współczesnych nie może być obce nazwisko tego jednego z kilku najlepszych adwokatów imperium rosyjskiego (a adwokatura rosyjska wówczas stała na niesłychanie wysokim poziomie), wybitnego działacza politycznego i społecznego, który osobiście spowodował, że rosyjski Rząd Tymczasowy po lutowej rewolucji oficjalnie uznał niepodległość Polski. Komu z milionowej rzeszy, tzw. "bieżeńców" wygnanych ze swych odwiecznych siedzib przez cofające się wojsko rosyjskie nie było znane nazwisko Lednickiego? To on dał inicjatywę, zorganizował i kierował Komitetem Pomocy Uchodźcom, ratując ich z tej nędzy w jakiej znaleźli się na bezkresnych obszarach Rosji. I wreszcie stał na czele Komisji Likwidacyjnej, likwidującej ostatnie związki "Priwislenja" tj. Królestwa Polskiego z Rosją. Nie było chyba żadnego artysty, malarza, rzeźbiarza czy aktora, który w czasie wojny znalazł się przymusowo w Rosji, a który by nie doznał pomocy i opieki w gościnnym domu pp. Lednickich w Moskwie na Kriwonikolskim zaułku, że wymienię choćby J. Osterwę, St. Jaracza, M. Węgrzyna, Janinę Broniewską, czy zmarłego w Rio de Janeiro w czasie ostatniej wojny Bruno Lechowskiego. Był tam ośrodek polskiego życia i polskiej kultury co pp. Ledniccy podkreślali na każdym kroku, mimo że przed r. 1905 nie było to łatwe a nawet niebezpieczne. A jakie kolosalne sumy tracił A. Lednicki z własnej kieszeni na tę sprawę.

Czegoż więc mógł oczekiwać Aleksander Lednicki po powrocie do odrodzonej ojczyzny, dla której tyle zrobił w najczarniejszych chwilach jej niewoli? Tylko wielkiego uznania i wielkiej wdzięczności. Tymczasem zaczęła się straszna nagonka. Zarzucano mu m. in. że był członkiem rosyjskiej Partii Kadetów (Kons Dem.), pomimo, że partia ta miała w programie niepodległość Polski i zwalczała "samodzierżawję" a rząd prześladował ją, czego dowodem, że Lednicki był więziony za manifest wyborczy. A zresztą różne austriackie "ekscelencje", które "opłatały jak bluszcz tron Franciszka Józefa" nie tylko nie usłyszały za to złego słowa, ale często gęsto dostawały teki ministerialne. I nie wiem kto więcej dla sprawy polskiej zrobił w Rosji, czy ci co z browningów zabijali stójkowych czy ci, co jak Lednicki, szerzyli polską kulturę i sprawę polską wysuwali na czoło zagadnień rosyjskich?

W końcu przyszła sprawa Żyrdardowa, którego interesów bronił A. Lednicki jako adwokat. To przebrało miarę nerwów tego człowieka i popełnia samobójstwo. Syn przypisuje to dzia-

łaniu endecji ale, o ile mnie pamięć nie myli to nie tylko ta partia ma prawo przypisywać sobie zaszczyt zabójstwa tego co tyle poświęcił Polsce. Nie był to, niestety, pojedynczy wypadek. W tym samym, mniej więcej czasie zaszczytło innego wybitnego Polaka, znanego na całym świecie uczonego, profesora Petrażyckiego, który też popełnił samobójstwo. Prof. W. Lednickiego poznałem w Atenach u naszego ówczesnego posła, Wł. Günthera. Mówił, że właśnie wszczął akcję rehabilitacyjną swego ojca. Widać było jak się przejmował tą sprawą i jak bolał nad krzywdą ojcowską.

"Pamiętniki" są jakby kroniką, opisującą niemal dzień za dniem życie autora i jego najbliższych, różne rodzinne koligacje, wszystkie siedziby i podróże, najbliższych sąsiadów Lednickich, różnych dziwaków kresowych, stosunki w ówczesnej szkole rosyjskiej w Moskwie... Z opisu domu rodziców W. Lednickiego widać w jakiej kulturalnej atmosferze wyrósł późniejszy wybitny profesor literatury słowiańskiej. Jego kontakty z przodującymi przedstawicielami rosyjskiego społeczeństwa były tym czynnikiem który uczynił z niego znakomitego znawcę literatury rosyjskiej i rosyjskiego życia. W tym też tomie "Pamiętników" analizuje, wydaje mi się, trafnie, przyczyny dlatego Rosja i Rosjanie cieszą się na całym świecie przychylnością i sympatią i dlaczego brak tego Polsce i Polakom.

Książka jest zaopatrzona w szereg doskonałych zdjęć, cudem ocalałych w tych wszystkich burzach, jakie przeszedł jej autor. U każdego kto dziś zbiera chociaż by małą biblioteczkę nie powinno zabraknąć tych pamiętników.

J. P. P.

TERROR I REWOLUCJA

Czytając spis rozdziałów tej niezwykle ciekawej książki *) trudno nie pomyśleć iż jest ona właściwie skróconą historią rewolucji rosyjskiej od jej początku w październiku 1917 r. aż do dnia dzisiejszego; jakby rodzajem "Krótkiego kursu WKP (b)", z tą różnicą jedynie że w tym wypadku prawdziwa, bez tych wszystkich kłamstw, fałszów i ciągłych zmian dokonywanych w miarę tego jak ten czy inny "mocny człowiek" rządził tym krajem ponurej anegdoty. Zresztą i sam autor jej, Borys Lewickij, wybitny sowietolog, którego znamy z jego licznych artykułów w paryskiej "Kulturze", na początku ostatniego jej rozdziału "Zakończenie" pisze: "Dzieje organów bezpieczeństwa są częścią historii Związku Radzieckiego".

Omówiona w nr 2 "Skarpy" książka W. Krywickiego "Byłem agentem Stalina" stanowi uzupełnienie powyższej książki i choć w głównej swej części poświęcona jest sieci szpiegowskiej Sowietów, oplatającej cały świat, mówi także o terrorze, tym straszniejszym że wychodzącym poza granice Rosji, czego dowo-

dem jest chociażby morderstwo jej autora dokonane przez agentów sowieckich w Waszyngtonie.

Książka Lewickiego omawia historię organów sowieckiego terroru od pierwszych chwil po obaleniu rządów Kiereńskiego. Korowód tych oprawców rozpoczyna nasz rodak Feliks Edmundowicz Dzierżyński. I jakie tragiczne figle płata nam czasem historia: kiedy pomniki swej przemocy, jak pomnik Katarzyny II w Wilnie czy sobór prawosławny na placu Saskim w Warszawie stawiali dla naszego upokorzenia na polskiej ziemi okupanci Rosjanie, w Polsce Ludowej dla chwały tego krwawego kata. Dzierżyńskiego, postawił sam "polski lud" na placu jego imienia! Na tym placu który przemierzał idąc codziennie do pracy nasz wieszcz Słowacki, piewca wolności i walki z Rosją. Trudno o bardziej służalczy gest wobec "okupanta" czyli... bratniego radzieckiego narodu. Nawet Francuzom w czasie największego terroru wielkiej rewolucji nie przyszło nigdy do głowy postawić pomnik ich "Dzierżyńskiemu", Fouquier Tinville.

Twórcą Czeki był sam Lenin, a w Dzierżyńskim znalazł on "właściwego człowieka na właściwym miejscu". Ten człowiek "o twarzy Chrystusa" jak o nim mówiono, asceta i idealista, zalał Rosję morzem krwi i łez. Pomagali mu w tym dwaj Łotysze, Peters i Łacis. Z tym ostatnim miałem wątpliwą przyjemność zetknąć się w sierpniu 1919 r. w Kijowie, gdzie Łacis był przysłany specjalnie przez Lenina i Dzierżyńskiego, aby zdusić wszelkie ruchy kontrrewolucyjne i narodowo-ukraińskie. Łacis wiernie wypełnił rozkaz i w Kijowie zaczął się terror jakiego w tym stopniu nie było od początku rewolucji. Co dzień prasa ogłaszała długie listy rozstrzelanych wyrokiem CzeKa b. oficerów, sędziów, urzędników cesarskich, lekarzy, inżynierów, przemysłowców itp. Przeciętą ilość dzienna tych ofiar dochodziła do 150 - 200!

Istniał wówczas w Kijowie "Młody Teatr Polski", oczywiście państwowy, jak wszystko zresztą przy bolszewikach, założony specjalnie dla ratowania tych wszystkich Polaków z Ukrainy, którzy nie zdążyli wyjechać do Polski. Skorzystano wtedy z okresu kiedy wszelkiego rodzaju artyści cieszyli się u bolszewików specjalnymi względami. Prowadziła ten teatr Stanisława Wysocka z pomocą zmarłego niedawno w Warszawie prezesa Żaiku, Walerego Jastrzębca Rudnickiego. Zespół cały, za wyjątkiem kilku aktorów zawodowych, składał się wyłącznie z amatorów. Nie przeszkodziło to że pod reżyserią takiej sławy jak Wysocka, sztuki wystawione tam cieszyły się wielkim uznaniem takich jak Rosjanie znawców teatru. "Wyzwolenie" Wyspiańskiego, po rosyjsku "Oswobodzenie" miało specjalnie zachęcający wydźwięk w sferach komunistycznych.

Kiedy z jednej strony armie białe Denikina, a z drugiej Petlury, zbliżały się do Kijowa tam. Czrezwycząjka wydała rozkaz aby z każdego domu wysłano ludzi do kopania okopów. Dotknęło to wielu aktorów teatrów, które dostały rozkaz grania bez przerwy mimo walki (rzeczywiście Teatr Polski grał przy pustej widowni pod ostrzałem białej artylerii). Została więc wybrana przez Związek Aktorów delegacja do Łacisa w której brałem udział. Muszę się przyznać że oblatywał mnie strach na myśl stanięcia przed tym potworem. Na szczęście audyencja

skończyła się pomyślnie. Zostaliśmy zwolnieni z obowiązku. Zresztą nie wiem czy w ogóle zdążono wykopać jakiś okop, bo pod naciskiem nieprzyjaciela bolszewicy wycofali się szybko z miasta jedyną wolną drogą, statkami po Dnieprze, posyłając na miasto na pożegnanie kilkadziesiąt pocisków. Ludność Kijowa miała wówczas możliwość oglądania okropności Czerwczajki, gdzie nie zdążyli bolszewicy zatrzeć śladów popełnianych tam tortur i mordów.

Terror Czeka w pierwszym okresie rewolucji mógł być być usprawiedliwiony ciągłymi ruchami kontrewolucyjnymi i powstaniem przeciwko władzy sowieckiej. Monarchiści, lewi, esery, anarchiści, interwencje państw zachodnich, powstanie Basmaczów w Azji, "Centrum Narodowe", powstanie marynarzy w Kronsztacie, tzw. "spisek dyplomatów" etc. etc. Wszystko to wywołało tak zwany przez bolszewików "zdyscyplinowany terror". Kosztował on Rosję według pobieżnych obliczeń 50 tysięcy ofiar w krótkim czasie.

Ilość Czekistów rosła z dnia na dzień i w r. 1921 liczyła ponad 30.000 osób, wtedy gdy cały personel Komisariatu Spraw Wewnętrznych liczył zaledwie 2.823 urzędników.

Gdy po śmierci Lenina doszedł do władzy, wbrew jego testamentowi, Stalin, Dzierżyński stał się jego przyjaciele, tj. narzędziem w jego rękach. Rozpoczął prześladowania trockistów, Piatakowa, Kamieniewa i innych starych bolszewików. Niezakończył jednak swego dzieła, gdyż umarł na udar serca. Oficjalnie, bo różnie się o tym mówiło.

Na miejsce jego w OGPU przyszedł inny, o brzmiącym po polsku nazwisku, Władzisław Mienżyński. Według Trockiego był to "nie żywy człowiek lecz cień człowieka". Mimo to przy nim powstały obozy koncentracyjne, znany nam wszystkim z ubiegłej wojny Gułag, budowa słynnego Biełomorkanału, gdzie zginęło na przestrzeni 227 km ponad 100 tys. "zakluczonych", kolektywizacja i niszczenie kułaków, zwalczanie narodowo nastrojoncy inteligencji w nierosyjskich republikach etc. To przy Mienżyńskim zgładzono Blumkina, zabójcę niemieckiego ambasadora Mirbacha. Co do śmierci Mienżyńskiego to krążyły również różne pogłoski o przyczynie jego zgonu. W każdym razie jego następcą został potem oskarżony m. in. o otrucie Mienżyńskiego i zgładzono. Odtąd żaden z szefów GPU nie umrze śmiercią naturalną.

Henryk Jagoda, nasz rodak z Łodzi, był z zawodu aptekarzem co mu ułatwiło likwidację "wrogów rewolucji" i... Stalina za pomocą trucizny w sposób godny metod Borgiów. Jedną z ofiar jego "farmaceutycznych" kwalifikacji było otrucie, na zlecenie, Stalina, Maksyma Gorkiego, co nie przeszkodziło później oskarżeniu go o to przez jego byłego protektora, Stalina. Przy nim OGPU zostało przekształcone w NKWD. Montował zabójstwo Kirowa co stało się pretekstem do masowych aresztowań i wyroków śmierci. Przy nim rozpoczęły się pierwsze pokazowe procesy, w których, w roli oskarżyciela, zadebiutował Wyszynski. Skazani i rozstrzelani zostali starzy bolszewicy współpracownicy i towarzysze Lenina: Zinowiew, Kamieniew, Smirnow, Jewdokimow, Mraczkowski i Bakajew. Rozstrzelano wówczas także wielu weteranów Komunistycznej Partii Polski.

Wszyscy się przyznali do nie istniejącej winy. A świat zachodni, za małymi wyjątkami, wierzył, że byli to zdrajcy i szpiechy, którzy chcieli załagły Sowiećów.

Gdy Jagoda lubował się w pierwszym rzedzie, w skrytobójstwie za pomocą trucizny, jego zastępa, Mikołaj Jeżow, był de-generatem, mordującym masowo i najzupełniej jawnie. Przy nim przeszła przez Sowiećy najstraszniejsza, najkrwawsza fala stalinowskiego terroru. Zlikwidowano w szeregu pokazowych procesów wszystkich rzeczywistych i potencjalnych wrogów Sta-lina. Przeprowadzono czystkę w Czerwonej Armii, sprytnie sprowokowaną przez Reichswehre za pomocą Benesza. Zlikwido-wano najzdolniejszych jej dowódców Tuchaczewskiego, Jakira, Uborewicza, Korka i innych. Gamarnik popełnił samobójstwo. 13 dowódców armii, 110 dowódców dywizji i kilka tysięcy ofice-rów — oto bilans tej czystki. Dużą rolę w tej aferze odegrał bia-ły generał w Paryżu, M. Skoblin, sprawca uprowadzenia gen. Müllera, mąż słynnej przed rewolucją śpiewaczki Plewickiej. Armia została w ten sposób pozbawiona dowództwa, co spowo-dowało jej katastrofę w pierwszej fazie II wojny światowej.

Stracení zostali wszyscy pozostali jeszcze przy życiu ze sta-rej gwardii Lenina, 11 komisarzy ludowych, 6 dyplomatów, 3 przywódców Kominternu, 3 wybitnych ekonomistów, 9 mar-szałków i generałów, 4 zasłużonych rewolucjonistów w walce z caratem, 9 komunistycznych wodzów w republikach nierosyjskich. Została kompletnie zlikwidowana Komunistyczna Partia Polska przez rozstrzelanie 67 jej członków. Została wydana chyba jedyna na świecie, barbarzyńska ustawa pozwalająca sto-sowanie kary śmierci na dzieciach od lat 12. Wreszcie Jeżów, od chwili objęcia swego stanowiska, robił ostrą czystkę wśród per-sonelu NKWD.

Terror nie ograniczył się do samych Sowiećów. Na rozkaz Stalina zastosowano go w brutalny sposób w Hiszpanii, w sto-sunku do Hiszpanów, Niemców i Polaków w brygad międzynarodo-owych. Szczegóły tej akcji podaje Kiriwicki w swej książce "Byłem agentem Stalina". Wreszcie i na samego Jeżowa przy-szła kreska. Wpadł w niełaskę Stalina, obawiającego się wszy-tych, którzy w potężnym i licznym NKWD wybijali się ponad so-wiecki poziom. Podzielił los wszystkich czekistów. Według jed-nej wersji został zlikwidowany, według innej dostał pomieszania zmysłów i umarł w szpitalu.

Na wolne po Jeżowie stanowisko powołał Stalin swego ro-daka z Tyflisu, Ławrentija Berię. Zreformował on NKWD, utwo-rzył Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa (NKGB), spacyfikował szybko Kaukaz, robiąc to o wiele prędzej niż kilkadziesiąt lat temu inni "pacyfikatorzy", carowie Mikołaj I i Aleksander II. Pokrył cały kraj siecią agentów i prowokatorów, powiększył ilość łagrów przymusowej pracy, zmontował zabójstwo Trockiego w Meksyku, unieszkodliwił na terenie Rosji i zagranicą organi-zację NTS, dzięki zręcznej prowokacji swego agenta, bar. Nolde.

Jednym z największych wyczynów Berii było rozganizowanie i wyszkolenie całej armii szpiegów działających zagranicą, głów-nie w Niemczech, ze strony których spodziewano się ataku na Sowiećy. Działalność sowieckiego szpiega, Richarda Sorge w

Japonii, który w ciągu 10 lat swej działalności okazał Rosji nieocenione usługi, przewyższyła najbardziej fantastyczne wyczyny kinowe Agenta 007, James Bonda.

Nowe perspektywy i zadania dla Berii i jego NKWD powstały po zajęciu wschodniej Polski, państw bałtyckich i Besarabii. Aresztowania i deportacje milionowej rzeszy mieszkańców to jego dzieło, tak jak i zbrodnia katyńska. Wszędzie działali jego prowokatorzy. Ofiarą jednego z nich, kleryka, padł również metropolita Szeptycki. W zawarciu paktu Ribbentrop-Mołotow Beria też maczał palce. W każdym razie wydanie Hitlerowi komunistów niemieckich którzy się ukryli w sowieckim raju, to dzieło jego rąk. Dziś jeszcze widzę twarz Berii, patrzącą na mnie z uśmiechem przez pince-nez z portretu wiszącego w gabinecie "śledowatiela" na Łubiance w czasie moich całonocnych przesłuchań.

W dniu napadu Hitlera na Rosję zostali aresztowani według kartotek za wczasu przygotowanych wszyscy ci co choć jeden dzień byli zagranicą. W ten sposób unieszkodliwiono potencjalnych szpiegów. Moja niemal pusta cela w Butyrkach w dniu 23 lipca 1941 r. dokąd przeniesiono mnie z Łubianki, jak się okazało do transportu na wschód, do wieczora zapemniła się do ostatnich granic. Większość przybyłych wprost z wolności to "zagranicznicy" Wzięto ich jak stali, nieraz w letnich koszulkach i tenisówkach. Gdy przyszły chłody, cierpieli strasznie. Nie obyło się bez absurdalnych wypadków. Literat i poeta, członek Akademii Literatury, został aresztowany za to, że przed kilkunastu laty pojechał zagranicę jako sekretarz ówczesnego komisarza kultury, Łunaczarskiego. Inny, starszy, bardzo kulturalny pan, władający językami, Szulga, który przez dwadzieścia kilka lat był przy dworze Emira Buchary, jako rezydent czyli poseł rządu rosyjskiego, był oskarżony o wyjazd "zagranicę" tj. do Buchary, która była enklawą w imperium rosyjskim w Azji. A następnie o szpiegostwo na rzecz... Rosji!

O działalności i metodach NKWD w czasie II wojny światowej czyli, jak ją nazwał Stalin, "ojczyźnianej", o której pisze Lewickij, nie będę się rozwodził szerzej bo większość rodaków odczuła je na własnej skórze. Pierwsze straszne porażki Czerwonej Armii, pozbawionej należytego przygotowania, sprzętu, a zwłaszcza dowódców dzięki ich likwidacji przez Jeżowa, powiększyły terror w całej armii. Nie brakło, jak zwykle w Rosji, takich anomalii i curiosum jak aresztowanie za "dezercję" żołnierzy którzy spóźnili się i stracili swój pociąg w poszukiwaniu "kpiatku", czyli wrzątku! Lub tych co zdołali, walcząc, przedrzeć się i wydostać z niemieckiego okupienia. Zamiast nagrody za to, groziła im kara śmierci. I jednym i drugim. Stworzono nową niezależną organizację **SMIERSZ** (śmierć szpiegom). Szalała ona na froncie i tyłach.

Sowiety chwala się, że dzięki tym ostrym metodom osiągnięto zwycięstwo. Wydaje się to gruba przesada. Osiągnięto je, przede wszystkim, dzięki kolosalnym błędom Hitlera, który traktował w nieludzki sposób miliony rosyjskich jeńców. Żołnierz sowiecki dowiedziawszy się o tym, wolał zginąć w walce do upadłego, niż w niewoli. Utrzymanie systemu kołchozów na zajętych przez Niemców terenach, też wzmogło nienawiść do oku-

panta. A wreszcie pomogły kolosalne dostawy alianckie broni, amunicji, sprzętu i żywności. A doskonaliły jak zawsze żołnierz rosyjski bił się wspaniale. I może robiłby to jeszcze lepiej bez terroru!

Zdawało by się, iż po zwycięstwie po tak strasznej hekatombie, gdzie Rosja straciła ponad 13 milionów ludności, terror musi się zmniejszyć, jeśli nie ustać zupełnie. Nic podobnego. Nastąpił wówczas okres jeszcze straszniejszego terroru, zwanego "drugą jeżowszczyzną". Powodem tego była śmierć Żdancwa. Aresztowano i wymordowano znów setki tysięcy niewinnych ludzi na terenach z których ustąpili Niemcy, pod pretekstem ich kolaboracji z okupantem. Nie nastąpiła oczekiwana amnestia łagierników. Przeciwnie, napełniły się one nowymi więźniami. Zmontowano "afery leningradzką", odbyły się procesy przeciwko komunistom węgierskim, czechosłowackim i bułgarskim z dziesiątkami wyroków śmierci i setkami więzienia. Zlikwidowano kilkudziesięciu intelektualistów żydowskich, a wreszcie aresztowano i wytoczono śledztwo przeciwko kilkunastu lekarzom żydowskim, których od śmierci uratował nagły zgon Stalina. Przez krótki czas po Stalinie nie mniej krwawo rządził Rosją Beria, lecz zlikwidowano go wkrótce, a z nim razem około 100 wybitnych jego współpracowników z NKWD w całej Rosji.

Chociaż na XXII zjeździe Chruszczow potępił Stalina i jego krwawe metody, chociaż pośmiertnie rehabilitowano większość jego ofiar, terror w ZSRR się może pozornie zmniejszył, trwa jednak nadal. Sowiety ciągle, jak pisze Lewickij "uważają terror za regulator o potencjalnie bogatej sferze". Zmieniły się może metody i środki. Nie ma już masowych wyroków śmierci za przestępstwa polityczne, za "odchylenia partyjnej linii" czy też za kontrrewolucję i agentury faszystowskie. Ale pamiętamy sprzed paru lat o rozstrzelaniu grupy winnych... wypiekania zbyt małych czy za mało tłustych pierożków. Wsadza się dziś zamiast do łagrów, do domu wariatów. Albo, jak widzimy z zamieszczonego w "Kulturze" przebiegu procesu poety Józefa Brodzkiego, skazanego na przymusowe roboty za to, że odważył się żyć z pisania wierszy niekomunistycznych i tłumaczeń. Albo los przyjaciółki Pasternaka, Olgi Iwińskiej i jej córki Ireny?

Jakiż wniosek może wyciągnąć czytelnik z tej tak ciekawej książki Lewickiego? Chyba ten, że Rosja była zawsze silna gdy rządziła nią mocna, krwawa ręka. Kiedy rządził nią Iwan Groźny przy pomocy ówczesnego "Berii" Maluty Skuratowa i jego komnaty tortur. Tak samo było przy Piotrze Wielkim, który "uczył" opornych swoją pałką. Kiedy po mocnych rządach Mikołaja I i Aleksandra III, przyszedł słaby, bezwolny, miękki i niezdęcydowany Mikołaj II, carska Rosja upadła. Zrozumieli to bolszewicy i dlatego terror jest podstawą ich władzy i rządzenia imperium rosyjskim. I co tu mówić, to dzięki Stalinowi i jego metodom, ZSRR stała się obok Stanów Zjednoczonych, drugą potęgą świata.

I inny wniosek: jest wprost nie do pojęcia, że wodzowie wolnych, demokratycznych (wg. sowieckiej nomenklatury faszystowskich, kapitalistycznych) państw którzy muszą chyba rozporządzać stokroć obszerniejszymi i lepszymi informacjami,

niż autor tej książki i inni sowietolodzy, którzy napisali tysiące tomów o tych wszystkich mordach, prowokacjach na świątówą skalę, szpiegostwach, kłamstwach, łamaniu zobowiązań i wielu innych sowieckich metodach, wodzowie ci, powtarzam w dalszym ciągu żyją w błogiej euforii, mierząc Sowiety, ogólną miarą ludzką. A przecie już 100 lat temu, za carskich czasów, poeta Fiodor Tiut'czew pisał:

"Rozumem Rosji nie pojąć,
Ogólną miarą jej nie zmierzyć,
Ma ona swoją własną rację.
W Rosję można tylko wierzyć.

A wniosek z tego wniosku? Chyba ten, że kto wie czy nie mają racji bolszewicy, twierdząc że Zachód jest w dekadencji i rozkładzie?

J.P.P.

*) Borys Lewickij. Terror i rewolucja. Archiwum rewolucji. Instytut Literacki. Paryż, 1965. str. 293.

NIKE I SKARABEUSZ

"Mam w oczach całą Grecję: liliony Hymettos, fioletowy Lykabett i Akropol nocą i noszę myśli w sercu, że kiedyś... z kobietą wrócę znów pod te gwiazdy, które tak migocą różowo, tak inaczej-jak tylko w Helladzie nad tymi ruinami gwiazdy błyszczeć mogą".

Wiersz ten zamordowanego przez Niemców poety Tadeusza Hollendra cytuje Wiktor Trościanko w "prologu" tej pełnej uroku, jakiejś przezroczystości kryształu i barwnej książki-diariusza swej podróży po Grecji i Środkowym Wschodzie w poszukiwaniu tematów do swych pogadanek w Radiu Wolnej Europy, pogadanek tak chętnie słuchanych w całym Kraju.

Jedyna książka na podobny temat, do której można by porównać "Nike i Skarabeusza", to chyba "Dwie wiosny" J. Parandowskiego. To jej w dużej mierze zawdzięczam tę miłość do nowoczesnej Hellady, która zachowam chyba do końca życia. Czytałem ją przed wyjazdem do Grecji, gdzie spędziłem z przerwą dziesięć lat życia. Była wprowadzeniem, jakby przygrywką, do poznania tego pięknego kraju. Ale i W. Trościanko zastosował tę samą metodę: "Jechałem tam obładowany mitologią, Zielińskim, Parandowskim"... Tymi słowami zaczyna 1-szy rozdział zatytułowany "Chodź tu" dodając doń greckie tłumaczenie: "Ela, Ela"! Ileż to, razy słyszałem to słowo, z charakterystycznym gestem ręki, który u nas oznaczałby odpychanie a nie przywołanie.

Dla wielu takie "wprowadzenie" jest niezbędne, aby nie powiedzieć jak miła zresztą para warszawiaków którym, jak wszystkim rodakom, chciałem pokazać Ateny: "Na Akropol?"

W taki upał oglądać stare kamieniska"? A kiedy zaproponowałem pójście do jakiejś charakterystycznej tawerny na Plaka, na stok Akropolu, z pogardliwym wydecem warg odpowiedzieli: "Tak jak u Simona i Steckiego nigdzie się nie je". Tym chyba ani Trościanko ani Parandowski nie pomogą!

Trudno o lepszy wybór na prolog jak ten wiersz Hollendra. "Liliowy Hymettos", "fioletowy Lykabett", "Akropol nocą"... Pindar mówi że Ateny są uwieńczone fiołkami. To właśnie te dwie góry, "Liliowy Hymettos i fioletowy Lykabett" wieńczą fiołkami miasto o zachodzie. A "Akropol nocą"? Jest w Atenach taki piękny zwyczaj otwierania Akropolu przez trzy noce w pełni księżyca. Poświata księżyca który tu wydaje się jakby był niżej, niż gdzieindziej, barwi kolumny Partenonu i Propyleje w jakiś nierealny kolor. Na tle błyszczącego iskrami morza ciemny masyw Eginy. Miga światło na szczycie wznoszącego się w środku miasta Lykabettu, w miniaturowej cerkiewce Ajos Georgios. A w dole światła wijących się kręto ulic miasta i dźwięki muzyki z setek tawern Plaki...

"Wychodząc z Agory, trąciłem nogą jakiś drobny kamień. Szedłem dalej". — pisze autor. "Niech Pan podniesie" — powiedział towarzyszący mi grecki dziennikarz... "Kamyk był kawałkiem ceramiki z resztą malowidła..." I ja chowam wciąż mały czerepek z uszkiem z jakiejś starej greckiej wazy. Zabrałem go ze stosu takich czerepów w Knossos na Krecie latem 1945 r. Były to resztki przygotowanych do transportu do ateńskiego muzeum waz, które w szale zniszczenia rozbili "kulturtregerzy", niemieccy spadochroniarze zdobywając w 1942 r. Kretę. Gdy oglądałem to barbarzyństwo, koledzy tych "übermenschów" — niemiecka załoga Krety, już w niewoli i z minami zbitego psa, czekała na transport do obozów jenieckich w Egipcie.

Czerepek mój ma pewnie ponad 2 tysiące lat. A służąca wycierając u mnie w pokoju kurze, stara się go ukryć w jakimś niewidocznym miejscu, wstydząc się pewnie, że jej gospodarz nie wyrzucił tego już dawno do śmieci.

Wiktor Trościanko, wilnianin, ciągle wraca myślami do tego "miłego miasta". "Ulica nazywała się Pohulanka, Mała Pohulanka, bo tych Pohulanek mieliśmy dwie: Wielka i Mała. Mam je do dzisiaj choć je ktoś tam inaczej ponazywał..." pisze autor w "Zamiast prologu". Jak te słowa są mi bliskie. Pamiętam jak w ciepłą, cichą zimę egipską, jadąc z naszego obozu w Qassasin do Kairu szosą, w równych jak stół polach widziałem mazowiecką równinę, w dalekich, na horyzoncie, jakichś drzewkach, — nadwiślańskie wierzyby a w leżących pod nimi bawołach nasze pocziwe Krasule. Tylko jakiś ptaszek, łażący po bawołach, psuł swoją białą plamą ten imaginacyjny wyśniony pejzaż.

"W Atenach przywitał mnie dawno stracony silny zapach" — pisze W. Trościanko. Znów zdanie które robi mi autora tak bardzo bliskim. Na początku 1945 r. jechałem statkiem z Egiptu do niedawno uwolnionej z niemieckiej okupacji Grecji. Statek dopłynął do Pireusu późnym wieczorem tak, że dopiero następnego dnia mieliśmy zejść na ląd. Stałem na pokładzie i patrzyłem na światła "mego" miasta. Wtem po-

wiał wiatr od ładu i przyniósł mi "mój dawno stracony zapach". Zapach grecki, pieczonego na węglach mięsa baranka i a-nyżku. Ten ostatni to zapach narodowego trunku greckiego, uzo.

Każde miasto, przynajmniej dla mnie, uczulonego na zapachy, ma swój własny charakterystyczny zapach. Kijów, np. pachniał świeżym gorącym razowym chlebem. Przed rewolucją, oczywiście. A czym pachnie São Paulo? Jak każde wielkie miasto dzisiaj, spalinami. I... czosnkiem. A gdy tęskno mi za wschodem, idę do dzielnicy syryjskiej i tam wdycham korzenny zapach ich sklepów.

Z Aten droga W. Trościanki wiodła do Delf, u stóp siedliska Muz, Parnasu. Już sam ponury, złowieszczy pejzaż, krążące w niebie orły i półmrok doliny stwarzały nastrój, przygotowujący do przepowiedni Pytii. Autor na pewno nie zapominał napić się zimnej kryształowej wody z kastalijskiego źródła, bo to Muzy natchnęły go do napisania tej pięknej książki.

A potem co za kontrast: Olimpia, pełna słońca i jakiejś radości życia, na równinie przeciętej rzekami Alfios i Kladeos. Trudno nie wyobrazić sobie na tym tle wysmarowanych oliwą ciał pedzających po stadionie zawodników. Takich jak stojący w muzeum Hermes Praksytelesa o kształtach jakby trochę kobiecych. Tu Trościanko utrwalił na taśmie magnetofonu dźwięki pastuszej fujarki i brzęk owczych dzwoneczków. A taki jest właśnie uroczy i jakże grecki sygnał radiostacji Aten.

Tu w Olimpii, gdy byłem po raz pierwszy przed trzydziestu kilku laty, uderzył mnie widok młodziutkiej dziewczyny greckiej. Miała jasne jak len włosy i oczy koloru polskiego nieba. Cóż, Słowianie zawędrowali i tu na Peloponez. Bo skąd takie nazwy wsi jak Krakowa, Warszawa? Jeden z profesorów uniwersytetu w Salonikach dowodził, że Dorowie to było jakieś plemię słowiańskie.

Potem droga autora wiedzie do Epidauru, Epidaure-les-Bains lub Epidaur-Zdrój, jakby się to dziś nazywało. Królestwo Eskulapa, greckiego Asklepiosa. Już wtedy dbano o rozrywkę pacjentów. Jest tam doskonale zachowany wielki amfiteatr z taką akustyką, że rzucona na kamienie sceny metalowa monетка dzwienię jak uderzenie dzwonu. Tu w dnie festiwalu wystawia się sztuki klasycznego repertuaru. Tu śpiewała Maria Callas w "Medei". I dalej Trościanko jedzie do Myken, miejsca tragedii Agamemnona. Tu go "dogania" Słowacki: "Bo otom wstąpił w grób Agamemnona..." I będzie mu towarzyszył przez dalszą podróż, poprzez Liban, Palestynę, Egipt... Będzie się autor na każdym kroku spotykał ze śladami wędrowców polskich od Radziwiłła Sierotki przez Słowackiego aż do wędrowczej armii gen. Andersa. Tablice pamiątkowe, stacje Męki Pańskiej na jerozolimskiej Via Dolorosa, nowy Dom Polski w dzielnicy Musrara oto ślady pobytu tych, których nie udało się zniszczyć NKWD. A wszystkim tym opiekuje się niestrudzony ks. Pietruszka, którego odwiedza W. Trościanko. Dziś jeszcze wszyscy my z Korpusu wspominamy dobrą naszą opiekunkę, siostrę Inocentę z Domu Polskiego, którą dobrotliwie nazywaliśmy Inofunta, bo wołała ofiary w funtach niż w centach.

Kiedyśmy tam stali. Palestyna nie była jeszcze podzielona, jak wtedy gdy odwiedzał ją W. Trościanko. Każdego wieczoru przed kolacją w kasynie, leżącym niedaleko bramy Babel-Dżedid, włożyliśmy się po krętych uliczkach starego miasta, w arabskiej, ormiańskiej czy żydowskiej dzielnicy. Towarzyszem moim był por. R., znany od czasów buzułuckich aż po dzień dzisiejszy w Londynie jako "Róbcós", bo powtarzał stale: rób coś! Za każdym zakrętem czy załamaniem uliczki czekała nas nowa niespodzianka. Jakaś nieznaną bramą, stary domek czy piękne kamienne oddrzwia. Kiedyś trafiliśmy do starej niziutkiej synagogi gdzie rabinem był Żyd z Polski, mówiący jeszcze dobrze naszym językiem. Innym razem weszliśmy do jakiegoś starego budynku, gdzie idąc z pustek sali do sal, w okienku jednej z nich zobaczyliśmy, że jest ono zrobione w kopule Grobu Pańskiego. Widzieliśmy jak z lotu ptaka całą świątynię. Okazało się że był to Grecki Patriarchat.

Kiedyś było to w okresie Wielkiejnocy, zainteresowały nas wąskie oddrzwia tuż przy wejściu do Świątyni Grobu. Po krętych ciemnych schodkach dostaliśmy się na placyk leżący na poziomie kopuły. Stał na nim szereg domków a wokoło kręcili się ludzie rozpinając wielki fioletowy namiot. Mała, ładna kilkunastoletnia dziewczynka o brązowej cerze i dużych pięknych oczach łamanym angielskim powiedziała nam, że tu jest osada abisyńska i że dziś wieczorem jest wielka uroczystość narodowo-religijna na którą nas zaprasza. Okazało się że była to bratanica czy bliska krewna cesarza Haile Selassie.

Kiedy przyszlismy wieczorem obładowani czekoladkami z Naafi dla naszej egzotycznej przyjaciółki, wielki namiot był pełen gości. Gubernator Palestyny, dużo brytyjskich oficerów w galowych mundurach, panie w sukniach wieczorowych. Za chwilę do namiotu wkroczył dziwny i pełen bogactwa pochód. Szli przybrani w bogate złote i srebrne szaty duchowni o płaskich koptyjskich nosach i ciemnych jak na bizantyńskich ikonach twarzach. Obok szeregi również ubranych w złoto i srebro młodych chłopców. Niesiono chorągwie a na czele młody chłopak na czerwonej aksamitnej poduszce niósł wielką srebrną tiarę Cesarza Cesarzów. Wszyscy szli jakimś chwiejnym, jakby pijanym krokiem z błędnie patrzącym wzrokiem jak gdyby pod wpływem jakiegoś narkotyku. Pochód okrążał namiot wiele razy, a śpiewy chóralne, którym odpowiadali kapłani brzmiały niesamowicie. Kiedy wyszlismy w ciemną palestyńską noc i wracaliśmy pustymi ciemnymi uliczkami, zdawało się nam że byliśmy świadkami jakiegoś antycznego misterium.

W Egipcie W. Trościanko znów zapotyka ślady rodaków. Radziwiłła Sierotki, który kupił tu parę "mumiów", generałów Henryka Dembińskiego i Sułkowskiego, adiutanta Bonaparte'go, który w Kairze u stóp cytadeli znalazł śmierć. No i Słowackiego który pisze że "I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu..." I "oczy ogromem piramid otwarte spuściłem"...

W. Trościanko objechał cały Środkowy Wschód. W Istambule był kiedy "w mieście wre teraz Bajramu uciecha". Ale

i tu myśli o dalekim Wilnie "który mu przypomina dom-muzeum gdzie zmarł Mickiewicz. "Składam z wyobraźni, z pamięci narysowane ulice i uliczki, zakręty Willi i Wilejki". Odwiedził polski Adampol, Polonez Koy. Na tamtejszym cmentarzu, "miniaturze Rossy", duma nad grobem "krajanki" Ludwiki Sniadeckiej, żony Sadyka Paszy. Był w Tebach, w Dolinie Królów, w Babilonii, u Koptów...

Szkoda wielka że W. Trościanko w swej wędrówce nie zawadził o blisko od jego trasy leżący Rodos. Wydaje mi się że jest to chyba jedno z najpiękniejszych miejsc świata, muzeum historii na otwartym powietrzu. W dodatku muzeum żywe bo w nim żyją i ruszają się żywi ludzie. Pamiątki z epoki helleńskiej, rzymskiej, bizantyńskiej, średniowiecznej, tureckiej, zebrane obok siebie i doskonale harmonizujące. No i nie mniej piękne budowle zostawione tu przez Włochów. A do tego wspaniały zdrowy klimat, choć gorący ale chłodzony stale lekkim wiatrem.

Zaletą tej milej książki jest nie tylko piękny jej styl, jak już powiedziałem, jej przezroczystość i lekkość ale i to że w sposób równie lekki, nie nużący W. Trościanko podaje przy każdej okazji zwiędzania tej czy innej miejscowości, jej legendę czy historię. Jest to książka która się powinna znaleźć w każdym inteligentnym domu polskim bo po przeczytaniu wraca się do niej z takim samym zainteresowaniem. I nie raz i nie dwa. Wydana została bardzo starannie z ładną barwną okładką i doskonałymi rysunkami w tekście Tadeusza Orłowicza. Tak zresztą, jak wszystkie dotychczasowe wydawnictwa Polskiej Fundacji Kulturalnej. Cóż, kiedy tu w São Paulo, tak trudno znaleźć na nie nabywców. Może są za tanie na wypchane portfele naszych rodaków?

Jerzy Pomian

Wiktor Trościanko. "Nike i Skarabeusz", stron 316. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn 1965

ADAPTACJA CZY ASYMLACJA?

Na półkach księgarskich ukazała się niedawno książka, która powinna żywo zainteresować brazylijskich działaczy polonijnych. Książka ta, omawiająca zagadnienie integracji imigrantów w Brazylii, pióra naszej rodaczki, prof. Anieli Meyer Ginsberg, wicedyrektora Instytutu Psychologii przy Uniwersytecie Katolickim w São Paulo, poprzedzona trzyletnimi gruntownymi studiami, porusza dwie sprawy: migracji wewnętrznej ze stanów północnych do południowych Brazylii i Rio de Janeiro oraz imigracji zagranicznej do Brazylii. 1)

Celem pracy było zorientowanie w jakim stopniu przybysze z innych państw i z północy Brazylii przystosowują się do warunków bytu w kraju osiedlenia i jak postępuje proces ich asymilacji.

W okresie przygotowywania materiałów do pracy przebadano przy pomocy specjalnych kwestionariuszy 722 imigrantów z zagranicy i 604

imigrantów z północy Brazylii. Część imigrantów zagranicznych poddano dodatkowo badaniom psychotechnicznym.

W niniejszej recenzji nie będziemy się zajmowali sprawą wewnętrznym ruchów migracyjnych, ani też analizą części książki poświęconej badaniom psychotechnicznym, choć są one ciekawe, ale interesować mogą wyłącznie osoby trudniące się teoretycznie lub praktycznie psychologią stosowaną. Z naszego punktu widzenia na pierwszy plan w książce wysuwa się zagadnienie integracji imigrantów z zagranicy.

Czy zagadnienie to zostało w pracy prof. Ginsbreg odpowiednio naświetlone? Na pytanie to nie można odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. O ile wnioski ogólne, dotyczące całości materiału, wydają się prawidłowe o tyle wnioski, obejmujące poszczególne grupy narodowościowe, nastęrczają zastrzeżenia. Wynika to z wadliwej techniki opracowania. Na 722 przebadanych imigrantów przypadają 33 grupy etniczne, nierówne ilościowo. Autorka rozbiła imigrantów na 10 klas łącząc mniej liczne grupy etniczne rzekomo na podstawie ich pokrewieństwa kulturalnego, religijnego i wspólnych dziejów. Już samo to kryterium wydaje się nazbyt szerokie, nie uzasadnione. Ale takie jakie jest nie zostało ono zastosowane. Tak, np. w klasie 4 autorka umieściła aż 9 narodowości: Argentyńczyków, Belgów, Boliwijczyków, Amerykanów, Francuzów, Holendrów, Anglików, Szwedów i Szwajcarów. Ani te narodowości nie miały wspólnej historii, ani nie są jednolite pod względem kulturalnym lub religijnym. To samo dotyczy kilku innych klas. To co nas najwięcej obchodzi to pomieszczenie w jednej klasie Polaków i Litwinów. Jakby tego jeszcze było mało Żydzi rozproszeni zostali pomiędzy grupy etniczne wszystkich krajów diaspory. Jest rzeczą niewątpliwą, że nabyli oni niektóre cechy narodów, wśród których przebywali, ale mają przecież własną kulturę, własny język i całkowicie odrębną psychikę.

Następnie, razi nierówność ilościowa poszczególnych klas. Tak np. w klasie 6 (Włosi) mamy 131 osób, w klasie 9 (Portugalczyki) — 245, a w klasie 5, niejednorodnej etnicznie, obejmującej 7 narodowości, zaledwie 36. Otóż wyniki tylko wtedy bywają adekwatne, gdy liczba badanych obiektów w poszczególnych klasach jest mniej więcej równa.

Ale przejdźmy od rozważań technicznych do meritum sprawy.

Adaptacja, czy asymilacja? W oparciu o rezultaty opracowania raczej adaptacja tj. przystosowanie się do warunków bytu w kraju osiedlenia. Dotyczy to, oczywiście samych imigrantów, a nie ich zstępnych, wśród których — jest to rzecz nieunikniona — proces asymilacyjny będzie przebiegał w miarę upływu czasu coraz szybciej.

Niektóre narodowości asymilują się łatwiej, inne wykazują większą odporność. Autorka stwierdza, że Niemcy i Japończycy są najmniej podatni na wpływy asymilacyjne. Tak np. 68,3 proc. małżeństw niemieckich rozmawia ze sobą w języku ojczystym, a z dziećmi — 46,2 proc., Japończycy odpowiednio 66,6 proc. i 48,8 proc. Portugalczyki, Włosi i Polacy asymilują się najłatwiej. Tak np. zaledwie 39,2 proc. małżeństw polskich rozmawia ze sobą po polsku, a z dziećmi — 25,4 proc. Smutne to, lecz prawdziwe.

Na marginesie pracy prof. Ginsburg było by ciekawe zbadanie w jakiej mierze wartości kulturalne i cywilizacyjne imigrantów są przyśwajane przez ludność tubylczą. Nie ulega wątpliwości, że także pewne

obyczaje przybyszów, ich nawyki towarzyskie i kulinarne, znajdują dostęp do autochtonów.

Kilka uwag do tytułu pracy. Brzmi on w tłumaczeniu: "Studium psychologiczne imigrantów i migrantów." Imigrantami nazywa autorka przybyszów z innych krajów, a migrantami przybyszów z północy Brazylii, podczas, gdy prawidłowo było by nazywać jednych i drugich imigrantami. Migracja zaś to przesiedlanie się ludności wewnątrz kraju lub z jednego kraju do drugiego, czyli całość zjawiska społecznego, zawierającego: emigrację tj. wychodźstwo z kraju (okregu) macierzystego i imigrację tj. osiedlanie się w kraju (okregu) docelowym.

Na zakończenie należy wypowiedzieć słowa uznania dla autorki za jej wartościową książkę, będącą pod względem tematycznym pracą unikalną w literaturze brazylijskiej. Aniela Meyer Ginsberg zasługuje na te słowa tym bardziej, że jest jedną z tych nielicznych uczonych Polek, które dzięki swej wiedzy potrafiły dojść do znacznego stanowiska na obczyźnie.

1. Aniela Meyer Ginsberg. Um estudo psicológico de imigrantes e migrantes. São Paulo, 1964, s. 284, i 4 tab.

SEWERYN A. HARTMAN

MUZYKA

POLKI W TEATRZE MIEJSKIM W SAO PAULO

Młode pokolenie zajmuje w świecie muzycznym poczesne miejsce. O ile szczyty dzierży jeszcze pokolenie odchodzące (fortepian - Horowitz, Rubinstein, skrzypce - Heifetz, Francescatti) o tyle przeciętny poziom występów koncertowych muzycznych podniósł się niewątpliwie, przez osiągnięcia młodego pokolenia. I technicznie i muzycznie ma ono o wiele więcej do powiedzenia, niż pokolenie poprzednie. Kobiety starszej generacji miały dodatkową wadę: chciały być (w grze) bardziej męskie, niż mężczyźni. Kobiety młodej generacji mają świadomość swej kobiecości, na czym zyskuje wartość ich występów.

Te refleksje nasunęły mi się, gdy słuchałem w Teatrze Miejskim w São Paulo gry pianistki — Ruth Ślenczyńskiej i nieco później skrzypaczki — Wandy Wiłkomirskiej. Obie to przedstawicielki młodego pokolenia. Obie obdarzone darem ujęcia sobie i rozgrzania publiczności, która — wypełniając salę koncertową — z miejsca z nimi sympatyzuje, a przy końcu koncertu pełną entuzjazmu nie szczędzi oklasków, tak niezbędnych każdemu artyście. Ruth Ślenczyńska — Polka, urodzona w Ameryce Północnej, Wanda Wiłkomirska — Polka z kraju, z rodziny wybitnie muzycznie uzdolnionej, obie podkreślające (jakże przyjemnie) polskie pochodzenie, przez uwzględnienie w programie polskich kompozytorów (pianistka - Chopin, skrzypaczka - Szymanowski): W sumie — dwa bardzo udane występy. (A. M.)

Niedaleko Równika

POWIEŚĆ KRYMINALNA

11.

Po obiedzie Claire wyszła na pokład. Wiała lekka morka i rude włosy dziewczyny, nie związane tym razem i luźno opadające na kark, rozwiewały się na wietrze. Była w błękitnej sukience trochę być może za krótkiej, jak na jej purytańskie przekonania, gdyż odsłaniającej całkowicie kolana. Podszedłszy do balustrady oparła się o nią. Ocean dyszał ciężko. Słyszała jego przyspieszony oddech. Fale, ciemne, prawie granatowe, ocierały się z lekkim pluskiem o burtę statku. W dali, na horyzoncie, zastygły nieruchomo niewielkie obłoczki, wyglądające jak pasmo górskie.

Dziewczyna zdawała się zapatrzona w te obłoczki w istocie jednak kątem oka zerkiała na wysokiego mężczyznę, który wysunawszy przed siebie długie nogi, drzemał jak gdyby w leżaku. Na jego charakterystycznej twarzy o kwadratowych szczękach i grubym, mięsistym nosie błąkał się uśmiech — zapewne śniło mu się coś przyjemnego.

Nagle Claire wyślizgnęła się z ręki torebka.

— Ach, — zawołała — stłukłam lusterko!

Mężczyzna obudził się. Torebka upadła mu prawie pod nogi.

— Siedem lat nieszczęść — powiedział — jeżeli wierzyć w przesady.

Zwinnie, jak kot, podniósł torebkę i podał Claire.

Stali teraz koło siebie, oboje szczupli i prawie jednakowego wzrostu, dziewczyna zaledwie o kilka cali niższa.

— Nie, nie zbiło się — zauważyła z westchnieniem ulgi. — Jestem ogromnie przesadna, panie O'Connor. Komplikuje to cokolwiek życie, ale co zrobić...

— Ja też jestem przesadny, panno Fuld. Czy to coś złego? Nie można być całkowicie trzeźwym. Odrobina niedoręczności nadaje smaku naszym poczynaniom.

Roześmiała się.

— Jak na sportowca wykazuje pan niepowszednie skłonności do filozofii. Nigdy bym nie myślała.

— Jeżeli dobrze rozumiem uważa pani wszystkich sportowców za głupców. Dziękuję! Czy wie pani, że mógłbym się o to obrazić?

— Ale pan tego nie robi, prawda? — odparła, uśmiechając się przekornie.

— Kto wie? W każdym razie jestem bardziej obraźliwy, niż pani byłby szef. Ale mu pani dała bobu! Ja bym sobie na to nie pozwolił. Ale to ciepłe kluski. Na jego miejscu...

— Co by pan zrobił na jego miejscu? Zbił by pan mnie?

— Prawdopodobnie. Odwinąłbym sukienkę i wlepił pani kilka klapsów w miękką część ciała. To czasami dobrze robi.

— Nie wierzę. Uderzył pan już kiedyś kobietę?

O'Connor zmienił się na twarzy. Niebieskie oczy zabłyśły złowrogo, a dłonie zacisnęły się. Stał się nagle podobny do rozgniewanego buldoga.

— Nieraz. Ale nie mówmy o tym, dobrze?

Popatrzyła na niego z przerażeniem. Nie odpowiadając odwróciła się i odeszła. Już siedząc w bibliotece myślała ze wzburzeniem o tym człowieku. Tak, Ewans miał rację. O'Connor **musiał** być zamieszany w aferę Mary Lancaster. Może nawet zabił ją. Wyobraziła sobie noc, Mary Lancaster stojącą na podkładzie przy ogrodzeniu, w szlafroku narzuconym na pizamę i O'Connora, jak niespodziewanie wyłaniając się z mroku jedną olbrzymią łapą zaciska jej usta, a drugą unosi w górę. Chłupot ciała spadającego do morza i już po wszystkim.

Poczuła nagle potrzebę porozmawiania z Ewansem, spojrzenia w jego dobre, szare oczy, oparcia się ramieniem o jego ramię. Wyjęła z biblioteki tom Anny Sexton, który stanowił ostatnio ich skrzynkę pocztową, i napisała pospiesznie:

"Przyjdź do mnie dziś wieczór o 7-ej. Czekam".

Odkładała książkę na półkę, gdy skrzypnęły drzwi. Na progu ukazał się Peter O'Connor.

— Znalazłem panią nareszcie — powiedział. — Nie chciałem, aby miała pani o mnie złe wyobrażenie.

Widząc, że nie odpowiada, dodał:

— Nawiedzają mnie czasem złe wspomnienia. Staje się wtedy nieprzyjemny. Proszę mi jednak wierzyć: nie jestem zły, jestem tylko nieszczęśliwy. Jedną chwileczkę — niech pani nie ucieka, winienem wyjaśnienie. Może to nawet zaciekawi panią.

Roześmiał się ponuro. Usta, zazwyczaj zaciśnięte, rozchyliły się, ukazując żółtawe zęby.

Usiadł ciężko na kozetce naprzeciw Claire. Jego wyciągnięte nogi sięgały niemal środka pokoju.

— Zgadła pani, będę mówił o Mary w czasach, gdy nie była jeszcze panią Lancaster, ale panią Peter O'Connor, a nawet wcześniej. Nie, nie jestem dżentelmenem. Obmawiam kobietę, gdy na to zasługuje, nie cofam się przed powiedzeniem, że jest kurwą, skoro nią jest istotnie.

No, to są dawne czasy, pewno. Byłem wtedy bardzo młody i niedoświadczony. Może pani nie wie, że sportowiec wyczynowy musi żyć jak mnich. Nie wolno mu pić, używać kobietek, o ósmej wieczór każą się kłaść do łóżeczka i baj, baj! Za sławę i

powodzenie trzeba płacić. Kiedy się wie, że jedno odchylenie od reżimu grozi klapą człowiek nie zaprzęta sobie głowy głupstwami. Aż do chwili, kiedy się spotka swoją dziewczynę. Serca nie można przecież włożyć do kasy pancernej.

Stary Tom Smith, mój trener, to był porządny chłop. Lubilem go bardzo i często bywałem w jego domu. Tam też poznałem Mary. Spodobała mi się od razu, miała tyle czaru i zriewalającej kobiecości. Smith mówił, że mała jest córka Pata Tidewatera, bezrobotnego mechanika, przebywającego w Texasie u brata po utraceniu pracy w detroitkiej fabryce Forda. Dobra, z natury jestem uczuciowy, wszyscy mnie z tego znają. Nie trwało długo, a zakochałem się po same uszy. Mary też mi była przychylna. Tylko ten Pat, jak się dowiedział, że chcemy się pobrać stanął okoniem. Nie i nie, dziewczyna jest jeszcze za młoda, musimy poczekać. Ale mnie zrobiło się pilno. Tak długo nalegałem aż Mary machnęła ręką na przyzwolenie starego.

Pobraliśmy się. Nigdy nie byłem taki szczęśliwy. Aż tu pewnego razu, było to w jakieś trzy miesiące po ślubie, spotyka mnie jeden znajomy, którego już dawno nie widziałem. Poszliśmy na drinka, tamten nie wiedział, że się ożeniłem, więc mu się pochwaliłem jaką kobietę dostałem, pokazałem fotografię. Patrzył długo na tę fotkę, spojrzał na mnie jakoś dziwnie, wreszcie powiada:

— "To jest przecież dziewczyna Pata".

"Córka".

"Jaka tam córka! Wziął ją z przytułku jak miała sześć lat, wychował, a potem zrobił kochanką".

"Słuchaj, — mówię — cofnij to co nabrechałeś, bo jak nie to ci mordę przefasonuję, że cię rodzona matka nie pozna".

"Bardzo mi przykro, Peter, ale to prawda. Byłem sąsiadem Pata, znam całą historię. Zresztą, jeżeli nie wierzysz, zapytaj się jej".

Tak, to była prawda i Mary przyznała się od razu. Płacząc opowiedziała, że stary rozpustnik zniewolił ją, że nie mając gdzie pójść musiała z nim żyć i tym podobne. Kochałem ją tak bardzo, że wybaczyłem. Ostatecznie to nie była jej wina.

Ale od tego czasu stałem się podejrzliwy. Zazdrość podpowiadała mi najgorsze przypuszczenia. Od Smitha dowiedziałem się, że Pat wrócił do Detroit i znowu pracuje u Forda. Przypadkowo wykryłem, że spotyka się z Mary. Nie panowałem już nad sobą. Uderzyłem Mary dwa razy w twarz — było to pierwszy raz kiedy podniosłem rękę na kobietę. Zaklinała się, że nie zrobiła nic złego, że spotkała Pata na ulicy, idąc po zakupy i że wstała z nim tylko do baru. Dałem się i tym razem przekonać, popłakałem razem z nią. Przysięgła, że już do Pata, gdyby go zobaczyła, nie odezwie się ani słowem.

Odszukałem starego drania, powiedziałem, że wszystko wiem i że mu kości połamię, jeżeli będzie się starał zbliżyć do mojej żony. Dobra, nie bardzo mu dowierzałem. Wziąłem więc detektywa i kazałem go śledzić. Okazało się, że widują się w podłym hoteliku, w którym Pat mieszkał. Kiedy detektyw zdał mi z tego sprawę oszalałem. Najpierw poszukałem Pata, ale musiał zwaćać pismo nosem, gdyż znikł. Załatwiłem potem porachunki z Mary. Biłem ją tak długo, aż mi ręce zemdlały.

O'Connor przerwał opowiadanie i zapalił papierosa. Claire patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

— Nikt mi przecież nie powie, że nie miałem do tego prawa.

— Nie mogę z panem dyskutować na ten temat, panie O'Connor, — rzekła Claire. — To... to... barbarzyństwo...

Z trudem hamowała wzburzenie.

— Czy pomyślał pan co by się stało, gdyby poroniła?

— Poroniła? Ależ ona nie była wcale w ciąży. Być może postąpiłem zbyt gwałtownie, ale taki mam charakter. Ta kobieta zmarnowała mi życie. Wiem, że nie jest nic warta, a mimo to kocham ją do dziś. I w dalszym ciągu jestem o nią zazdrosny. Głupie, co?

O'Connor rozgniół papieros w popielniczkę i podkurczył nogi.

— A w dodatku cierpię katusze, kiedy pomyślę, że znajduje się obecnie w niebezpieczeństwie. Co mnie to powinno obchodzić — nie jest już moją żoną, a jednak gnębi mnie to, nie daje spokoju. Jak pani myśli, czy ona jeszcze żyje?

12.

Od szóstej Claire przebywała w swojej kajucie. Wykąpała się, rozczesała włosy, upinając je w luźny węzeł, starannie się umalowała. Potem dość długo przebierała w sukniach. Włożyła wreszcie suknię o barwie zwiędniętych liści z odsłoniętymi ramionami i dużym dekoltem, wiedząc, że ma ładne ramiona i piękny dekolt. Po raz pierwszy Ewans miał być w jej pokoju. Nie zdarzyło się to nawet w Nowym Jorku.

Była z lekka zdenerwowana. Zdenerwowanie to potęgowało się w miarę jak zbliżała się godzina siódma. Minuty upływały powoli. Co chwila zdawało jej się, że ktoś puka; zrywała się i otwierała drzwi. Minęła wreszcie siódma. Ewans nie nadchodził. Ogarnęło ją uczucie niepokoju i rozczarowania. Czyżby nie odebrał listu, a może ją zlekceważył? O wpół do ósmej nie potrafiła już powściągnąć zniecierpliwienia. Pobiegła raczej, niż poszła do biblioteki.

Szybko odszukała książkę Anny Sexton. Listu nie było. A może odnalazł go ktoś inny kto przypadkowo szperał w bibliotece?

ZDAŻYŁO SIĘ COŚ NIEPRZEWIDZIANEGO?

Teraz pobiegła do sali jadalnej. Kolacja już się rozpoczęła, wszyscy siedzieli przy stolikach. Ale pobieżny rzut oka upewnił ją, że Ewans nie ma. Zatrzymała jednego ze stewardów.

Nie, nie widział pana Ewansa.

A Willy Ewans...

Zostawiliśmy go przy trupie cieśli Lindquista.

Uklęknął właśnie, aby zbadać ranę denata.

— Straż został oddany z bliskiej odległości — zauważył — z rewolweru małokalibrowego. Tego rodzaju rewolwery noszą w Ameryce w torebkach damskich zazdrosne żony.

— Nie zechce pan chyba powiedzieć — mruknął kapitan — że ten człowiek został zamordowany przez kobietę? Było by to nazbyt romantyczne.

— Nie wiem, może przez kobietę, ale w takim razie musiała mieć nadzwyczajne oko i pewną rękę.

— Co się nie zdarza.

— Myli się pan, kapitanie. Znana w świecie przestępczym Mammy Foster umiała się posługiwać bronią lepiej, niż niejeden strzelec wyborowy. Widzi pan tę bliznę na mojej lewej skroni? Gdybym się w ostatniej chwili nie uchylił dusza by ze mnie uleciała jak gaz z pękniętego balonika. Tak, Mammy umiała strzelać. Szkoda, że zginęła w pojedynku z przeciwnikami swojego kochanka. Była to fajna dziewczucha.

— Wracając do sprawy — nic więcej nie może pan powiedzieć o tym strasznym wypadku?

— Nic po za tym, że strzał oddany został z bliskiej odległości...

— To już słyszałem.

— ... przez otwarty iluminator z rewolweru z tłumikiem. Resztę — myślę o bezpośredniej przyczynie śmierci — wyjaśni nam w sposób niezawodny dr Aldwych.

— Ten przekłety eskulap będzie miał nareszcie powód do zadowolenia. Potwierdza to jego przypuszczenie o gwałtownej śmierci Toma Hutchisona.

— Czy pozwoli pan trochę poszperać?

— Jak najbardziej.

Ewans przeszukał Luindquista, wyjął paczkę papierosów, zapalniczkę i klucz od zamku Yale'a.

— Po co mu był do diabła zamek Yale'a? — powiedział kapitan. — Czyżby chował w swojej szafce skarby Aladyna?

— Zaraz się o tym przekonamy — odparł Ewans.

Na dolnej półce w szafce stało rzędem sześć par butów elegancko wyczyszczonych, wyżej po za bielizną leżało kilka kartonów z papierosami. Nic ponadto, jeżeli nie liczyć napoczętej butelki szkockiej whisky. Ewans wyjął jeden z kartonów z papierosami i gwizdnął z cicha.

— Jest to właśnie to czego się spodziewałem. Niech pan weźmie do ręki ten karton.

— Ciężki.

— Obawiam się, że nie ma w nim papierosów.

Otworzył ostrożnie karton. Znajdowały się w nim niewielkie plastikowe woreczki z białym proszkiem.

— Kokaina.

Kapitan Wilkinson zbladł.

— Co pan powiedział?

— Że karton ten zawiera prawdopodobnie kilogram wspa-
niałej kokainy z Hong-Kongu. W pozostałych trzech kartonach...
popatrzmy... znajduje się ten sam towar. Ależ to prawdziwy
majątek, panie kapitanie!

— Całe życie byłem uczciwym człowiekiem — mruknął Wil-
kinson, połykając głośno ślinę, — a teraz powiedzą, że jestem
kontrabandzistą. Gorzej, że trudnię się przewozem narkotyków.
Czy mówiłem już panu, że "Pensylwania" to przekłety statek?

— Mówił pan to już wiele razy.

— Otóż obym został szcurem ładowym, jeżeli natychmiast po powrocie z podróży nie złożę podania o dymisję.

— Wyciąga pan zbyt pospieszne wnioski. Ręczę, że w następny rejs nie będzie jednego wolnego miejsca na "Pensylwanii". Wyobraża pan sobie lepszą reklamę, niż skandal? Ludzie lubią takie historie. Ale to mi przypomina, że trzeba zaopeczować się kokainą. Umieścimy ją chyba w skarbcu?

Kapitan skinął tylko głową. Meł w zębach przekleństwa.

— Zaraz tu bosman przyprowadzi doktora Aldwicha — ciągnął Ewans. — O kokainie nikt nie może wiedzieć prócz nas dwóch. Mam pewien plan. Jestem przekonany, że prędzej, czy później zjawi się po nią morderca. Mój plan... zaraz go panu wyłożę: pan, kapitanie, napełni cztery kartony po papierosach cukrem i przemyci je tutaj, najlepiej pod płaszczem sztormowym. Kokainę zastąpimy cukrem, narkotyk zaś pan przeniesie do skarbcza.

— Rozumiem — mruknął kapitan — cukier zostanie w szafce i morderca, jeżeli się ukaże — osobiście w to nie wierzę — zabierze tę fałszywą kokainę i ucieknie.

— Nie ucieknie. Właśnie chodzi mi o to, żeby przyłapać go na gorącym uczynku. Czy może mi pan określić jak wygląda współlokator Lindquista, cieśla Trevor?

— Naturalnie. No, jest mniej więcej tego samego wzrostu co pan, ale bardziej barczysty i nosi brodę.

— Nie chodzi mi o brodę. Więc mówi pan, że ma ten sam wzrost co ja?

Kapitan przyjrzał się detektywowi krytycznym wzrokiem.

— Może jest mniejszy o dwa, trzy cale i nie przygarbiony.

— Doskonale. Widzę, że nie orientuje się pan jeszcze o co chodzi?

— Prawdę mówiąc nie. O wypadkach jasnowidzenia wiem tylko ze słyszenia. Może to się zdarza w kościele katolickim, ale ja, dzięki Najwyższemu, jestem baptystą.

— Niech się pan nie gniewa, kapitanie, ale wyznaczyłem panu rolę w małym przedstawieniu, które chcę zaaranżować.

— Rozumiem. Nie wiem tylko, czy będę mógł zagrać tę rolę. Pojmuje pan — jako kapitanowi nie wszystko mi wypada.

— Aby nie być rozwlekłym: zajmie się pan Trevorem przez pewien okres czasu.

— Po co?

— Powiedzmy, że Trevor znajduje się obecnie na wachcie.

— Nie ulega to wątpliwości.

— I że gdy zejdzie z wachty przywoła go pan do siebie.

— Przypuśćmy.

— I że zatrzyma go pan na przyjacielskiej pogawędce tak długo jak mi to będzie potrzebne.

— Choćby to miało trwać kilka godzin?

— No, nie sędzę. Nie chciałbym, aby się pan nazbyt wynudził. Ułatwię panu zadanie.

— Niezupełnie jeszcze zdaje sobie sprawę z pańskich zamierzeń, Ewans. Błąkam się w ciemnościach. Myślę jednak, że w tym wszystkim nie ma nic zdrożnego i że ostatecznie...

— Dopomoże mi pan, kapitanie?

— Nie odmawiam.

— Och, to ślicznie. A więc pierwsze zadanie: przyniesie pan pod płaszczem cztery kilogramy cukru. Ale otóż i nasi przyjaciele. Dobry wieczór, panie doktorze Aldwich!

Doktor uśmiechnął się.

— Spotykamy się ostatnio dość często i zawsze w okolicznościach niezwykłych, panie Ewans. Hm... hm... jeżeli się nie mylę ten młody człowiek został zamordowany... Celny strzał, na Boga! i oddany z bliskiej odległości.

Ewans skłonił się.

— Potwierdza to moje przypuszczenie.

— Kula naruszyła ważne ośrodki mózgowe i spowodowała wewnętrzny wylew krwi. Nie jest też wykluczone samobójstwo.

— Przepraszam pana bardzo, doktorze, — powiedział z wyższością detektyw, — ale nie znaleźliśmy żadnej broni w kajucie. Jak zaś wiadomo w wypadkach samobójstwa broń leży zazwyczaj w pobliżu denata.

— Nie znaleźliście, panowie, — odparł spokojnie eskulap — ponieważ nikt nie uważał za właściwe poruszyć trupa. Ale ją znalazłem.

Mówiąc to wyciągnął spod ramienia Lindquista mały rewolwer o srebrnej rękojeści.

Ewans zaczerwienił się, tym bardziej, że jak mu się zdawało, kapitan przyglądał mu się ze źle ukrywaną złośliwością.

— A oto i łuska od naboju — powiedział doktor Aldwich. — Dramat rozegrał się więc w kajucie.

— Przyznać trzeba, — zauważył kapitan — że jak na krótkowidza odznacza się pan doskonałym wzrokiem. i jak na lekarza dobrą spostrzegawczością, mimo iż na ogół nie mam zaufania do spostrzegawczości łapiduchów. Jaki więc, pańskim zdaniem, był przebieg wypadków?

Doktor Aldwich opuścił skromnie powieki i zdjawszy okulary przetarł je o poję fartucha.

— Myślę, że przed wieczorem odwiedziła Lindquista kobieta. Ciesła był już w owym czasie pod gazem — teraz jeszcze czułem od niego alkoholem. Miał więc zwiększoną pobudliwość. Nie słyszałem, aby szukał po pijanemu zaczepki, ale miewał ataki nerwowe, ogarniała go depresja i niechęć do życia. Raz nawet przyszedł do ambulatorium. Uskarżał się na bóle głowy i objawy lekowe. Dałem mu kropelki uspokajające.

— Nie sądzi pan, że był narkomanem? — zapytał Ewans. — Nie znam się na tym, ale lekarze potrafią to podobno wykryć.

— Nie badałem go pod tym względem. Możliwe. Ludzie wyobrażają sobie, że marynarze stanowią wzór siły fizycznej i moralnej, a w rzeczywistości nigdzie nie ma, tyłu zboczeńców i wykolejeńców, co właśnie wśród marynarzy.

— A ta kobieta. Skąd pan o niej wie?

Mówiąc to doktor Aldwich zatarł kościste dłonie. Widać było, że bawi go zakłopotanie detektywa.

— Mogła to być jedna ze stewardess. Brunetka używająca perfum Nr 5 Chanela.

— Ale skąd pan wie?

— O, to nic trudnego.

— Znalazłem po prostu długi czarny włos na kołnierzu koszuli Lindquista. A co do perfum... Widzi pan od lat kolekcjo-

nuje perfumy. Inni kolekcjonują znaczki pocztowe, monety, pudełka od zapalek. Moje hobby jest nieco odmienne. Już w dzieciństwie byłem niezwykle wyczulony na zapachy. Potem, gdy dorosłem i zacząłem zarabiać ogarnęła mnie mania zbieractwa. Przypuszczam, że jestem właścicielem największej na świecie kolekcji perfum. Mam nawet pachnidła wydobyte z grobowców faraonów. Rewolwer pachnie Chanalem — stwierdzenie takiego faktu to dla mnie bagatela. Proszę powąchać rękojeść.

— Tak, — przyznał Ewans — czuję słabą woń i nie będę się sprzeczał czy to Chanel, czy coś innego. Nigdy nie zwracałem uwagi na gatunki perfum. Dotychczas byłem pewien, że na tych historiach znają się tylko kobiety. Osobiście rozróżniam jedynie lawendę Atkinsona. Ale wracając do dzisiejszych wydarzeń interesuje mnie pański pogląd na te sprawy. Jako fachowiec nieraz korzystałem z usług detektywów amatorów.

— Och, niewiele mam do dodania. Ta kobieta... musiała to być jakaś dobra znajoma cieśli. Nie wiem co ich łączyło — miłość, czy interesy handlowe. Każdy marynarz to przecież kontrabandzista. Nie, niech pan nie przeczy, kapitanie. Tak było od początków świata i tak będzie nadal. Myślę, że doszło pomiędzy nimi do sprzeczki, zapewne o pieniądze, i że kobieta trzasnęła Lindquista i jak to zwykle bywa u niewiast przstraszyła się swego uczynku, rzuciła broń i uciekła. Mogło też być i tak, że Lindquist w przystępie depresji wyrwał jej rewolwer i popełnił samobójstwo.

— Rozumowaniu pańskiemu nie zbywa na logice — powiedział Ewans. — Co do mnie wstrzymuję się od wypowiedzi. Nie mam jeszcze właściwej opinii w tej sprawie. Czy mogę pana prosić, kapitanie, o wykonanie mojej prośby?

— A więc koncepcja pańska nie uległa zmianie po tym co powiedział doktor Aldwich?

— Absolutnie. Mogę się mylić co do szczegółów, ale wypowiedź doktora potwierdza tylko moją teorię.

Aldwich zdjął okulary. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Nie pojmował co ci dwaj mówią do siebie.

— No, to już pójdę — powiedział kapitan Wilkinson.

Widać było, że atmosfera tego pokoju, krew i trup o woskowej twarzy, długim i jakby cieńszym jeszcze, niż za życia nosie, działały na niego deprymująco.

Wkrótce po tym jak wyszedł zjawił się bosman i dwaj marynarze z noszami. Doktor kazał im okreścić nieboszczyka kocem.

— Zakryjcie mu głowę i biegiem do szpitala. Nie było by to dobrze, gdyby pasażerowie zobaczyli ten kondukt pogrzebowy. I zawałajcie stewarda niech zmyje krew z podłogi.

— On tu już czeka w korytarzu — powiedział bosman. — Połowa załogi zgromadziła się w pobliżu.

— Kaźcie im się rozejść, Sammy — rozkazał doktor. — Tego jeszcze tylko brakowało, żeby pogłębić skandal.

— Rozeszli się, gdy przechodził kapitan, ale później znowu przygnali. Złazą się jak ćmy do latarni. Zresztą czy to coś dziwnego doktorze? Dwa morderstwa w ciągu kilku godzin! Ludzie są zdenerwowani, normalna reakcja.

Ewans uśmiechnął się na dźwięk tego niezwykłego słowa w

ustach bosmana. "Wpływ lektury", — pomyślał. Przypomniał co mu bosman mówił:... "siedzę sobie, pociągam łyk za łykiem i czytam książkę".

— Przyjdzie pan do mnie, Sammy, gdy się wszystko uspokoi.

— Pan tu zostaje w tej kabinie?

— Tak, chciałbym z panem porozmawiać.

— O czym? Ja nic nie wiem, sir. Nie wtrącam się nigdy do nieswoich spraw.

Ewans machnął ręką.

— Słyszałem to już. Przyjdzie pan, dobrze?

Bosman powstał chwilę, olbrzymie bary poruszyły się jakby chciały zgnieść coś co było niewidzialne i nieuchwytnie, w oczach przemknął lęk. Krótkie odnóża, wrosnięte jak gdyby w podłogę, zrobiły krok w tył.

— Tak jest, sir. Przyjdę.

13.

Kapitan Wilkinson rzucił na koję płaszcz sztormowy.

— W sam czas kazał mi pan wziąć ten płaszcz. Zdaje się, że będziemy mieli niezłą zabawę.

— Sztorm?

— Coś lepszego — orkan. Od godziny doniesienia meteorologiczne mówią o trąbie powietrznej wiejącej od Hawajów. Niech pan wyjrzy przez okno!

Ewans podszedł do iluminatora. Ocean był spokojny, błyski słoneczne tańczyły na szerokiej, szaroniebieskiej fali. Lekki obłok, prawie nieruchomy, wisiał nad statkiem podczas gdy w dali, na horyzoncie, niebo jaśniało czystym błękitem.

— Nic nie widzę.

— Ale wkrótce pan zobaczy. Barometr spada gwałtownie. morze jakby znieruchomiło. Nie czuje pan suchości w gardle?

— Nie.

— My, marynarze, mamy delikatniejsze błony śluzowe. Kazałem pozamykać szczelnie luki, zakręcić iluminatory i sprawdzić, czy łodzie ratunkowe są dobrze umocowane. Będziemy mieli niezadługo pełne ręce roboty. Oto pański cukier. Pospieszmy się. I wątpię, czy będę mógł towarzyszyć cieśli Trevorowi jak obiecałem.

— Sądzi pan, że to prędko nastąpi?

— Orkan? Mniej więcej za dwie godziny.

— No, to zdąży się.

— Uwaga, zakręcam iluminator i włączam elektryczność.

— Trzeba by to i tak zrobić niezależnie od sztormu. Świadkowie nie są mi potrzebni. Niezbyt szczerne te kartony, niech to diabli wezmą! Cukier się z nich wysypuje. Trudno, nie może być lepiej. Gotowe, może pan zabrać kokainę. Ja tu jeszcze zostanę kilka minut, dołączę do pana za kwadrans.

— Wydaje mi się, że role się zmieniły. Pan tu teraz rozkazuje, he? Ale przeboleję to. Zakotwiczę to lekarstwo i zaraz posyłam po Trevora. Tylko, na Neptuna, nie każ pan na siebie długo czekać!

— Nie, nie!... — powiedział Ewans. — Położę się jedynie na chwilę, muszę odsapnąć.

Koja Lindquista była cała przesiąknięta zapachem whisky i totoniu fajkowego, a przy tym za krótka jak na detektywa. Wszystko to nie sprzyjało drzemce. Ewans miał jednak wrażenie, że przespał się nieco. Obudziło go skrzypnięcie drzwi.

Mignęła niebieska sukienka, ale trwało to zaledwie moment; drzwi zamknęły się bezszelestnie i chociaż detektyw zerwał się zaraz na równe nogi i wybiegł na korytarz nie zobaczył już nikogo.

— Kogo pan szuka, sir? — zapytał bosman. — Właśnie idę do pana.

— Przyśniło mi się coś — odparł Ewans. — Nie widział pan czasem kobiety w niebieskiej sukni?

— Na pokładzie pierwszej klasy przechadza się wiele damulek w niebieskich sukienkach. Niektórym warto się nawet przyrzec. Ale w kubryku? Rzeczywiście, musiało się panu przyśnić, sir.

— Chodźmy do kajuty Lindquista, porozmawiamy.

— Bardzo chętnie, ale nie mam nic do powiedzenia.

— A wie pan o co chcę pytać, bosmanie?

— Domyślam się. Tylko, że ja nie piłem whisky z nieboszcykiem cieślą, ani nie biegałem z nim na dziwki.

— Mówił pan przecież kapitanowi, że Lindquist od dawna się panu nie podoba i że wsadza nos w nieswoje sprawy. Tak było, czy nie?

— Mówiłem i może nie miałem racji? A teraz życzy pan sobie, żeby stary Samuel Adams rozbił głowę zupełnie bez potrzeby przez zbytnie gadulstwo?

— Słuchaj pan, bosmanie, — powiedział Ewans, którego sposób wysławiania się Adamsa zaczynał wyprowadzać z równowagi — od czego ja tu jestem, jak się panu zdaje? Od zadawania głupich pytań? Jeżeli proszę o wyjaśnienie pewnych spraw to zapewne nie dla zabawy. Radzę panu szczerze i po przyjacielsku nie wykręcać się od odpowiedzi w przeciwnym razie będę zmuszony posądzić pana o współudział w morderstwie.

— Mnie? — zdziwił się bosman. — Ja w tym nie maczałem nawet małego palca.

— To się dopiero okaże — stwierdził chłodno Ewans.

Bosman przestąpił z nogi na nogę. Oczy biegały mu niespokojnie. Wyjął z kieszeni wielką kraciastą chustkę i wytarł czoło, które pokryło się nagle potem.

— Co mam mówić?

— Jak dawno zna pan Lindquista?

— Od tygodnia. Zaokrętował w zeszlą niedzielę. Był to jego pierwszy rejs na "Pensylwanii".

— Dlaczego nie podobał się panu od początku?

— Jak może podobać się człowiek, który cały dzień znajduje się pod gazem, w wolnych chwilach gra w kości i ugania się za spódniczkami? Nie było jednej stewardessy, do której nie smaliłby cholewek.

— Zna pan może kobietę, z którą się zadawał?

— Nie. On co dzień zmieniał uczucia.

— Hm, a czemuż to, pańskim zdaniem, wsadzał nos w nieswoje sprawy?

Bosman zamyślił się.

— Opowiadałem panu o tamtym bosmanie, moim poprzedniku? Nie jest dobrze na pokładzie "Pensylwanii". Załoga...

— Chce pan powiedzieć, że istnieje tu coś w rodzaju mafii?

— Tak, coś w tym rodzaju. Lindquist miał z nimi powiązania, pewno popełnił jakieś głupstwo, naraził się...

— ...albo zdradził.

— Myśli pan podobnie, sir? No więc to jest wszystko co chciałem wyjaśnić.

— Nic ponadto?

— Nic. Nie jestem kapusiem. I życie jest mi jeszcze także miłe.

Ewans uśmiechnął się.

— Dziękuję panu. To i tak ma duże znaczenie.

I dodał łagodnym tonem:

— Może pan odejść.

Gdy za bosmanem zamknęły się drzwi postać jeszcze chwilę, pocierając w zamyśleniu czoło. Potem wyłączył światło i wyszedł.

14.

W kabinie kapitana paliła się tylko jedna niewielka lampka, zasłonięta w dodatku zielonym abażurem. Toteż Ewans nie mógł rozróżnić dobrze twarzy człowieka siedzącego przy stole w pozie pełnej uszanowania. Domyślił się jednak od razu, że był to cieśla Trevor. Miał on szerokie bary i dużą głowę, łysą, otoczoną wianuszkami jasnych włosów. Pomimo potężnej budowy wydawał się człowiekiem nieśmiałym, tak przynajmniej na pierwszy rzut oka osądził detektyw.

— Pan Trevor, jeżeli się nie mylę?

— Tak jest, sir.

Ewans mógł mu się teraz lepiej przypatrzeć, gdyż cieśla wstał i światło lampy padło na jego twarz, mięsistą i czerwoną, jak na wpół upieczony rostbef. Grube fałdy skóry biegły od oczu do podbródka, a u nasady dużego nosa ulokowała się brodawka pokryta długimi, rudymi włosami. Włosy tegoż koloru sterczały z niestarannie pielęgnowanej brody.

— Proszę, niech pan siada, — powiedział detektyw — porozmawiamy.

Trevor usiadł z ociąganiem. Widać było, że jest mocno speszony. Poprawiając bawełniane spodnie i wciągając bosc stopy pod stół pokasywał nerwowo i co chwila czochrał się w brodę.

Ewans przyglądał mu się nic nie mówiąc, co wprowadzało cieśnię w jeszcze większe podniecenie. Nie wytrzymał wreszcie i powiedział:

— Chciał mnie pan o coś zapytać, sir?

— O, to nic ważnego — odparł obojętnym tonem detektyw.

— Dobrze się panu mieszało z Lindquistem?

— Mielśmy różne uosobienia. Nieboszczyk...

Widać było, że to słowo z trudem przechodzi mu przez usta.

— ... Nieboszczyk lubił damskie towarzystwo, ja zaś nie przepadam za kobietami. Poza tym...

— Chce pan może powiedzieć, że gardzi także whisky?

Fałdy na twarzy Trevora wygładziły się. Otworzył usta, ukazując spróchniałe zęby.

— Z pana jest naprawdę wesoły gość! — roześmiał się, przy czym nieświeży oddech doleciał aż do Ewansa. — Prawdę mówiąc wolę gin, to naprawdę męski trunek.

Ewans pokiwał głową.

— Ma pan rację — powiedział. — Czy nie moglibyśmy dostać dwóch szklaneczek ginu, panie kapitanie?

Kapitan Wilkinson spojrzał na detektywa z niesmakiem.

— Znajdzie pan gin w barze.

Ewans domyślił się, że kapitan nie pochwała jego zachowania się. Picie alkoholu w kabinie komendanta statku z cieślą okrętowym nie tylko podważało dyscyplinę, ale przede wszystkim wytwarzało atmosferę zbytnej poufności, czego nie znosił. Detektyw uśmiechnął się w duchu. Wyjąwszy z baru butelkę z angielskim ginem napełnił nim dwie szklanki, przy czym do jednej z nich upuścił nieznacznie żółtą pigułkę, od której napój nabrał lekko złocistej barwy. Tę właśnie szklankę wręczył Trevorowi.

— A więc pijmy za pańskie zdrowie!

Cieśla podniósł szklankę do góry, powąchał z lubością trunk i powiedział:

— Zdaje się, że to jest coś warte. Także za pańskie zdrowie!

Mówiąc to wychylił gin duszkiem. Ledwo to zrobił, gdy oczy zaczęły mu się zamykać.

— Nie wiem co się stało — mruknął, ziewając potężnie, — ale diabelnie zachciało mi się spać. Panowie wybaczą, pójdę chyba do swojej kabiny... Nigdy jeszcze nie piłem podobnie mocnego ginu.

Wstał, zrobił dwa kroki, kiwnął się i byłby upadł, gdyby detektyw nie podtrzymał go ramieniem.

— Niech mi pan pomoże, panie kapitanie — powiedział Ewans. — Musimy tego gościa położyć do łóżka. Sam nie dam sobie rady, za ciężki.

Kapitan Wilkinson poczerwieniał i obrzucił detektywa piorunującym spojrzeniem.

— Jeżeli pan sobie wyobraża, że dam się skompromitować to pan się grubo myli! Ja miałbym predefilować pod okiem całej załogi z tym pijanym drabem pod ręką aż do jego kajuty? Tego proszę się po mnie nie spodziewać, Ewans.

— Wcale od pana tego nie żądam — odparł niewzruszonym tonem detektyw. — Umieścimy Trevora w pańskiej sypialni.

— Może w moim łóżku?

— Było by to najbardziej ludzkie. Myślę jednak, że Trevor zadowoli się dywanikiem koło łóżka. Jak wierny piesek. Snu jego przez co najmniej sześć godzin nie zdoła przerwać nawet sztorm.

— Jest pan jednym z najbezczelniejszych typów, jakich poznałem w moim życiu.

— Dlaczego?

— Ponieważ przypuszcza pan, że zgodzę się na tę propozycję.

— Owszem. Należy to bowiem do elementów planu, który już panu uprzednio zaaprobował.

— Jak to?

— Och, nie jest to takie trudne do zrozumienia. Rozpuściłem w ginie Trevora silną pigułkę nasenną.

— Pan to zrobił?

— Gwałcąc prawo nietykalności osobistej obywatela Trevora i Konstytucję Stanów Zjednoczonych. Co więcej mam zamiar...

— ... przedzierzgnąć się w Trevora — powiedział kapitan, który zaczynał się wczuwać w sytuację.

— Jak to pan odgadł? I przespać się w kubryku. Czy wolno skorzystać na chwilę z łazienki?

— Jeszcze i to? — westchnął kapitan. — Trudno, skoro stałem się pańskim współnikiem...

Skinieniem ręki wyraził rezygnację.

Obaj przenieśli cięśle do sypialni, położyli na dywanie i nakryli kocem. Ewans znikł później w łazience, a gdy się pojawił miał przyprawioną rudą brodę, a twarz umiejętnie uszmkowaną na kolor czerwono-brunatny.

Kapitan przyjrzał mu się krytycznie.

— Ta broda wydaje mi się dobra, ale poza tym nie jest pan nazbyt podobny do Trevora. A co z ubraniem?

— Pożycz mi pan płaszcz sztormowy.

— Na szczęście mam zapasowy płaszcz.

— A teraz pozwól pan, że dokończę toalety.

Mówiąc to Ewans zdjął buty i skarpetki, podwinął spodnie za kolana, a na głowę włożył trochę za obszerną czapkę cięśli. Spadała prawie na oczy, co mu zresztą odpowiadało.

Gdy wkrótce potem w płaszczu sztormowym opuścił kajutę kapitańską steward Bill wziął go za Trevora, i dając mu lekkiego kuksańca w bok, powiedział:

— Idziesz na jednego, John?

Ewans roześmiał się i nie odpowiadając powędrował w stronę schodów prowadzących na pokład pierwszej klasy. Nie mógł się wdawać w pogawędkę ze stewardem, ponieważ niezbyt był pewien czy zmieniając głos uda mu się w dostatecznym stopniu naśladować Trevora. Na pokładzie siedziało tylko kilka starszych pań. Jedna z nich, koścista, mająca w sobie coś z pudła, opowiadała jakąś ciekawą historię, gdyż tamte słuchały ją z przejęciem. Nie zwróciły uwagi na Ewansa.

— ... i mój pies jak tylko zobaczył tego człowieka powziął od razu podejrzenie i kiedy...

Ocean lekko falował i na skraju horyzontu na północy widać było skrawek ciemnej chmury. Ale pozostała część nieba jaśniała błękitem i słońce, chyląc się ku zachodowi, dobrze jeszcze przygrzewało.

— Kapitan się chyba omylił — pomyślał Ewans. — Nie zanoszę się wcale na sztorm.

Przechodząc koło biblioteki zerknął do środka. Świeciła, jak zwykle, pustkami. Obejrzał się dla ostrożności, czy go ktoś nie widzi (mogło by się to wydawać podejrzanym, gdyby ktoś zoba-

czył, że cieśla John Trevor nabrał nagle chęci do czytania) i szybko otworzył drzwi. Odszukał książkę Anny Sexton. Pomiedzy 20, a 21 stroną leżał tam skrawek papieru, na którym drobnym, wyraźnym charakterem pisma Claire, nakreślonych było zaledwie kilka słów:

— „Przyjdź do mnie dziś wieczór o 7-mej. Czekam”.

Spojrzał na zegarek. Była za kwadrans piąta.

— Zdamy chyba.

Na odwrotnej stronie tego samego skrawka papieru nagryzmolił pospiesznie:

— „O. K.”.

Gdy odkładał książkę na półkę przez okno biblioteki przemknął cień. Ewans wyskoczył na pokład. Nie było jednak nikogo. Miał prawie pewność, że ktoś go podejrzwał. Mówiła mu to intuicja.

Zeszedł na pokład klasy turystycznej, a stamtąd jeszcze niżej do pomieszczeń załogi. Idąc zataczał się z lekka.

Minęło go kilku marynarzy.

— Popatrzcie, — powiedział jeden z nich — Trevor już rąbnął butelkę brandy.

— Hej, John, postawisz piwo?

Ewans nie zważając na zaczepki przemknął się chyłkiem, otworzył drzwi kabiny i zaraz je za sobą zamknął na klucz. Pierwszą jego czynnością było sprawdzenie, czy w czasie, gdy znajdował się u kapitana nie dobrał się ktoś do ukrytego w szafce cukru. Ale nie. Tylko z jednej paczki usypało się trochę białego pyłu.

— A teraz uwaga, chłopcze! — powiedział.

Wyłączył światło i kładąc się na koi umieścił koło siebie latarkę elektryczną. Z drugiej strony położył sześciostrzałowy Smith i Wesson. Była to duża maszyna i dość stara z rodzaju tych, które widuje się na filmach kowbojskich z Dalekiego Zachodu. Ale Willy Ewans darzył ją przywiązaniem. Mówił, że kiedy strzela musi mieć coś pewnego w ręku, nie zaś zabawkę w rodzaju damskich rewolwerów.

Minuty wlokły się powoli. Z zewnątrz, z korytarza i z pokładu, dolatywał odgłos kroków. Słychać też było szum fal rozbijających się o burty statku. Pod szafką coś skrobało — pewno szczur. Oczy, przyzwyczajone do ciemności, rozróżniały niewyraźne kontury sprzętów.

Nagle skrzypnęły drzwi. Ewans zerwał się na równe nogi. Zanim jednak zdążył zaświecić latarkę potężny cios w głowę zwałił go na podłogę. Stracił przytomność, czerwone i niebieskie koła zawirowały mu przed oczami.

15.

— Pana kapitana znajdzie pani na mostku, ale tam nie wolno wchodzić — powiedział niezbyt logicznie steward.

— Proszę go zaraz zawołać — rozkazała Claire.

— Tego nie mogę zrobić.

Claire czuła jak ogarnia ją gniew. W tej chwili zdolna była do czynów, których potem musiałaby się wstydzić, np. do trzaśnięcia stewarda w tępą twarz.

— Proszę zaraz zawołać kapitana — powtórzyła. — Stało się coś bardzo ważnego.

Steward wzruszył ramionami.

— Nie może być nic ważniejszego, niż sztorm. Czy pani to rozumie?

Claire teraz dopiero zauważyła, że podłoga pod jej nogami chwieje się, a sufit przechyla się raz w jedną, a raz w drugą stronę.

— Widzę, że coś jest nie w porządku ze statkiem.

— Nie w porządku? Barometr spadł gwałtownie, grozi nam huragan o sile 100 km na godzinę. A pani chce, żebym odrywał kapitana od mostku. W takiej chwili!

— Wobec tego pójdę tam sama — powiedziała Claire.

Steward próbował ją zatrzymać. Odepchnęła go.

— Ja za to nie odpowiadam, proszę pani. To jest wbrew przepisom.

Nie słuchała już jego labidzenia. Chwytając się balustrady usiłowała wejść na schody prowadzące na górny pokład. Udało jej się to w końcu, ale na górnym pokładzie gwałtowny przechył statku o mało nie zwałił jej z nóg. Pojechała na obcasach aż do burty, złapała się kurczowo relingu, gdy nowy przechył tym razem w odwrotnym kierunku oderwał ją od relingu i zepchnął wprost pod schody wiodące na mostek kapitański. Zleciały jej pantofle. Siedząc trzymała się oburącz balustrady.

— Panie kapitanie, panie kapitanie!...

Wicher zagłuszał jej słowa. Zdawało się, że wszystkie diabły wodne chichocząc i wyjąc runęły na "Pensylwanię".

W dalszym ciągu trzymając się mocno balustrady zaczęła się wspinać mozolnie na czworakach po stopniach. Nie wiedziała ile ich jest — siedem, osiem, czy kilkanaście, mnożyły się w nieskończoność. W każdej chwili bała się, że zleci w tył na pokład i skręci kark.

Kiedy wreszcie dotarła do ostatniego była już u kresu sił.

— Panie kapitanie!...

Ktoś pochylił się nad nią. Nie był to jednak kapitan, tylko bosman.

— Skąd się pani tu wzięła?

Jedną ręką ściągnął ją ze schodów, postawił na nogi i trzymając za ramiona pomagał w utrzymaniu równowagi.

— Muszę... — jęknęła — muszę się widzieć z kapitanem.

— Zaraz to zrobimy.

Chwili się oboje w takt przechyłów. Bosman wydawał się przyklejony do pokładu i Claire, gdy tak ją trzymał w objęciach, poczuła się zupełnie bezpieczną. Jednocześnie zaś przyszył ją dreszcz rozkoszy. Żywioł, zupełnie jak żywioł! Po raz pierwszy zrozumiała kobiety, które fascynowała siła męska.

Idąc chwytał jak gdyby stopami deski pokładu.

— Co tam takiego, Sammy? — zapytał kapitan.

— Przyprowadziłem pannę Fuld.

Kapitan odwrócił się gwałtownie. Aż tu dolatywały bryzgi piany, woda morska spływała z płaszcza sztormowego Wilkina, razila go w twarz. Wydawało się, że płacze.

Claire zabrakło nagle słów. Gardło jej się zacisnęło, prze-

łykała łzy. Z miną tragiczną bardzo jej było zresztą do twarzy. Zauważył to nawet kapitan.

— Zdarzyło się coś nowego na tym przeklętym statku?

Skinęła głową.

— Ewans... Willy Ewans znikł.

— Niemożliwe — powiedział, uśmiechając się dobitnie. Widziałem go nie dalej, niż przed godziną. To jakieś... — chciał powiedzieć: "przeczulenie", powiedział jednak: — nieporozumienie. Niepotrzebnie się pani niepokoi. Ja sam po tych ostatnich wydarzeniach jestem cokolwiek podenerwowany, zaczynam wyolbrzymiać pewne fakty. Nie, nie mówię halucynacji, proszę pani. Z całą odpowiedzialnością mogę oświadczyć, że widziałem niedawno Ewansa i nie wyglądał na człowieka, którego... hm... porwano.

— Kiedy to było?

— Do diabła! — zaklął. — Przypominam sobie, że przed pięć, a teraz mamy prawie osmą. Widziałem go zatem nie przed godziną, lecz trzy godziny temu. Więc mówi pani, że znikł? Są jakieś dowody?

— Szukałam go wszędzie i nikt nie wie gdzie się znajduje.

Kapitan odetchnął z ulgą.

— Mogłbym pani udzielić pod tym względem wyjaśnień, ale nie tu. Do stu tysięcy złamanych kotwic, czy nie czuje pani, że jest przemoczona do nitki? Nie lubię eskulapów, mam jednak wrażenie, że doktor Aldwych przyda się pani niezadługo. Bosmanie, zatelefonujcie do pierwszego oficera, powiedzcie, żeby mnie zastąpił i odprowadźcie pannę Fuld do jej kabiny, a kiedy się przebierze popilotujcie ją do mnie. Trzeba być marynarzem, albo akrobatą, aby móc się poruszać w taką pogodę. A więc umówione. Za mały kwadrans dowie się pani ciekawych rzeczy. Proszę mi wybaczyć — muszę teraz iść na swój posterunek.

Boczna fala przewalała się prawie nad statkiem, który przechylał się niebezpiecznie. Naraz lunął deszcz, woda morską przemieszała się z wodą deszczową, potoki w czasie przechyłów strącały z nóg i Claire zdawało się, że za chwilę wraz z bosmanem zleci na niższy pokład. Ale bosman nic sobie nie robił z wściekłości żywiołu. Niósł właściwie dziewczynę, która o własnych siłach nie mogła by zrobić jednego kroku. Zeszli na pokład spacerowy pierwszej klasy, bosman połączył się z pierwszym oficerem i przekazał mu rozkaz kapitana.

Droga do kabiny Claire nie trwała długo.

— Ja tu po panią wrócę za 10 minut — powiedział bosman i jakby sprzedając pytanie dziewczyny, dodał: — Może pani na mnie polegać, trzymam głowę na kłódce. Nikt nie powinien wiedzieć o czym mówiła pani z kapitanem. A swoją drogą pan Ewans jest nieostrożny, zawsze to powtarzam i niepotrzebnie wtrąca się do nieswoich spraw.

Claire nie słuchała go już. W kabinie okno było zakryte żaluzją sztormową, a stół i krzesła przymocowane do podłogi. Usiadła na chwilę w fotelu, a właściwie rzuciła ją na fotel. Miała wrażenie, że cały świat kręci się wraz z nią jak na karuzeli. Czuła szum w głowie i ucisk w tyle czaszki, ale — i to było dziwne — żadnych dolegliwości większych. Przed wyjazdem nasłuchiwała się wiele o chorobie morskiej. Przyjaciółka, która odbyła nie-

dawno podróż z Nowego Jorku na Bermudy, przysięgała, że nigdy w życiu noga jej nie stąpnie na pokład statku.

— Podobno — myślała Claire — reakcja na huśtanie zależy od stanu labiryntu w uchu. A mnie nawet nie mdli.

Z trudnością zmusiła się do powstania. Dłuższy czas walczyła z szafą zanim udało się jej wydobyć świeżą bieliznę i sukienkę. Przy zdejmowaniu przemoczonego ubrania musiała wykonywać akrobatyczne ruchy. W końcu przebrała się, siedząc na dywanie. W łazience przejrzała się w lustrze: rude włosy, rozrzucone w nieładzie, okalały bladą twarz; nie miała siły, żeby je uporządkować. Starła jedynie mokrym ręcznikiem ślady szminki z ust i rzęs.

Narzuciła właśnie płaszcz przeciwdeszczowy na sukienkę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Powiem pani coś — mruknął bosman. — Nie powinienem tego mówić, jeżeli miła mi jest własna skóra, ale z pani taka fajna dziewczyna, że niech się dzieje wola Boska — powiem. Z panem Ewansem może być źle, coś takiego wpadło mi w ucho i lepiej było by dla pani nie wtrącać się do tej sprawy. Ten interes brzydko pachnie.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

— I tak już za dużo wyśpiewałem. To była tylko przestroga i proszę zapomnieć, że ja to powiedziałem.

Claire nie mogła z niego wydobyć więcej. Milczał całą drogę aż do kabiny kapitana. Usta mu się otworzyły dopiero na widok stewarda.

— Stary u siebie, Bill?

— Przyszedł przed chwilą.

— To wprowadź do niego tę panią. Tak było umówione.

— Nie tak szybko! — powiedział steward. — Muszę sprawdzić.

Widać było, że niezbyt chętnym okiem patrzy na Claire. Pamiętał jeszcze dobrze zachowanie się dziewczyny, gdy starał się ją odwieść od wędrówki na mostek kapitański.

Gdy odszedł bosman zrobił kółko na czole.

— Musi pani wiedzieć, że on był kiedyś sędzią w hrabstwie Man i ma bardzo wyczułone wyobrażenie na temat własnej godności.

Claire uśmiechnęła się mimo woli. Bosman chciał jeszcze coś dodać do tej uwagi, ale nie starczyło na to czasu, gdyż drzwi uchyliły się i steward zameldował z kwaśną miną, że istotnie kapitan prosi pannę Fuld.

Kapitan Wilkinson stał na rozstawionych nogach po środku saloniku.

— Chcę pani coś pokazać — powiedział. — Proszę spojrzeć na dywan przed moim łóżkiem.

Claire zerknęła do sypialni kapitańskiej i z ust jej wyrwał się okrzyk.

— Co ten człowiek robi u pana?

— O, to dłuższa historia. Zaraz opowiem. Ale może wypijemy najpierw po szklaneczce koniaku. Nic tak nie zapobiega chorobie morskiej, jak koniak.

Claire patrzyła jak kapitan Wilkinson żongluje butelką i szklanką i myślała, że dałby sobie radę jako barman lub kelner.

— Zawodowa wprawa — powiedział. Dyplomaci i marynarze muszą się znać na nalewaniu trunku do kieliszka. Proszę to wychylić duszkiem, gdyż inaczej wyleje pani koniak na suknię.

Claire usłuchała i natychmiast poczuła jak alkohol uderza jej do głowy.

— A więc?

— A więc — podjął, bębniąc palcami lewej ręki w poręcz fotelu — zacznę od zabójstwa cieśli Lindquista. Słyszała już pani o tym na pewno. Te rzeczy rozchodzą się lotem błyskawicy.

Przytaknęła. Siedzieli naprzeciw siebie i ze ściany nad fotel-em kapitana uśmiechała się do niej melancholijnie pulchna blondynka o przesłodzonej twarzy.

— Otóż w czasie rewizji w kabinie zabitego pan Ewans znalazł cztery kilogramy kokainy.

— Nic o tym nie wiem.

— Dziwiłbym się bardzo, gdyby było inaczej, panno Fuld. Jeżeli się nie mylę zerwała pani nieodwołalnie i raz na zawsze stosunki z biurem detektywów Ewans i Burton.

Claire poczuła, że się czerwieni.

— Pewne sprawy trzeba wyjaśnić — bąknęła. — Nie zerwałam wcale z Ewansem. Myśmy się tylko tak umówili dla dobra śledztwa.

— Dla dobra śledztwa... — powtórzył kapitan Wilkinson. — Mam zatem sądzić, że scena w sali jadalnej wczoraj wieczór była sfingowana?

— Wstyd mi się przyznać, ale była sfingowana.

— A ja mógłbym przysiąc, że powiedziała pani Ewansowi kupę impertynencji całkiem na serio.

Claire uśmiechnęła się blado.

— Wie pan jak to jest w comedia del arte? Nie wszystko bywa zmyśleniem.

Z kolei uśmiechnął się kapitan.

— Arlekin musiał to tak właśnie zrozumieć. Szkoda mi Arlekina.

Chrząknął.

— Wracając do sprawy skoro to pani przedstawia w podobny sposób, skoro wiedziała pani co robi Ewans — myślę, że nie zawiadomił jej o aferze z kokainą z braku czasu.

— I ja tak myślę.

— Krępuję się o tym mówić co było dalej. Nigdy w życiu nie łamałem przepisów, zawsze byłem w zgodzie z prawem. Pan Ewans wciągnął mnie...

— Śmiało, śmiało! — zawołała Claire.

— Pan Ewans wciągnął mnie w mistyfikację. Kazałem zawołać ciebie Trevora i w czasie przesłuchania Ewans wrzucił mi srodek nasenny do brandy.

— Znam te metody.

— Nie są one godne pochwały według mego mniemania. Nie mówiąc już o etyce stanowi to naruszenie swobód konstytucyjnych obywatela, co znajduje wyraz w kodeksie karnym. Wstydzę się, że brałem w tym udział.

Kapitan spojrzał na Claire, jakby spodziewając się, że rozproszy jego wątpliwości, ale dziewczyna milczała.

— Później Ewans przebrał się, ucharakteryzował i muszę przyznać, że z sylwetki upodobił do ciebie. Także z brody. Następnie, wybrał się do kabiny Trevora i zmarłego Lindquista. Spodziewał się bowiem, że zabójca wróci na miejsce zbrodni, aby zawiązać kokainę.

— Stało się to przed trzema godzinami — powiedziała Claire — i Ewans dotąd nie wrócił. Nic to panu nie mówi?

— Nie, na Boga. Zauważyła pani jak nasila się huragan?

Nie mogła tego nie spostrzec. Statek zachowywał się jak pijany. Sufit salonu nachylał się gwałtownie, a podłoga jechała w górę tak, że Claire musiała się przytrzymywać z całej siły poręczy, aby nie wypaść z fotela. Przechylił towarzyszył świst nawałnicy, gniewny pomruk oceanu i dźwięk przypominający suchy trzask łamiącego się drewna. Wydawało się, że za chwilę statek pęknie pod naporem huraganu.

— Muszę już iść, miss Fuld, — powiedział kapitan. — Bosman panią odprowadzi. Proszę spać spokojnie, jeżeli w ogóle można spać w tę piekielną nawałnicę. Nie trzeba się troszczyć o Ewansa. Da sobie z pewnością radę. Trzy godziny to ostatecznie nie tak wiele. Wróci niebawem.

— Niestety, mam złe przeczucia. Czy może mi pan wskazać kabinę Trevora?

— Bardzo żałuję, ale muszę być na posterunku. Ponoś odpowiedzialność za całość statku, życie pasażerów i tak dalej. Zaprowadzi panią bosman.

Kapitan wstał, zataczając się, i zadzwonił na stewarda.

— Zawołaj bosmana, Bill.

— On tu czeka, panie kapitanie.

— Och, to ładnie. Będziecie towarzyszyć tej panience, Sammy. Odtąd ona jest waszym przełożonym.

— Tak jest, sir. Co mam robić?

— Panna Fuld to wam wytłumaczy. Pokażecie jej najpierw kabinę Trevora. Do widzenia i pomyślnych wyników poszukiwań.

Claire miała wrażenie, że mówiąc to kapitan Wilkinson zrobił perskie oko, ale zaraz przywołała się do porządku. Nie było rzeczą możliwą, aby pan i władca statku miał podobnie płocze obyczaje.

— Ma pani szczęście — powiedział bosman — bo znaleźliśmy się właśnie w oku huraganu i chyba zauważyła to pani — huśtawka się skończyła — na pewno czas, oczywiście, na krótko. Huragan to sobie odbije z nawiązką, szkoda słów. Potanczmy jeszcze na jednej nodze. Ale teraz drogę mamy ułatwioną, nie potrzebuję pani podtrzymywać.

Rzeczywiście, wichur ustał, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Wzburzone fale uderzały wprawdzie o burty statku, ale kołysanie, które wywoływały, było łagodne w porównaniu z tym co działo się jeszcze przed chwilą.

— Patrzy pani na mój nos — ciągnął bosman i przypuszcza, że przezasowano mi go w knajpie portowej. A tymczasem to zupełnie zwyczajna historia. Jako chłopak odznaczałem się cholerным temperamentem. Mój stary miał z tego powodu moc nieprzyjemności i nieraz zmuszony był dobierać mi się do skóry. Ale naprawdę tylko jeden raz zdołałem mu zalać sady za skórę, wtedy mianowicie kiedy wrzuciłem do garnka mysz i ta mysz znalazła się w jego talerzu już ugotowana. On miał też niezły temperament ten mój rodzic i pięść jak bochen. Toteż jak mnie grzmotnął w pysk byłem od razu *groggy* i lekarz z pogotowia, który mnie ratował, opowiadał potem, że nie spotkał w swojej praktyce tak pięknie złamanego nosa.

— Nie patrzę wcale na pański nos, bosmanie.

— Ach, niech się pani nie zgrywa. Wszystkie kobiety zerkały na mój nos. Kosztuje je to trochę nerwów i trochę podniecia, a mnie doprowadza do szału. Potem to im przechodzi i jedna stara lady powiedziała mi nawet: "Z tym złamanym nosem wygląda pan do zakochania, jak pirat z filmu Douglasa Fairbanksa". Ale jesteśmy już przed kabiną Trevora. Drzwi są znowu otwarte, jak wtedy, gdy znaleźliśmy martwego cieślę. Niech pani zaczeka, ja wejść pierwszy. Nie wiadomo nigdy co się może kryć w ciemnościach w tej kajucie.

Przekreślił kontakt. W kabinie panował nieład. Koc i poduszka leżały na podłodze, a z otwartej szafki ciągnęło się, aż do progu pasmo rozsypanego cukru. Nic zresztą nie wskazywało na tragedię.

— No, dzięki Bogu, — powiedział bosman — nie stało się nic złego. A miałem już niedobre przeczucia.

— Sprawdziły się te przeczucia.

— Co pani ma na myśli?

— Ewans został porwany.

— Porwany?

— Tak. A oto jego latarka. Nie rozstawał się z nią nigdy.

Stańcła na kolanach i posuwając się na czworakach badała każdy centymetr podłogi. W pewnym momencie westchnęła lekko. To co leżało na jej dłoni był to plastikowy guzik od marynarki koloru ciemnoniebieskiego. Znajac doskonale garnitury Ewansa stwierdziła bez wahania, że guzik nie należał do niego. Był to guzik napastnika? Schowała drobny przedmiot do torebki i szukała dalej, ale nic więcej nie znalazła.

— Niech się pani pospieszy — powiedział bosman. — Tylko patrzeć jak się zacznie huśtawka.

— Już. Już jestem gotowa!

— Wracamy do kapitana, czy jak?

Claire zamyśliła się. Nieco poblądła, z rozrzuconymi beżadnie rudymi włosami, wyglądała uroczo. Spozstrzegł to nawet bosman Adams, chociaż zazwyczaj szacował kobiety wyłącznie z punktu widzenia użytkowego — twarz mało go obchodziła.

— Wracamy do kapitana.

— Tak jest, miss. Jak iść to iść. Ale proszę się mnie dobrze trzymać, bo zwariowany sztorm znowu zaczyna brykać.

Claire podała mu ramię. Szli pochyleni, chwiejąc się. Nawet bosman nie czuł się pewnie na nogach. Wydawało się, że huragan uwziął się specjalnie na "Pensylwanię". Statek skakał, przechylał się gwałtownie na boki, spadał w otchłań wodną i równie szybko pędził wzwyż, jak dźwig szybkiebieżny. Schody, wiodące na piętro klasy turystycznej, przybliżały się i uciekały. Bosman schwycił wreszcie, klnąc, jedną ręką poręcz. Trwało długo zanim wydostali się na górę.

Tu właśnie zobaczyli człowieka, na którego widok Claire nie mogła powstrzymać okrzyku zdumienia.

Był to szczupły mężczyzna, nieduży, niestary jeszcze. Mimo niewielkiego wzrostu wyglądał jak atleta, co być może wynikało z szerokich barów i byczego karku. Na szczurzej twarzy zwracały uwagę olbrzymie oczy stalowego koloru, sprawiające przykre, odpychające wrażenie.

— Dobrze, że pana spotykam — powiedział. — Nie mogę się dostać do lekarza. Co za burza! Zdaje się, że zabiłdżilem.

Głos miał skrzekliwy i cienki, jak chłopiec, który nie przeszedł jeszcze mutacji.

— Choroba morska? — zapytał bez większego zainteresowania bosman.

Mężczyzna roześmiał się.

— Za kogo pan mnie ma? Przejechałem pięć oceanów i dwadzieścia mórz i nigdy nie chorowałem. Ale żona mi niedomaga. Boję się, że to coś poważnego.

— Niech pan tu poczeka, sir — powiedział bosman. — Pomogę panu, ale najpierw muszę odprowadzić tę damę.

— Kobiety mają, oczywiście, pierwszeństwo. Dobrze, zaczekam.

Claire oddalając się, czuła ciężki wzrok nieznajomego. Wzrok ten parzył ją w plecy.

— Kto to taki?

— Och, — odparł z lekceważeniem bosman — od samego San Francisco ten facet nie wyłazi prawie z kajuty. Mówiła mi stewardessa, że raz tylko widziała jego żonę. To podobno bardzo nerwowa osoba. Nic się jej nie podoba. Posiłki każą sobie przynosić do apartamentu. I co mnie zastanawia — w podwójnym wymiarze.

— Co to znaczy — w podwójnym wymiarze?

— No, na cztery osoby. A przecież kobieta od początku rejsu choruje i nie wiadomo kto zjada te specjalne.

— Hm, — mruknęła Claire — to rzeczywiście osobliwe.

Chciała wypytać szczegółowiej o dziwnych pasażerów, ale znaleźli się właśnie przed obliczem stewarda Billa, który z miną grobową wyjaśnił:

— Przyszedł przed chwilą.
— Powiedz staremu, że chcemy z nim pogadać.
— Mówiłem ci przecież, że kapitan dopiero co przyszedł i przebiera się. Nie rozumiesz tego, Sammy?
— Rozumiem, panie sędzio. Mimo to zamelduje nas pan natychmiast.

Bill, który nie cierpiał kiedy mu przypominano jego chwalębną przeszłość, rzucił na bosmana wściekle spojrzenie.

— Mnie tu wydaje rozkazy tylko kapitan, panie Złamany Nosie.

Stali naprzeciw siebie jak dwa koguty i Claire wyczuwała, że bosmana swędzą ręce. Atmosferę rozładował krzyk kobiety dochodzący z głębi korytarza.

— Zdaje mi się, że coś się stało, Bill!

— I mnie tak się zdaje Sammy. Słyszałem wyraźnie wołanie o pomoc.

— No, to biegnijmy!

Wrócili wkrótce prowadząc młodą dziewczynę w samej tylko piżamie. Miała pociągłą twarz, niebieskie oczy i obcięte po męsku włosy. Claire doznała wrażenia, że już kiedyś tę dziewczynę widziała. Nie mogła sobie jednak przypomnieć gdzie to było i w jakich okolicznościach. Młoda osoba była niesłychanie wzburzona i zdławionym głosem domagała się widzenia z kapitanem, albowiem, iak wielokrotnie oświadczała, mąż jej znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Bill spoglądał raz na nią, a raz na Claire i nie wiedział, którą wpięrw zameldować. Poczucie obowiązku kazało mu wprowadzić pierwszą Claire, ale znowu ta mała... Z ambarasu wyprowadził go kapitan. Był w płaszczu sztormowym, wybierał się na wachtę.

— Och, a to co takiego? Pani do mnie, miss Fuld?

— Ta pani także. Pilna sprawa.

Otworzył milcząc drzwi. Bosman przepchnął się przez nie bokiem, wlokąc obie kobiety, jedną uczeploną do niego z prawej, a drugą z lewej strony. Wyglądało to tak zabawnie, że kapitan nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Trwało chwilę zanim bosman usadowił niewiasty w fotelach i ulotnił się, i druga chwile zanim kapitan, ochłoniawszy ze zdumienia, zapytał kobietę o obciętych po męsku włosach co ją do niego sprowadza. Łapała z trudem oddech. Widać było, że nie ochłonięła jeszcze z przerażenia i że nie może wykształcić słowa.

— Mój mąż... — wybełkotała wreszcie. — Mój mąż...

— Nazwisko?

— Sulejman Kothar Chan.

— Za pozwoleniem — powiedział sucho kapitan — o ile mi wiadomo pan Kothar Chan nie podróżuje w towarzystwie żony.

Kobieta opuściła oczy.

— Jeżeli chce pan nazwać to inaczej — jestem jego przyjaciółką, kochanką, nałożnicą. Teraz już wszystko jest jasne?

— Ach, tak? Jako komendant tego statku i baptysta nie chcę o tym słyszeć. Obraża to moje poczucie moralności. I cóż się stało panu Kothar Chanowi?

- Być może nie żyje już.
- Nie żyje?
- Zostawiłam go samego w kabinie, uciekłam. Boże, uciekłam! ratując życie!... Jestem nędzna, nędzna, nic nie warta!...
- Kapitan poczuł, że zimny pot oblewa mu czoło.
- Zaraz, proszę opowiadać spokojnie. Dlaczego uciekła pani z kajuty? Czy wielce szanowny pan Kothar Chan popełnił samobójstwo?
- Ale cóż znowu!...
- No więc co się stało?
- W kabinie jest pełno jadowitych węży. Wylazły z koszy, gdy zaczęła się burza i rozpełzły po wszystkich kątach. Znalazłam jednego na mojej koldrze. Ach, byłam zupełnie nieprzytomna ze strachu! Uciekłam i nie wiem co się tam teraz dzieje.
- Co? — powiedział kapitan. — Czy ja dobrze słyszę? Kto państwu pozwolił przewozić jadowite węże? Boże drogi, tego tylko jeszcze brakowało! Wie pani co to znaczy? Brak mi słów na określenie tego lekkomyślnego, co mówię karygodnego postępowania. Przepisy przewozowe wyraźnie określają, że nie wolno brać ze sobą do kajuty materiałów wybuchowych, łatwopalnych, cuchnących, nawet psów i kotów, a co dopiero jadowitych węży. W pierwszym porcie, w Honolulu, wysadzę państwa na ląd. I pan Kothar Chan będzie odpowiedzialny za wszelkie szkody i straty. Kto pani właściwie jest? Jak się pani nazywa?
- Nazywam się Pamela Lynley, jestem artystką cyrkową i występuję w przebraniu męskim jako strzelec wyborowy. Ale to nie ma nic do rzeczy. Chodzi o ratowanie człowieka.
- A jak się pani zdaje co ja mam zrobić — powiedział poirytowanym tonem kapitan, i uderzył pięścią w stół. — Huragan się wzmaga, muszę myśleć o zachowaniu w całości statku i o życiu pasażerów, powierzonych mojej opiece. Bardzo żałuję, — dodał zimno — ale trzeba pozostawić pana Kothar Chana jego własnemu losowi do czasu, gdy minie sztorm. Dopiero wtedy będziemy się mogli zabawić w polowanie.
- Grozi mu poważne niebezpieczeństwo.
- Być może, panno Lynley. Nic na to jednak nie poradzę. Zresztą, jak sądzę Kothar Chan umie się obchodzić z węzami.
- Uczy je tańczyć.
- No, więc widzi pani! Nie, proszę mi tymi sprawami nie zawracać głowy. A któż tam znowu, puka do diabła? Wejść! W drzwiach ukazał się oficer radiowy.
- Co się stało, Snakers? Mam nadzieję, że nic poważnego? Snakers wydawał się zmieszany. Wąski mu drgały, a spojrzenie jego zezowatych oczu wyrażało źle ukrywany niepokój.
- Obawiam się, sir, że coś poważnego. Odebrałem sygnały SOS. Tonie statek.
- Daleko od nas?
- W odległości 30 mil. Bandera panamska. Mają zespute maszyny, woda wdziera się pod pokład. Telegrafują, że mogą wytrzymać najwyżej dwie godziny.
- Nazwa?
- NIEDALEKO RÓWNIKA.
- NIEDALEKO RÓWNIKA? Czy nie wydaje się to panu znajome?

— Owszem, sir.
 — Hm, hm... Proszę zawiadomić oficera nawigacyjnego, że zmieniamy kurs.
 — Mogę mu podać koordynaty?
 — Oczywiście. Zaraz wracam na pokład.
 Gdy drzwi zamknęły się za Snakersem kapitan powiedział cichym głosem:
 — Dałbym nie wiem ile, gdybym mógł się naradzić z Ewansem w tej sprawie.
 — Niestety, — odparła Claire — nie ma Ewansa. Przychodzę, aby powiadomić pana, że został porwany.
 Kapitan Wilkinson spochmurniał.
 — Prawdę mówiąc spodziewałem się tego. Jest pani pewna?
 — Jak najbardziej. Przeszukałam kabinę Trevora. Morderca cieśli wrócił po... — obrzuciła szybkim spojrzeniem Pamelę Lenley — wie pan po co, kapitanie, i spostrzegłszy obcą osobę postanowił uwolnić się od niepotrzebnego świadka.
 — Czy rzecz... została zabrana?
 — Tak.
 — Ewans przewidział to. Był to bardzo doświadczony detektyw, panno Lynley, i zachodzę w głowę dlaczego dał się zaszkodzić. I co my teraz zrobimy? W czym mógłbym pani pomóc?
 Claire wzruszyła ramionami.
 — Nie brak panu kłopotów, kapitanie. Mam wrażenie, że dam sobie radę sama. Poproszę tylko o pozostawienie mi bosmana. Myślę, że we dwójkę... Nie byłam nigdy za dobieraniem do współpracy zbyt wielu osób.
 — Dzielna z pani dziewczyna, miss Fuld. Przypuszczam jednak, że bierze pani na swoje barki zbyt wiele. Ale nie mogę pomóc, mam w tej chwili ograniczone środki. No, więc niechże tak będzie. Czy nie lepiej wszakże poczekać z tym wszystkim do Honolulu?
 — Było by to na pewno za późno. Trudno trzeba ryzykować. Wiem, że się narażam, ale...
 — O co chodzi? — przerwała Pamela Lynley. — Czy mogłabym się w czymkolwiek przydać?
 Claire przyjrzała się jej spod przymrużonych powiek.
 — Nie wiem, czy mam prawo wtajemniczać panią w tę historię. Dobrze, — zdecydowała nagle — potrzebna mi jest osoba, która umie strzelać bez pudła. Chodźmy do mnie.

17.

Pamela Lynley włożyła bieliznę i suknię Claire. Były mniej więcej tego samego wzrostu i tuszy. Gdy odkładała piżamę Claire poczuła silny zapach perfum.

— Używa pani przyjemnych perfum — powiedziała.
 — Ach, podobają się pani? To Nr 5 Chanel.
 — Jak się pani czuje w sukience?
 — Przywykłam do noszenia spodni i czuję się trochę niezręcznie.
 — O, to pani przejdzie. Przekłète kiwanie doprowadza mnie do szaleństwa. Niech pani usiądzie koło mnie, bo hałas jest ta-

ki, że nie prawie nie słysząc co się mówi. Muszę pani opowiedzieć o co chodzi.

Streściła z grubsza przebieg wydarzeń.

Pamela Lynley słuchała uważnie, nie przerywając.

— Natrafiła pani na ślad zaginionych?

— Zdaje się, że tak. I jeżeli to się zgadza nie będziemy miały bezpiecznej przeprawy. Proszę, oto torebka i rewolwer.

— Nabity?

— Oczywiście. A tu zapasowy magazynek.

Wyszli na korytarz. Czekał tam już na nie bosman.

— Czy pamięta pan tego faceta, którego spotkaliśmy idąc do kapitana? Tego co to ma chorą żonę? — powiedziała Claire.

— Czy pamiętam? Odprowadziłem go przecież do doktora Aldwicha i niech mnie pożrą żarliście jeżeli widziałem kiedykolwiek podobną komedię. Facet poprosił o chloroform, a łapiduch wytrzeszczył na niego oczy. "Po co panu chloroform, panie Stradling"? (Bo tak się ten gość nazywa). "Dla żony". "Chce ją pan uspić"? "Nie mogę patrzeć jak się męczy na tę przekłątą chorobę morską. Niech by pan ją zobaczył, doktorze. To obraz nędzy i rozpaczy". "Nie mam prawa — powiedział doktor. — Trudno, nie mam prawa. Ale zrobię jej zastrzyk, powinna po nim zasnąć". "Nie, nie! — zawołał Stradling. — Za nic w świecie. Proszę mi dać chloroform, dobrze zapłacę". I niech zginę, jeżeli nie położył na stole tysiąca dolarów w nowiułenkich banknotach. Ale doktor Aldwich nie chciał nawet gadać. No, to mówię, paniom nie widziałem jeszcze takich złych oczu jak u tego faceta. Myślałem, że wyjmie z kieszeni rewolwer i zastrzeżli łapiducha. Ale powstrzymał się jakoś i wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Całą drogę kiedy szliśmy do jego kabiny przeklinał i nie słyszałem, żeby któryś marynarz tak ładnie to potrafił robić.

— Zaprowadzi nas pan teraz do kabiny tego pana Stradlinga.

— Spodobał się pani?

— Och, sama nie wiem. Być może.

Bosman pokręcił głową.

— Jeżeli ma się to skończyć strzelaniną, bo coś mi się tak wydaje, to stary Sammy z góry rezygnuje z tej zabawy.

— Przypomina pan sobie co powiedział kapitan?

— Powiedział, że jest pani moim przełożonym, miss Fuld. Po raz pierwszy w życiu mam szefa w spódnicy. I chociaż nie lubię się wtrącać do nieswoich spraw, jak sądzę wpadłem tym razem. No, to tu właśnie jest kabina tego faceta. Co mam robić?

— Na razie nic. Powiem kiedy będzie trzeba. Pamela, proszę być w pogotowiu. Nie będziemy pukać i tak by nam nie otworzono.

Mówiąc to Claire wyjęła z torebki pęk wytrychów i z zawadą wprawą bezszelestnie otworzyła drzwi.

W salonie, przy okrągłym stole, siedziały trzy osoby: Stradling i dwie kobiety. W jednej z nich Claire rozpoznała bez trudu stewardessę Rozamundę Phillips. Druga kobieta, znacznie młodsza, brunetka o długich, ciemnych włosach, wyglądała, choć to może wydawać się nieprawdopodobne, jak wąs. Szczupła, gibka, o wąskiej twarzy i długiej szyi, jak u modelek na obrazach

Picassa, miała niesamowite oczy. Był w nich złowrogi blask, jak u jadowitej żmii, przyciągały, obezwładniały. Dziwne jak ci dwoje się dobrali, gdyż kobieta była z pewnością żoną Stradlinga.

Na widok Claire mężczyzna wyciągnął z kieszeni rewolwer. Nie zdążył jednak zrobić z niego użytku. Huknął strzał. To strzeliła Pamela Lynley. Rewolwer Stradlinga potoczył się na podłogę.

— Co to znaczy? — ryknął Stradling. — Napad? Odpowiedzcie mi za to!

— Spokojnie, — powiedziała Claire — później wniesie pan oskarżenie o naruszenie swobód obywatelskich. Na razie zaś proszę podnieść ręce do góry. Bosmanie, związać toż zacie towarzystwo! Kobiety również. Z braku powrozów weźmie pan ręczniki, jest ich dość w łazience. Niech pan nie żałuje siły i krępuje mocno.

— Nie zawiedzie się pani na mnie, miss Fuld, — powiedział bosman, któremu ta przygoda zaczęła się podobać.

Pędził najpierw do Stradlinga, wykręcił mu ramiona i zabrał się sumiennie do ich krępowania, gdy jeniec uderzył go niespodziewanie kolanem w podbrzusze. Cios był dobrze wymierzony i bosman osunął się bezwładnie na podłogę.

— Pamela, strzelaj! — zawołała Claire.

Ale Stradling był już za drzwiami. Za nim, korzystając z zamieszania, zdołała się wyslizgnąć jego żona. Na placu boju pozostała jedynie Rozamunda Phillips, trzęsąca się i blada.

— Niech mnie pani nie gubi, — jęczała — jestem niewinna.

— To się dopiero okaże. Na razie przywiąż panią do fotela. Stewardessa nie stawiała oporu. Płacząc powtarzała w kółko:

— Oni mnie w to wciągnęli!

Claire nie zwracała na nią uwagi. Stała przy drzwiach wiodących do drugiego pokoju, serce biło jej mocno, wahała się. Pamela ją ubiegła.

W sypialni na jednym łóżku, przywiązani do siebie, leżeli Mary Lancaster i Willy Ewans. Claire zaczerwieniła się. Wiedziała przecie, że bliskość tych dwojga jest przypadkowa, nie mogła jednak przezwyciężyć uczucia zazdrości.

Na stoliku nocnym znalazła nożyczki. Przecinając więzy patrzyła z przerażeniem na Ewansa. Włosy miał pozlepiane krwią, oczy podsinieczone, ręce popuchnięte. Nie dziękował Claire. Obrzucając ją błędnym wzrokiem błękotał:

— Powiadom kapitana, nie ma chwili do stracenia.

"On jest nieprzytomny" — pomyślała Claire. "Boże, co z nim zrobili ci bandyci!". Powstrzymywała się całą siłą woli, aby nie wybuchnąć płaczem. Och, z jaką miłością ujęłaby w dłonie tę umęczoną głowę.

— Uspokój się — powiedziała — już wszystko w porządku.

— Nie, nie... — charczał Ewans — powiadom kapitana. NIE DALEKO RÓWNIKA.

— Co takiego?

— Nie krępowali się mnie, snuli swobodnie plany. Miałem być przecie zamordowany. I dowiedziałem się, że za kilka godzin "Pensylwania" zostanie zaatakowana przez statek piracki.

Claire przypomniła się relacja Snakersa o tonącym statku. Czyżby to była nieprawda, czyżby Snakers należał do spisku?

— Pamelo, — powiedziała — zaopiekuj się chorymi. Idę do kapitana.

— Pójdę z panią — zawołała Mary Lancaster. — Nic mi nie jest.

Brudna i rozczochrana nie wyglądała ponętnie. W kątach oczu i pod oczami pojawiła się nie wiadomo skąd sieć drobnych zmarszczek.

— Muszę się jak najprędzej wykapać i zapomnieć o wszystkim co wycierpiałam. Pożycz mi pani pomadkę do ust?

— Pomadkę? — powtórzyła Claire.

Prośba ta wydała się jej absurdalna. Ale nic nie mówiąc wyjęła żądany przedmiot z torebki i podała Mary Lancaster.

Idąc przez salon spostrzegła, że bosman wrócił już do przytomności. Siedząc na dywanie trzymał się za brzuch.

— Dobrze ci tak, stary durniu, — mamrotał — na diabła wsadzałeś nos w nieswoje sprawy.

18.

Claire zastała jeszcze kapitana na mostku.

Orkan mijał i słabnące podmuchy wiatru ocierały się, świszcząc, o nadbudówki statku. Ale ocean wciąż był wzburzony. W świetle księżyca, wyzierającego zza poszarpanych chmur, przewalały się spienione grzywacze, ginące w otchłani wód i znowu pojawiające się, jak niekończący się korowód stworów apokaliptycznych.

Kapitan Wilkinson wydawał się równie ponury jak morze.

— A więc Ewans twierdzi, że "Niedaleko Równika" to statek piracki? Choćby tak było nie mogę zmienić kursu. Przepisy morskie mówią wyraźnie, że nie wolno odmówić pomocy statkowi nadającemu sygnały SOS.

— Gdyby to nawet było równoznaczne z zagładą "Pensylwanii"?

— Tak jest, miss Fuld. Ale rozumiejąc logicznie nie widzę dlaczego piraci mieliby stosować sygnał SOS, skoro znając naszą trasę, mogą z bardziej niezawodnym skutkiem napaść z nienacka.

— Burza pomieszała im szyki, jak sądzę. W czasie napadu na stację radiową ustalono punkt, w którym "Pensylwania" miała być zaatakowana. Ale orkan zniósł z kursu "Niedaleko Równika". Statek ten jest prawdopodobnie wolniejszy od naszego. Stąd konieczność zastosowania fortelu z sygnałem SOS. Jeżeli...

— Rozumiem, — przerwał sucho kapitan. — Mimo wszystko nie zmienię jednak decyzji.

Claire nie nalegała.

Nie potrzebowała już ramienia bosmana, aby zejść z mostku na pokład spacerowy pierwszej klasy. Schody wyzbyły się dziłości, wydawały się znowu oswojone.

Szła zamyślona. Nie miała sobie nic do zarzucenia: zawiadomiła lojalnie kapitana o podejrzeniach Ewansa. A jeżeli kapitan nie zechciał się zastosować do rad detektywa to już jego sprawa. Jednakowoż czuła, że nie spełniła całkowicie swojej mi-

sji. Postanowiła rozmówić się z Ewanssem i przedstawić mu pewne sugestie, które się jej nasunęły.

Zastała detektywa w znacznie lepszym stanie. Doktor Aldwich, opatrzył mu i obandażował głowę. Stwierdził zresztą, że uszkodzenia czaszki były raczej powierzchowne.

Ewans ogolił się, przebrał w przyniesioną przez Pamelę Lynley bieliznę i ubranie, ukrył za ciemnymi okularami podbite oczy. Wybierał się właśnie na pokład, gdy nadeszła Claire.

— Zawiadomiłaś kapitana?

— Tak, ale nie chce zmienić kursu.

Ewans uśmiechnął się.

— Spodziewałem się tego. To człowiek z zasadami. No cóż, zrobiliśmy co do nas należało. Kapitan Wilkinson nie jest taki lekkomyślny jak przypuszczasz. Wyda odpowiednie zarządzenia, gdy zajdzie potrzeba. Nie przejmujemy się. Zajmiemy się tymczasem inną równie ważną sprawą.

Claire spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Chodzi o wyłowienie tej części bandy, która ukrywa się na pokładzie "Pensylwanii".

— Ach, Stradlingów?

— To także. Wiem, gdzie można ich przyłapać. Nie jest to bezpieczna wyprawa. Musimy dobrać sobie do pomocy co najmniej dwóch pewnych ludzi.

— Proponuję bosmana i Pamelę Lynley.

— Nie godzę się na Pamelę. Od pierwszej chwili, gdy ją poznałem, ta kobieta, używająca przebrania męskiego, wydała mi się podejrzana. Przez pewien czas, podejrzewałem ją nawet, że należy do gangu na "Pensylwanii" i że jest zamieszana w zabójstwo Lindquista.

— Ale przeszło ci to?

Wzruszył ramionami.

— Niezupełnie. Zbyt dobrze strzela i...

— I co?

— Nie mówiłem ci jeszcze, że doktor Aldwich (chętnie bym go przyjął do firmy Ewans i Burton, gdyby zechciał zmienić zawód), wykrył na rękojeści rewolweru, z którego zabito Lindquista, woń perfum i że bandażując mi głowę powiedział do Pamel: "Używa pani perfum nr 5 Chanel?", a ona przytaknęła.

— Sądziś więc... — urwała.

— Nie mam dostatecznych dowodów wolę jednak nie zabierać jej ze sobą.

— A bosman?

— Och, to bardzo pożyteczny chłop. Możemy go, oczywiście, wciągnąć do naszej ekspedycji, jeżeli zechce.

Claire nie odpowiedziała. Przyjrzała się Ewansowi. Wydał jej się z głową wsuniętą w ramiona i opuszczonymi bezsilnie rękami jakiś bardzo biedny i opuszczony. Ogarnęło ją rozczulenie.

"Tęskno mi było za tobą — pomyślała. — I cieszę się, że cię widzę".

Przyłapał to jej spojrzenie.

— Nie podziękowałem ci jeszcze, Claire.

— Daj spokój, niepotrzebne mi są podziękowania. Wiedziałeś chyba, że nie dam ci zginać.

— Wiedziałem, oczywiście, ale zdawało mi się, że robisz to tylko z obowiązku.

— Ach, przejąłeś się moją gadaniną podczas lunchu? Westchnął.

— Nie trzeba. Jak każda kobieta bywam niekiedy nerwowa.

Przybliżyła się do Ewansa i pocałowała go niezgrabnie w policzek. Poczul zapach jej ciała podobny do woni rumianku i niespodzianie dla samego siebie przyciągnął ją i poszukał ustami jej ust.

W tej chwili skrzypnęły drzwi i stanął w nich bosman.

— Och, przepraszam! — wyksztusił.

— Niech pan nie wychodzi, Sammy, — zaśmiał się Ewans.

— Dziękuję po prostu pannie Fuld za uratowanie mi życia.

Bosman rozłożył ręce.

— Widziałem już nie takie rzeczy — powiedział. — Miss Lynley kazała się panu kłaniać i oznajmić, że wszystkie węże zostały wyłapane, a pan Kothar Chan czuje się jak ryba w wodzie. Czy są jeszcze dla mnie jakieś zlecenia, panno Fuld?

— Ja mam dla pana zlecenie — oświadczył Ewans. — Pójść z panem na małą wojnę z gangsterami.

— Przykro mi, ale nie ma pan prawa rozkazywać. Może to robić jedynie miss Fuld. Ona jest moim przełożonym, w żadnym razie pan.

— A więc ja chcę tego także — powiedziała Claire — i nie przypuszczam, aby pozostawił mnie pan samą w potrzebie.

— To się samo przez się rozumie. Mam już wprawdzie tej całej awantury po gardło, ale tak widać musi być, abym wbrew przekonaniom nadstawiał bez przerwy karku.

19.

W kabinie Trevora paliło się światło i Claire odniosła wrażenie, że ktoś tu był niedawno i przewrócił wszystko do góry nogami. Z pokrajanych materacy wyzierała trawa morska; zawartość szafek, wyrzucona na podłogę, świadczyła, że szukano czegoś pośpiesznie i beładnie. Nie mogła zrozumieć dlaczego Ewans nie zwraca uwagi na panujący w kajucie nieład tylko posuwając się na kolanach opukuje starannie podłogę. Podniósł się wreszcie, otrząpął spodnie i powiedział:

— To tutaj. Widzicie ten uchwyt, bosmanie?

Bosman pociągnął za uchwyt, a właściwie duży gwóźdź, sterczący w kącie, zakończony gładką skuwką. Rozległ się zgrzyt i duży płat podłogi uniósł się do góry. W dole ciemniały kręte schody.

Ewans zapalił latarkę i zstąpił w czeluść schodów.

— Mam iść za państwem? — zakłopotał się bosman.

Nie otrzymał odpowiedzi, tylko Claire przyłożyła palec do ust. Westchnąwszy poszukał wielką, płaską stopą najbliższego stopnia.

Schody prowadziły w głąb, w stronę luku. Bosman nie znał ich, a zdawało mu się, że powinien znać każdy metr kwadratowy "Pensylwanii".

W dole, w niewielkiej sionce widniały dwie pary drzwi. Te z nich, z lewej strony, prowadziły zapewne do luku. Ewans za-

trzymał się przed drugimi drzwiami, na wprost schodów. nieśpiesznie wyciągnął z kieszeni Smitha i Wessona i pociągnął za klamkę.

Duży pokój, skąpo oświetlony słabą żarówką, zavalony był skrzynkami z towaram. Pachniało apteką.

Przy stole, na którym stały butelki z wódką, siedziało pięciu mężczyzn. W głębi przy kuchence elektrycznej krzątała się kobieta. Mimo półmroku Claire rozpoznała w niej od razu żonę Stradlinga. Sam Stradling, rozparty wygodnie w fotelu, zdawał się z całego towarzystwa najmniej zaskoczony pojawieniem się nieproszonych gości. Inni mężczyźni usiłowali się zerwać, ale twardy głos Ewansa przygwoździł ich do miejsca.

— Ręce na stół! Kto się ruszy dostanie kulą w łeb.

Bosman wyliczał tymczasem w duchu nazwiska: Norman Carroll, Ralph Bedford, George Clarke i czy mnie wzrok nie myli — zastępca oficera radiowego, Rex Hill!"

— Przywiąże pan tych dżentelmenów do krzesel, bosmanie, — rzucił Ewans, wskazując leżący w kącie zwój lin.

— Ja? — skrzywił się bosman. — Tego niech się pan nie spodziewa. Boli mnie jeszcze brzuch po swingu, który oberwałem. Za nic w świecie!

Ewans, nic nie mówiąc, wręczył mu rewolwer.

— Umie się pan posługiwać tą pukawką?

— Służyłem osiem lat jako podoficer zawodowy w wojsku. Uczyło się rekrutów i nie zapomniało się jeszcze wszystkiego.

— Dopomoże panu w razie czego panna Fuld. Ma wprawdzie tylko damski rewolwer, ale strzela niezawodnie. — zauważył Ewans zwracając się nie tyle do bosmana ile do gangsterów.

Przemowa ta nie wydawała się zresztą potrzebna. Zachowywali się jak baranki, gdy Ewans ciął line na kawałki i gdy następnie wiązał ich po kolei w sposób jak najbardziej przepisowy.

— Uważaj pan na tego gałgana — podiał bosman, gdy detektyw zbliżył się do Stradlinga. — To sprytny gość.

Ledwo to zdążył powiedzieć, gdy Stradling porwał błyskawicznie ze stołu butelkę z brandy i cisnął w lampę.

Rozległ się stuk tłuczonego szkła i w pokoju zapanowała ciemność. W następnej chwili odepchnięty silnie bosman potoczył się na ścianę. Ledwo zdążył się wyprostować, gdy został ponownie potracony. Poczul woń perfum. Zręczne ręce wyłuskały mu z ręki rewolwer.

Zanim Ewans zapalił latarkę uciął już tupot kroków po schodach. Stradlingowie zdołali się ponownie wymknąć z pułapki.

— Nie wiem jak się to stało — kłął bosman. — To chyba sam diabeł, proszę pana. Ale najgorzej, że wyrwano mi rewolwer. Mnie, Samuelowi Adamsowi, kobieta wyrwała rewolwer.

Detektywowi zrobiło się go żal.

— Niech się pan nie przejmuję, bosmanie, — powiedział. I dodał, macając się po obandażowanej głowie:

— Zdarza się to nawet takim starym wróblom, jak ja.

Dniało, gdy detektyw i Claire znaleźli się na mostku kapi-
tańskim. Niskie chmury pędziły szybko po niebie, morze różowiło
się na wschodzie.

Kapitan Wilkinson wciąż jeszcze trwał w ponurym nastro-
ju. Przepatrując przez lunetę horyzont mamrotał pod nosem:

— Nic nie widać. Czyżbyśmy się spóźnili?

Nagle odjął od oczu lunetę i powiedział:

— To oni. Niech pan spojrzy.

W soczewce ukazywał się i zapadał w fale nieduży, na wpół
przechylony statek.

— Tona, — stwierdził kapitan — przybawamy w samą porę.

Nachylając się krzyknął do tuby:

— Cała naprzód!

W miarę przybliżania się można już było dojrzeć gołymi o-
kiem zrąb białego statku zanurzonego ponad waterlinię z rufą
wzniesioną do góry i zatopionym dziobem. Jedna łódź oddalała
się od niego, drugą właśnie spuszczano. Wtem kadłubem wraka
wstrząsnął dreszcz, nad pokładem ukazały się dym i para i w
mgnieniu oka statek rozdarły na dwie części poszedł na dno
pociągając za sobą łódź, która nie zdążyła jeszcze osiągnąć po-
wierzchni oceanu.

— Woda dostała się do maszynowni — wyjaśnił kapitan
Wilkinson. — Eksplodowały kotły.

Druga łódź płynęła opornie po zbałwanionym oceanie.
"Pensylwania" posuwała się w jej kierunku całą siłą swych po-
tężnych silników.

Widać było pochylających się nad wiosłami marynarzy. In-
ni czerpali z dna łodzi wodę. Nagle "Pensylwania" zwolniła
biegu, zakręciła. Rzucono linę. Kilka rąk wyciągnęło się po nią.
Przeleciała ponad głowami rozbitków. Dopiero za czwartym ra-
zem stojący na dziobie łodzi barczysty mężczyzna zdołał przy-
trzymać i umocować linę.

Z "Pensylwanii" spuszczone drabinę sznurową. Ku niema-
łemu zdumieniu Ewansa ledwo się który rozbitek ukazał na
poziomie relingu marynarze łapali go za bary, wciągali na po-
kład i natychmiast wwiązali. Kapitan Wilkinson, jak to słusznie
przewidział detektyw, nie był wcale nieroztropny. Szpital dok-
tora Aldwicha, przekształcony na tymczasowy areszt, raz wre-
szcie miał wszystkie łóżka zajęte.

Zabierano się właśnie do wciągnięcia na pokład łodzi, gdy
roztrącając marynarzy, ukazało się dwoje ludzi w kostiumach
kąpielowych. Zanim ktokolwiek zdołał się zorientować o co chc-
dzi ludzie ci skoczyli do morza.

— Stradlingowie! — zawołała Claire. — Trzeba ich schwy-
tać za wszelką cenę.

Kapitan przyjrzał się jej z uśmiechem.

— Niech pani spróbuje to zrobić. Możemy co najwyżej spu-
ścić łódź ratunkową, ale zanim to nastąpi uciekinierzy będą
już daleko. A strzelać do nich nie odważyłbym się. Ostatecznie
są to nasi pasażerowie i nie mam przeciw nim niezbitych dowo-
dów. Proszę spojrzeć!

Stradling wdrapał się właśnie na łódź ze zręcznością akro-
baty i jednnym cięciem noża przeciął linę łączącą szalupę ze

statkiem. W następnej chwili kobieta poszła w jego ślady. Łódź, odepchnięta mocnym uderzeniem wiosł, zaczęła się oddalać od "Pensylwanii".

— Zresztą — dodał kapitan — sami podpisują na siebie wyrok śmierci. W tej części Pacyfiku rzadko kursują statki. Burzliwe ocean zepchnie ich w niewiadome regiony. Bez busoli, żywności i wody zginą za kilka, najwyżej kilkanaście dni.

21.

Willy Ewans przeznaczył palarnię klasy turystycznej na salę przesłuchań zatrzymanych marynarzy.

Przyprowadzono ich jednego po drugim. Wszyscy zeznawali to samo. Jerry Stradling zwerbował ich w San Francisco na dwa tygodnie przed rejsem "Pensylwanii". Byli to ludzie, którzy albo otarli się o zbrodnię albo też już od lat należeli do świata przestępczego. Stradling obiecywał im, że się zбогаć za jednym zamachem. Plan jego był w swej prostocie genialny. Przewidywał zaatakowanie na pełnym oceanie wielkiego transatlantyku, unieruchomienie maszyn i obrabowanie pasażerów. Zaufany członek gangu w odpowiednim momencie miał uszkodzić stację radiową. I chociaż nie ulegało wątpliwości, że brak wiadomości o statku i nie zawinięcie w terminie do najbliższego portu, musi wywołać zaniepokojenie linii okrętowej i władz morskich, to jednak pozostawało dość czasu, aby napastnicy znaleźli się w bezpiecznym schronieniu, choćby nawet poszukiwania odbywały się przy pomocy samolotów. Stradling nie wykluczał w końcu możliwości zatopienia transatlantyku ze wszystkimi pasażerami i załogą. Odpowiedni ładunek dynamitu rozwiązał by sprawę bez komplikacji. Ale nie zostało to definitywnie postanowione. Szef gangu miał się jeszcze zastanowić jaką drogę obrać.

Dla wykonania planu bandę rozdzielono na dwie części. Jedna z nich ze Stradlingiem na czele znalazła się na pokładzie "Pensylwanii", druga — znacznie większa umieszczona została na starym parowcu, przeznaczonym już właściwie na złom i kupionym za psi grosz.

Niestety, a raczej na szczęście, niespodziewany orkan pomieszał szyki bandytom. Parowiec pod wodzą niedoświadczonego szypa, który nigdy w życiu nie dowodził większą jednostką, zatonął po bezskutecznej walce z żywiołem. "Pensylwania" zawdzięczała ocalenie przypadkowi.

Najwięcej światła rzuciły na sprawę zeznania Rexa Hilla. Był to rosył mężczyzna o sympatycznej, wzbudzającej zaufanie twarzy.

— Proszę wyjaśnić — zagał kapitan Wilkinson — powody napaści na stację radiową. Nie rozumiem po co była ta cała heca. Przecież mógł pan nawiązać kontakt z "Niedaleko Równika" w czasie swojego dyżuru.

— Oczywiście, sir, — potwierdził uśmiechając się dobrodusznie Hill — tak też robiłem. Ale kolejny, najważniejszy komunikat, ustalający koordynaty punktu, w którym miała być zaatakowana "Pensylwania" Jerry polecił nadać w czasie dyżuru Snakersa. Tłumaczyłem, że to bardzo niewygodne i może wywołać niepożądane następstwa, ale Stradling uparł się. Pan nie zna Jerry'ego, kapitanie. To bardzo uparty facet.

Mówiąc to Hill obrzucił kapitana przyjaznym spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć:

— "Widzisz jaki jestem równy chłopak. Niczego nie ukrywam". Zamilkł, czekając skromnie na dalsze pytania.

— Mnie obojętnie — powiedział Ewans — interesuje sprawa porwania pani Mary Lancaster. Mógłby pan wyjawiać motywy tego porwania?

— Jasne — odparł chętnie Hill. — Szef jeszcze przed odjazdem, studiując listę pasażerów, zwrócił uwagę na tę osobę. "To bardzo bogata baba, Rex" — oświadczył: (Miał do mnie bezgraniczne zaufanie i wtajemniczał we wszystko. Cóż, siedzieliśmy przecież kopę lat w jednej celi w Sing-Singu). "Co byś powiedział, gdybyśmy ją porwali? Mąż, stary kozioł, zapłaciłby za nią niezły okup. Trzeba o tym pomyśleć".

— Jak doszło do porwania?

Hill roześmiał się złośliwie.

— W tym sęk, że nie było żadnego porwania. Wczoraj nad ranem Jerry zapukał do apartamentu damulki. Nie mógł tego zrobić wcześniej, bo zabawiał się z nią ten gruby bankier Mac Cormack. No, więc otworzyła szefowi bez wahania. Znali się trochę, a Jerry ma cholerne szczęście do kobiet. I pokazał jej pierścionek z brylantem wielkości fasoli. Nie trwało długo, a zgodziła się go odwiedzić i poszła tak jak była w piżamie, zarzuciwszy na nią szlafrok.

Ewans zaczerwienił się.

— Nie zmyśla pan?

— Chciałby pan może po rycersku bronić kobietę? Nie warto.

— Proszę mówić dalej.

— Nie ma wiele do gadania. O miłości nie było, oczywiście mowy, ponieważ Betty, żona Stradlinga, jest cholernie zazdrosna i wydrapałaby mu oczy. Zresztą Jerry nie widział powodu, aby ukrywać po co zaprosił piękną panią i wytłumaczył grzecznie, żeby dała klucz od swojego apartamentu, gdyż pragnie przeprowadzić małą rewizję. Wiedział, że pani Lancaster trzyma w szafie szkatułkę z kosztownościami. Ale szkatułki nie było, znikła. Jerry wyrzucił z bieliźniarki wszystkie majtki i koszulki i tak się rozłożył, że pociął w końcu na drobne kawałki kiecki damulki. To w jego stylu, panowie, on już taki jest.

— Jeszcze jedno pytanie i nie będziemy pana więcej męczyć. Jak doszło do zabójstwa Toma Hutchisona i Lindquista?

— Obaj to pętaki! — powiedział z nagłym gniewem Hill. — Mary Lancaster potrafiła ich przekupić, zwąchali się z panem, panie Ewans i Jerry kazał ich zlikwidować. W dodatku Lindquist kradł kokainę ze składu i sprzedawał pasażerom. Mieli piękną śmierć. Jeden z naszych złapał w korytarzu kobrę. Skąd się tam zaplątał nie wiem. Wywabiliśmy Toma do luku i tam Jerry, trzymając żmiję za kark przybliżył ją do gęby szpicla. Trzeba było widzieć jak ten drań płakał i błagał o litość. Nie ma jednak litości dla kapusiów. Za to Lindquist umarł jak hrabia. Nie czuł nawet, że nadchodzi ostatnia chwila. Jerry tak chciał — cieśla był jego kumem.

— Kto to zrobił?

Hill uśmiechnął się cierpko.

— Nie powiem. Nie muszę wszystkiego mówić, nie?

Po zakończeniu przesłuchania Ewans wybrał się do doktora Aldwicha. Czuł się źle, głowa bolała go porządnie. Doktora nie było, ale miła siostra szpitalna zρέcznie zmieniła opatrunek. Wychodząc z przychodni zderzył się prawie z Mac Cormackiem.

Bankier był wesół i jak zwykle pewny siebie.

— Do twarzy ci z tym bandażem — żartował. — Wyglądasz jak szeik arabski.

Ewans zmilczał.

— Wracam właśnie od tej biednej Mary. Wyobraź sobie, Willy, musiała pożyczyć suknię od stewardessy. Na widok pobojowiska w szafie dostała ataku nerwowego i do tej pory nie może się uspokoić.

— No, a szkatułka?

W oczach bankiera ukazał się na moment złośliwy błysk.

— Mary przeboleje tę stratę. Mąż kupi jej ładniejszą biżuterię. Stać go na to.

— Słuchaj, Gerald, mam z tobą do pogadania. Można do ciebie na jedno whisky?

— Nie wyglupiał się. Zawsze jesteś miłe widziany.

Weszli na schody i w przejściu natknęli się na Pamele Levin. Była w męskim stroju, wyświeżona, pachniało od niej na odległość perfumami Chanel. Ewans nauczył się już rozróżniać ten zapach.

— Hallo, Willy — zawołała — przjdź dziś do nas na bridża.

— Z przyjemnością. Czy może zabrać Claire?

— Bardzo cie nawet proszę. Wpadnijcie o czwartej. Będziemy na was czekać.

— Kto to taki? — zapytał Mac Cormack, gdy Pamela znikła za zakretem schodów.

— Masz krótka pamięć, Gerald. Nie przypominasz już sobie młodego Anglika, który chciał ci strzelić w łeb w barze?

— A to on? Jakiś niepodobny. A zresztą pal go licho! Wchodź, zaraz podam whisky.

Naga niewiasta zerknęła na Ewansa ze ściany. Na kanapie rozpościerał się bezwstydnie różowy biustonosz.

— Nie tracisz, jak widzę, czasu, — zauważył detektyw.

— Robi się co się może. Spójrz na butelkę — oryginalne szkockie whisky.

— Doskonale. Kupujesz wszystko w przednim gatunku. I w ogóle muszę stwierdzić, że rzadko spotyka się ludzi o podobnie wytwornym smaku. Ciekaw jestem jak wygląda twoja sypialnia. Czy mógłbyś mi ją pokazać?

— Naturalnie.

Pochwały Ewansa działały na bankiera jak narkotyk. Na czerwonej twarzy ukazał się uśmiech błogiego zadowolenia.

Sypialnia, jak wszystkie kabiny na "Pensylwanii", była standartowa. Ale ściany, obwieszone kolorowymi fotografiami, dawały przegląd królestwa ubezpieczonego Mac Cormacka. Oto na jednej widniał Mac Cormack przy olbrzymim biurku na tle luksusowego gabinetu. Oto Mac Cormack w towarzystwie wiceprezydenta Humphreya oglądający wykres obrotów swojej

spółki akcyjnej. Oto znowu Mac Cormack przemawiający na bankiecie jubileuszowym Fado Internacional Inc.

— Można zajrzeć do szafy?

— Chciałeś obejrzeć moje garnitury? Muszę cię rozczarować, chłopie, gdyż wzięłem ze sobą zaledwie dziesięć ubrań, wszystkie co prawda z angielskich materiałów.

— Wspaniałe — zachwycił się Ewans — i doskonale uszyte.

Macając jedną ręką tkaniny drugą otworzył raptownie bieliźniarkę.

Z gardła bankiera wyrwał się okrzyk przerażenia.

Wśród stosu jedwabnych koszul i kaletonów sterczała bezwstydnie zielona kasetka o złoconym wieku i złoczonych antabkach.

— Nie przejmuj się — uśmiechnął się Ewans — już dawno wiedziałem, że zwędziłeś ten wyrób firmy Colman and Co.

Bankier nie odpowiadał. Zdawało się, że cała krew zbiegła mu do twarzy.

— Nie chcę cię gubić. Nikt nie będzie wiedział o tym, przykrym zdarzeniu pod warunkiem...

— Naprawdę nie powiesz nikomu?

— Nikomu, jeżeli wyznasz szczerze co cię skłoniło do kradzieży.

Mack Cormack osunął się na łóżko.

— Jesteś dosyć bogaty nie rozumiem więc dlaczego połazczyłeś się na kosztowności, które w gruncie rzeczy niewiele są warte, zważywszy, że najładniejsze kolie i broszki to sztuczna biżuteria.

— Był tam czek na 5.000 dolarów.

— Czek na 5.000 dolarów?

— Wystawiony przeze mnie.

— Jak się to stało... hm... hm...

— Prosta sprawa. Mary zażądała właśnie tyle za spędzenie z nią nocy.

— Niewiarygodne!

— A jednak prawdziwe, — powiedział gorzko Mack Cormack.

— Nie wiem co mnie napadło, dałem się skusić. Potem nie mogłem odżalować. Pochodzę z dobrej rodziny szkockiej z okolicy Glasgow i myślę, że gdyby się o tym dowiedzieli moi bracia to by mnie chyba zadusili. Przez te głupie 5.000 dolarów straciłem apetyt i ochotę do życia. Toteż, gdy się dowiedziałem, że Mary została porwana postanowiłem skorzystać z okazji i zabrać czek. Klucz od apartamentu dostałem od stewardessy.

— Przy sposobności przywłaszczyłeś też kosztowności.

— Spieszyłem się bardzo, a szkatułka była zamknięta. Słowo daję — miałem zamiar oddać biżuterię tylko nie wiedziałem jak to zrobić.

— Dobrze już. Gerald, nie mówmy o tym więcej. Biorę kasetkę, a te 5.000 dolarów przeznaczymy na Armie Zbawienia, jak to przyobiecaneś mi swego czasu.

23.

Tym razem Pamela Lynley wystąpiła w efektownej sukience morelowego koloru, w której jej było bardzo do twarzy. Ona i Claire wyglądały uroczo i trudno było oderwać od nich oczy.

Bridż jakoś się nie kleił. Zagrano tylko jednego robra i prawie dwie godziny spędzono na przyjemnej pogawędce. Soleyman Kothar Chan okazał się zajmującym rozmówcą. Znał się na współczesnej literaturze i malarstwie, zwłaszcza zaś na muzyce, o której mógł rozprawiać godzinami. Sam grał zresztą na kilku instrumentach muzycznych.

— Pokażę państwu coś ciekawego, — powiedział. — Widzieliście kiedyś taniec węzów?

Gdy goście nie wyrazili sprzeciwu wyjął z futerału flet. Rozległa się dziwna i fascynująca melodia, a ze stojących pod ścianą koszy wysunęły się głowy węży. Gady falowały, ich gibkie ciała poruszały się w takt melodii, a Kothar Chan zapamiętał się w graniu. Oczy zaszyły mu mgłą, z czoła spływał pot. Zakończył występ rozdzierającym piskiem i prawie natychmiast gady opadły do koszy.

— Czy możecie państwo zademonstrować coś innego, również egzotycznego? — zapytał Ewans. — Przyznam się, że jestem amatorem silnych przeżyć.

— Nie, — odparła Pamela — nic ponadto, nie egzotycznego. Ale wiem, że chciałby pan zerknąć do tych ciężkich kufrów. Proszę się nie zapierać, kufry nie dają panu spokojnie spać.

Nie zważając na protesty Ewansa otworzyła jeden z nich. Zgrzytnęły zawiasy, wieko otworzyło się automatycznie.

Skrzynia była pełna sztab najczystszej złota.

— Jest to — oświadczył Kothar Chan — złoto naszego banku państwowego. Zdeponowane było w Chicago, a teraz na zlecenie prezydenta przewożę je do kraju.

24.

— Chciałam się dowiedzieć jak cię schwytano i uwięziono — powiedziała Claire.

Siedzieli na pokładzie w tym samym miejscu, w którym znajdowali się dwa dni temu, gdy drugi oficer Brown zawołał Ewansa do kapitana.

Po wczorajszej burzy ocean uspokoił się. Lekki wietrzyk przynosił zapach soli i ryb. Od komina snuły się gazy spalinowe. Nie wydawały się dokuczliwe, gdyż nadlatujący od czasu do czasu nagły szkwał oczyszczał momentalnie powietrze.

— Zaskoczono mnie — odparł niechętnie Ewans — jak początkującego detektywa amatora. Musiałem dostać mocno w głowę, ponieważ wspomnienia moje zaczynają się od chwili, gdy leżałem skrepowany w kabinie Stradlingów. Jeden z marynarzy (był to chyba Norman Carroll), krępy i silny facet, oblewał mnie zimną wodą. Stali nade mną, było ich chyba ze czterech. Mówię: "chyba ze czterech", gdyż w głowie mi się jeszcze mąciło i nie miałem dokładnego rozeznania rzeczywistości. Stradling wlepił we mnie te swoje straszliwe oczy, przewiercał mi nimi czaszkę. Pytał tylko o jedno: co zrobiłem z kokainą i wydawał się wściekły, że wystrychnąłem go na dudka. Nie odpowiadałem nie tylko dlatego, że nie chciałem wyjawiać miejsca ukrycia narkotyku i współudziału w tej sprawie kapitana, ale ponieważ z trudem mogłem w ogóle mówić. Reakcja tego człowieka, spo-

wodowana moim milczeniem, była okropna. Walił mnie pięściami w twarz, bił cienkim prętem metalowym po palcach. Traciłem przytomność i znów ją odzyskiwałem. Widząc, że nic nie wskóra dał mi wreszcie spokój. Naradzał się z towarzyszami co ze mną zrobić. Miałem być zgładzony, rzecz przesadzono z góry, zbyt wiele bowiem wiedziałem. Chodziło tylko o sposób wykonania. Postanowiono, że zostanie uspijony chloroformem, zaszyty w worek i wrzucony do morza.

— Rozumiem teraz — wtrąciła Claire — dlaczego Stradling prosił doktora Aldwicha o chloroform.

— Było w tym wyrafinowane okrucieństwo. Mogli mnie przecież zastrzelić lub udusić, oni jednak chcieli, żebym miał świadomość, że zostanie żywcem wrzucony do morza. Nie zwracali potem na mnie uwagi. Rozmawiali ze sobą swobodnie jak bym był już trupem. Z częstych wzmianek o składzie domyśliłem się, że chodzi o jakieś tajemne pomieszczenie w głębi statku. Stradling posyłał tam ludzi ze zleceniami, dodając za każdym razem: "Uważaj, gdy będziesz w pokoju cieśli". Zrozumiałem z tych wzmianek, że wejście do składu znajduje się albo w kabinie Trevora albo niedaleko niej. Było mi to zresztą obojętne. Szykowałem się na śmierć i czułem jej bliskość. Przybyłaś dosłownie w ostatniej chwili.

Podniósł się, przysunął leżak do leżaka Claire i położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

— Dużo mnie nauczyła ta podróż.

Popatrzyła na niego przelotnie spod przymrużonych powiek.

— Muszę ci teraz wyjaśnić jak wpadłam na trop Stradlinga. Dopomógł mi w tym zwykły guzik.

— Guzik?

— Plastykowy, ciemnoniebieski, znaleziony w kajucie cieśli. Od razu stwierdziłam, że nie należał do ciebie. Zbyt dobrze znam wszystkie twoje garnitury.

— Ale mógł odpaść od ubrania któregoś z cieśli.

— Nie pomyślałam o tym, masz rację. Otóż po opuszczeniu kajuty Trevora idąc korytarzem spotkałam Stradlinga i rzuciło mi się od razu w oczy, że brak mu guzika u marynarki.

— Można to nazwać szczęśliwym przypadkiem — zauważył Ewans.

Siedzieli chwilę milcząc. Nad głowami ich krążył wysoko w niebie albatros. Ręka Ewansa zsunęła się z ramienia na plecy Claire.

— Wiele myślałem ostatnio — powiedział — o twojej sytuacji w firmie Ewans i Burton. Zbyt długo już pracujesz jako sekretarka.

— Czy mam to rozumieć jako wypowiedzenie pracy?

— Niezupełnie. Pragnę ci zaproponować inne stanowisko.

— Wspólnika frimy?

— Coś w tym rodzaju. Krótko mówiąc, Claire, co byś powiedziała, gdybym poprosił cię o rękę?

— To bardzo ciekawa propozycja, ale muszę się nad nią zastanowić. Nie, nie będę się zastanawiała...

Objęła delikatnie obandażowaną głowę Ewansa i pocałowała go w usta.

"Pensylwania" miała przybyć do Honolulu o godzinie 8 rano. O siódmej do kabiny kapitana, pod nieobecność stewarda Billa, zastukano mocno.

Kapitan Wilkinson pólleżał na kanapie, ale na widok Claire i Ewansa zerwał się na nogi.

— Chcieliśmy się z panem pożegnać.

— Jak to, opuszczacie państwo "Pensylwanię"?

— Tak. Postanowiliśmy spędzić resztę urlopu na Hawajach.

— Szkoda, taka piękna podróż. Ale rozumiem — po tylu przykrych przejściach można sobie obrzydzić "Pensylwanię". Sam bym to chętnie zrobił. Po zakończeniu rejsu podaję się do dymisji, to już postanowione. Panno Fuld, czy mogę panią prosić o zastąpienie mnie w gospodarstwie? Szklanki i koniak są w barze.

Rzekłszy to kapitan opadł ciężko na fotel. Jego niebieskie oczy wydawały się przygaszone.

— Opowiadałem panu, Ewans, kilka dni temu, że na "Pensylwanii" od dawna dzieje się niedobrze. W zeszłym roku znikł w tajemniczych okolicznościach bosman i dwóch pasażerów. W tym roku zabity został na wiosnę ciosami noża jeden z marynarzy. Śledztwo nie dało żadnego rezultatu, winnych nie wykryto. Dyrekcja utrzymywała te wydarzenia w tajemnicy. Obecnie po znalezieniu ukrytego pomieszczenia w pobliżu luku sprawa jeszcze bardziej się skomplikowała. W pomieszczeniu tym znajdował się skład narkotyków, który jak mi donoszą, wart jest podobno ponad milion dolarów — czy to możliwe? Wydaje mi się, że jakiś członek dyrekcji musi być w tę aferę wmieszany. Prawdę mówiąc boję się na "Pensylwanii" nie tyle o swoje życie ile o utratę dobrego imienia.

— Przyznaję panu rację — powiedział Ewans. — Ja również miałbym wątpliwości. Któryś z armatorów budował "Pensylwanię" z myślą o przemyśle. Nieładnie to pachnie. Pańskie zdrowie, kapitanie, i pomyślnych wiatrów! Dziękuję w imieniu własnym i panny Fuld za okazaną pomoc i życzliwość, oraz hm... hm...

Urwał i spojrzał na Claire.

Kapitan Wilkinson spostrzegł dopiero teraz, że dziewczyna jest w białej sukni, sięgającej stóp, a Ewans w smokingu.

— Co to ma znaczyć?

— Tylko tyle, drogi kapitanie, że prosimy o udzielenie nam ślubu.

Kapitan podniósł się z fotela i zaraz usiadł.

— Do diabła — zaklął — wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego, panno Fuld!

EPILOG

Ukazały się w oddali, wyłaniające się z mgły, drapacze chmur i majaczące w głębi wysokie góry.

— Honolulu, — powiedział porucznik Brown, chociaż było to

rzeczą jak najbardziej oczywistą. — Słyszałem, że zostajecie państwo na Hawajach?

Ewans skinął głową.

— Dobre miejsce na miesiąc miodowy. Przyjechałem tu z moją Nancy w tym samym celu. Och, to było już bardzo dawno — uśmiechnął się melancholijnie. — Życzę dużo szczęścia.

Gdy zęgnął się Claire zauważyła stojącą w gronie panów piękną Mary i wydawało się jej, że Ewans ukradkiem rzucił w jej kierunku spojrzenie.

— Uganiałeś się zawsze za płochymi niewiastami — powiedział. — Nawet twój wspólnik Burton, który nie grzeszy spoztrzegawczością, zauważył, że jesteś romansowy. Jak sądzisz Willy, czy przezwyciężyłeś wreszcie złe skłonności?

— Och, jak możesz nawet tak myśleć?

Claire zaśmiała się.

— Nie jestem tego tak bardzo pewna.

Brzegi rajskiej wyspy zbliżały się. Syrena "Pensylwanii" zawyła, widać było dźwigi portowe, tragarzy, dziewczęta, przybrane girlandami kwiatów.

KONIEC.

RED. H. PRZYBOROWSKI ODPISUJE:

Odpowiedź P. J. Grabiasowi — Afonso Pena.

Bardzo to słuszne, że woli pan czytać o dobrych i szlachetnych charakterach. W "BUKACH" znajdzie ich pan więcej, aniżeli typów podłych i niemoralnych. Autor musiał i o nich napisać, aby nie odbiec daleko od faktów, które w rzeczywistości miały miejsce.

Gdyby pan czytał współczesną literaturę anglo-amerykańską, a m. in. takie dzieła jak "Lolita Nabokowa" albo książki Cartera Browna to przekonałby się, że "BUKI" są tylko niewinną opowiadanką.

Dziękuję bardzo za słowa krytyki i gratuluję zainteresowania naszą twórczością.

Serdeczne pozdrowienia śle

H. Przyborowski

Odpowiedź P. B. Ruszczyckiemu, São Mateus, ES.

Dziękuję serdecznie! Fotografie posiadają dziś wartość historyczną. Ten czwartoklasista z karabinkiem peowiackim — wspaniały!

Być może, gdy zacznę — po ciężkiej chorobie — pisać ponownie dla "WIADOMOŚCI" londyńskich, uda mi się wyzyskać fotografie, za które gorąco dziękuję.

Najlepsze myśli przesyła Sz. Panu

H. Przyborowski

Bezkresne horyzonty

W Północnym Peru. Po dwudniowym odpoczynku nad brzegami Pacyfiku wracamy na starą trasę, na trasę kapryśnego Marañonu i pasma Kordyliarów. Dnia 19 listopada odbijamy od oceanu, jedziemy na wschód w kierunku Bela Vista poprzez rozpaloną gołą pustynię z rozsianymi gdzieś kaktusami, strzelającymi wyciągniętymi ramionami pionowo ku słońcu. Ginie z oczu na chwilę niebieska tafla morza, zapuszczamy się coraz głębiej w teren wydmy i wysokich piaskowcowych stożków, wysuniętych frontalnie ku oceanowi, niby awangarda odległej ciemnej twierdzy górskiej. Rozgrzane fale powietrza unoszą się stopniowo, rozdzielają wyraźnymi warstwami zamglony obraz przestrzeni. Bliskie wydmy i dalekie góry drżą i przesuwają się jakby nie przedstawiały konkretnej rzeczywistości, lecz jakby w stadium formowania masy przybierały to znów zmieniały układ, jakby proces dziwnej stabilizacji nie był jeszcze skończony.

Po ubitych piaskach wiatr roznosi splecione kule wyschniętych krzewów pędzi je i pcha, przenosi niczym balony ponad wierzchołkami wydmy, zmusza do zwariowanej, ciągłej gonitwy.

W samochodzie siedzimy z założonymi na nos i usta chustami, ale te prowizoryczne maski gazowe i tak mało chronią przed drobnym pyłem piaskowym, który na gwałt wciska się do przełyków, wazi pod czerwone już powieki.

Czasem stajemy na chwilę, aby sfilmować lub obejrzeć sterczące z morza piasku gliniane ruiny, ślady bytu człowieka w tym miejscu jeszcze z czasów imperium Inków czy nawet z okresu starożytnej kultury Chi-Mu. Mochica. Dziś jeszcze da się rozpoznać stary system konstrukcji budowli, nawet zarys całych wiosek. Ruiny zakonserwowały się z uwagi na brak opadów i wieczną, suszę, przetrwały tysiąclecia.

Filmowanie zabiera mało czasu. Szybko jesteśmy z powrotem w wozie, pędzimy dalej osiemdziesiątką na godzinę. Po którymś tam kilometrze przecinamy na ukos sławną Pan-Amerykańską autostradę biegnącą z południa kraju na północ. Zostaje za nami pustynia Desierto de Sechura, zresztą tylko teoretycznie, gdyż pejzaż przed nami z początku w niczym się nie zmienia, za samochodem zaś wisi wciąż ta sama gęsta chmura kurzu, zakrywająca jak zasłona dymna przebytą drogę.

Wybrany przeze mnie odcinek dla przekroczenia północno-peruwiańskich Kordyliarów nie jest trasą nową lub nieznaną. Jest to stary szlak, przez który ze wschodu przedzierały się dzięki plemionom Indian na plądrowanie minionych imperiów, później

— po kolonizacji — nawiedzany często przez wyprawy awanturników w poszukiwaniu legendarnego El Dorado.

Po pięciomiesięcznych wędrówkach górskich wzdłuż Marañonu i skrobaniu się po śnieżnych szczytach Boliwii i Peru, dość mamy łażenia. Tym razem na dotarcie do podstawy wyjściowej wybieram koła samochodu... nie nogi.

Warunki terenowe w tej części Kordylierów przez swój specyficzny układ, łagodniejsze podejście do wzniesień i coś w rodzaju przełęczy, umożliwiają dość ożywiony transport kołowy między Jaen-Bela Vista, a bardziej ruchliwym i handlowym nadbrzeżem oceanicznym (poza pustynią Sechura).

Do zmierzchu niedaleko. Podróż przeciąga się, wloką się monotonne godziny rozżarzonej Sahary peruwiańskiej o horyzoncie od jednej wydmy do następnej. W ciągłych zawijasach wspinamy się jednak wyżej, skręcamy z czasem na północ. Koła jeepa omijają małe, wyschnięte plamy pustynnej karłowatej bezlistnej roślinności, zagubionej w masie piasku, zapomnianej zdaje się przez naturę, zdanej na los niepotrzebnej egzystencji i podłej nędzy. Samopoczucie grupy stanowi refleks otoczenia: wydłużyły się twarze, niekiedy tylko ktoś mruknie pod nosem. Towarzysze w skrytości ducha mają do mnie pretensje za "zachcianki filmowe" z tematyki pustynnej, gdy można było wykozystać wygodniejszą Pan-Americanę.

Kiedy pod wieczór na północnym widnokręgu ukazują się ciemne linie zieleni każdy z nas odczuwa ulgę, opadła od razu ponura psychoza pustyni. Już przy świetle reflektora samochodu wjeżdżamy w aleje trzciny cukrowej, mijamy plantacje bawełny.

W napotkanej chałupie robotnika, zatrudnionego na plantacji, informują nas, że znajdujemy się w punkcie położonym na południe od Motupe, w sąsiedztwie Pan Americany, blisko rozwidlenia dróg, z których jedna prowadzi w kierunku Jaen. W godzinę później jedziemy już autostradą wygodną, pustą, prawie bez ruchu kołowego i wkrótce docieramy do wioski rozbudowanej wzdłuż obu stron drogi niskimi chatami. Co druga chałupa to hotel, czy pensjonat. Różnią się tylko nazwą "komfort" zaś identyczny.

W barze oświetlonym lampą karbidową jemy wprawie kolację, później odprowadzam właściciela jeepa i o uregulowaniu należności, stawiam według zwyczaju obowiązkowe piwo. Tu po trzech butelkach rozluźnia się wreszcie język naszego szofera Juana. Nie jest niemową, jest tylko mrukiem od urodzenia.

20 listopada. Z mrzonek o wynajęciu prywatnego wozu leczy mnie natychmiast hotelarz. Nie ma tu żadnych samochodów poza autobusem kursującym jedynie **martes y viernes** tj. we wtorki i czwartki, a że dziś akurat przypada **martes** więc nadarza się okazja znakomita.

O godz. 11 nadjeżdża rzeczywiście mały, zardzewiały autobus, pamiętający chyba "czasy Kolumba". Widzę, że pełny i tracę nadzieję na jazdę. Zagaduję jednak szofera, wyjaśniając, że jest nas czterech i mnóstwo bagażu.

— Tylko czterech? — mówi. — Wejdzie tu dwa razy tyle. Dużo bagażu, Señor? Przewiozę jeszcze pół fabryki.

Rzeczywiście na dachu autobusu wyrasta wkrótce piramida egipska. Wóz wydaje się teraz wyższy niż dłuższy; oblepiony zaś workami z tyłu i z boków wygląda niczym choinka na gwiazdkę.

W wyniku solidnego napiwka szofer tłumaczy z sukcesem trzem pasażerom, że miejsca, które zajmują, powinny być ustąpione profesorom "gringom", jadącym w misji kulturalnej. Siadamy. Za chwilę ten trzęsący się dziwoląg mechaniczny rusza obładowany prócz nas pasażerami przeważnie o ciemnej skórze, skręca stąd wyraźnie na wschód i drogą polną w chmurze pyłu wjeżdża w teren górzysty. Zataczając wszelkiego rodzaju elipsy pnie się teraz mozolnie w wyż, by raz przedstawić oczom zawili wawóz, wrzynający się w Kordyliery, to znów przestrzenny widok przepaści.

Droga nie jest łatwa. Stary autobus wydaje się u krańca sił, za chwilę stanie. Cudem prawie wspinamy się jednak wyżej. Jedziemy wąską wyboistą szosą, przylepioną jak gdyby do ściany górskiej. Czasem widok urywa się przed nami. Na przedpolu tylko ciemnoblękitne niebo wzywa do wjazdu w nieskończoność Kosmosu. Gdzieś na wysokim zakręcie, szofer wskazuje ręką w dół, że dwa tygodnie temu spadł tu w przepaść autobus z pasażerami.

Podobna nowina nie jest dla nas w tej chwili specjalnie pożądana.

"Cholera by go wzięła" — myślę. "Dodaje sobie cham zawodowej ważności".

Francisco chcąc jednak wykazać, że nasza grupa nie jest byle jaka — daje do zrozumienia szoferowi, grającemu rozmyślnie na nerwach gringów, że wspinaliśmy się po szczytach wyższych i groźniejszych, że nas to nie niepokoi, że dla nas to nie nowina.

— Tak. — odpowiada kierowca — na nogach można się zaprzeć, rękami uczeplić. Ale tu jest autobus, hamulce nie zawsze działają.

Uśmiewamy się buńczucznie, jeśli szczerzenie zębów można nazwać uśmiechem. Jak na komendę odwracamy się od okien, byle nie patrzeć. Tymczasem stara trumna na kółkach wspina się wyżej i wyżej.

Po czterech godzinach karkołomnej jazdy poprzez zgniecione masywy wysuwamy się nagle na przestrzeń otwartą, o szerokiej panoramie rozciągających się niżej Kordyliarów. Znajdujemy się wysoko na zboczu u styku szczytu, a przebyte przez nas niedawno pojedyncze wzniesienia zlewają się w trakcie rosnącej odległości w jeden nierozzerwalny łańcuch górski. Niżej położona malownicza dolina rzeki Huancamba, dopływu Marañonu, świeci całą skalą kolorów.

Schodzimy łagodnymi zygzakami, prawie równoległe do rzeki ubogie obecnie w wodę. W porze deszczowej według zdania rozgadanego szofera płynie nią rwący nurt. Poziom wody podnosi się o 12 m, zalewa ona kompletnie szerokie koryto.

Wspinamy się znów w górę, przecinamy następne masywy, krążymy, aby znaleźć się później na przeciwnym zboczu bez posunięcia się, jak się zdaje, o jeden km w linii prostej do celu.

O piątej zachodzi słońce i wkrótce, dosłownie w 10 minut później, noc kompletna. Dalsza droga odbywa się przy świetle reflektorów autobusu. O 9 docieramy do Jaen. Miasteczko, a

właściwie duża wioska, o 7.500 mieszkańców, znajduje się jeszcze pod wrażeniem trzydniowej minionej *fiesty*. Ulice zawałone najrozmaitszym towarem, handlarzami likwidującymi jarmarczne stragany.

Korzystając z postoju idziemy z Waldemirem do najbliższego baru na kawę. Ruch duży, stoliki wszystkie zajęte, frekwencja wielka. Zjechały również na *fiestę* przedstawicielki bogini miłości nawet z dalekiej Limy. Wszystko — dla uprzyjemnienia chwil "bogobojnym" odpustowiczom.

Pośrodku baru, pod jedyną wiszącą lampą są krzesła wolne: tam nikt się nie kwapi do zajęcia miejsca... za wiele światła. Siadamy. Dokoła szept stłumionych głosów i miłosnych wyznań, przypomina brzęczenie pszczoł w ulu.

Nie zdążyłem zamówić kawy, gdy wyrastają jak spod ziemi cztery dziewczęta, proponując nadziemskie przyjemności po znizonych cenach.

Spycham ze zmęczonych kolan przysiadłą Venus i tłumaczę:

— Nie mamy czasu. Autobus za dziesięć minut.

— Nie szkodzi — odpowiada dziewczęta — to długo nie potrwa. Starczy czasu nawet na kawę.

Druga Kleopatra, stojąc z tyłu, szepcze mi namiętnie do ucha kusząc bym postawił butelkę *pisco*. Ot, na początek. Gdy to zrobię — przysięga, że zostanie przy mnie na wieki, a do tamtego łachudry w kącie nigdy już nie wróci.

Błagam, żeby zostawiła mnie w spokoju, by wróciła do niego. Nie pomaga. W nieszczęśliwym humorze pokazuję jedną i drugą pustą kieszeń, co w międzynarodowym języku oznacza bryndzę. Też nie pomaga.

Stoją i komenderują: "... a ta kieszeń, a tamta!", co najmniej jak przy rewizji w komisariacie policji. Dobrze, że nie każą mi się rozebrać publicznie.

Waldemiro znajduje się w podobnych tarapatkach, wije się jak węgorz na rozżarzonej patelni. W końcu damy dają za wygraną. Nie warto, szkoda nawet czasu, mówią i odchodzą.

Przy następnym stoliku siedzi zakochana para przytulona do siebie jak syjamskie bliźniaki. Ogrom wymienianych, miazdzących całusów przerywa jedynie od czasu do czasu ruch rąk sięgających po szklanki. Ona, obciśnięta w kolorowe szmatki, uwypuklające każdy szczegół anatomii, jak w bandażu opasujące mumię, jest nieduża w wieku przekwitłym i przekwitłej także urodzie. On, o głowę wyższy, włosy rude spadają jak u apostoła prawie do ramion, broda przycięta na modłę średniowiecznego doży weneckiego, głowa o idealnej formie święconego jajka. Ubrany jest w pstrokatą koszulę z tłoczonymi wzorami wyrzutni rakietowych na plecach i w przesadnie obciśnięte spodnie *play-boy'a*.

— Ciekawa para! — myślę i nieszcześnie chce, że w momencie kiedy ruchem głowy zwracam na nich uwagę Waldemira, przerywają właśnie maraton całusów. Zauważyli. Reakcja jest natychmiastowa. Wstaje rycerz od stołu, zbliża się do nas i gromkim głosem pyta po angielsku:

— *Gentlemen do you have anything against this Lady?*

W ulu zapada nagle cisza. Spojrzenie kilkudziesięciu par oczu koncentruje się na nas.

— Calma, Edmundo! — mówi szeptem Waldemiro, kopiąc mnie w nogę pod stołem.

— Święty Idź!

Śmiać mi się chce i śmiać się też zaczynam. Przecież to okaz!

Chuderlawy rycerz stoi nade mną, a wzrok niby sztywet przeszywa mnie na wskroś. Poważnieję jednak i z miną dość niewyraźną odpowiadam w tym samym języku i nawet z tym samym namaszczeniem:

— In contrary, Sir, we do admire your taste.

Stoi i nie wie jak to przyjąć, później skłania się sztywno.

— My name is Bob — stwierdza.

Przyjmuje komplement, odchodzi do damy, a do nas odwraca się tyłem. Ot, zidiociały Don Quijote! Opinia moja i Waldemira jest zgodna. Jednego nie przeczułem, że na tym znajomość nasza się nie skończy, nie przewidziałem, że to dopiero początek epizodów, które nastąpią później.

Wracamy do autobusu wprowadzić bez kawy, ale z masą niezapomnianych wrażeń. Tu okazuje się, że coś w motorze nie gra. Rozbierają i składają silnik, próbują karburator, przedmuchują świece, filtrują benzynę i wreszcie o 3 nad ranem czterokołowe pudło bombastycznie zwane autobusem rusza. W godzinę potem końcowy przystanek i osiągamy cel dzisiejszej eskapady — Bella Vista.

Przy świetle latarek elektrycznych ściągamy ciężki ekwipunek. Zdaje się, że jesteśmy jedynymi pasażerami. Szofer od razu ulatnia się jak kamfora. Po wciśnięciu w rękę 10 soli jego zaspanemu pomocnikowi udaje mi się uzyskać adres hotelu — w kierunku — ciemnej nieskończoności.

Stukam później do bram jakiejś chaty i po pięciominutowym bombardowaniu wystraszona babina pyta się trzęsącym się głosem czego do czarta chcemy.

— Gringos? Si, señor, hotel a su disposicion. Ile łózek? — pyta.

— Cztery, — odpowiadam.

— Pięć — podpowiada mi ktoś z tyłu.

Odwracam się zaskoczony, świecę latarką i... how do you do uprzejmie pozdrawia mnie znajomy nasz rycerz z baru, mister Bob we własnej osobie.

Znosimy sprzęt: skrzynie z camping'iem i wory z żywnością w pobliże nocnego przytułku i czekamy. "Hotel" będzie do usług za chwilę. W międzyczasie rezolutny małżonek właścicielki wypęda kozy, kury i inne czworonożne i dwunożne stwory Boże z przyszłej naszej rezydencji. Drzemkę na tobołkach przerywa wreszcie babina, oznajmiając, że łóża gotowe. Rzeczywiście, znalazło się pięć łózek, powleczonej czystą bielizną, na siennikach, w wymiecionej izbie.

Zasypiam już prawie, gdy mnie stawiają na nogi jakieś wrzaski na dworze.

Okazuje się, że Mr. Bob nie wytrzymał długo w stanie trzeźwym i po bezowocnym dopominaniu się o pisco u hotelarza stuknął do sąsiednich chat w poszukiwaniu ognistej wody. Wyciągnięty z łóża jakiś szlachetny obywatel Bella Vista, stwierdziwszy powód przerwania mu błogiego snu, wpadł w szewską pasję za-

grażając wyraźnie powadze Mr. Boba. Na prośbę hotelarza, któremu wydaje się, że "wszystkie gringi", jak mały, są tego samego gatunku, interweniują ratując rycerza z przykłej sytuacji. Jak twierdzi rozwścieczony mieszkaniec Bella Vista tylko fakt, że jedyny miejscowy policjant i jego pensjonariusz leży właśnie urnięty jak bela ratuje brodatego gringa przed skończeniem marnego żywota w tutejszym gościnnym pierdlu.

21 listopada. Następnego ranka stwierdzam ze zdziwieniem, że w stosunku do Mr. Boba jestem już... Edmundo, że jeżeli chodzi o naszą grupę operuje on zaimkiem "my", że pójdziemy, pojedziemy, że będziemy kontynuować ekspedycję itd. W przystępie entuzjazmu, dla zaakcentowania przynależności do grupy, prosi mnie o pożyczkę 50 soli na piwo.

Odwiedzam miejscowych Jezuitów. Szukam padre Coular-ta, który uchodzi za największy autorytet w zakresie znajomości północnego regionu Marañonu. Ma on też podobno duże wpływy u okolicznych Indian. Niestety, od wczoraj tj. po fleście w Jaen wycofał się na dziesięć dni z życia publicznego do tzw. **retiro**, czyli miejsca medytacji.

Od czarującego przeora, padre Coraloro, dowiaduję się, że jedynym środkiem forsowania Marañonu jest tratwa zwana **balsa**, że najtrudniejszy odcinek do spławu ciągnie się od Montenegro do bliżej nieokreślonego punktu w sąsiedztwie ujścia rzeki Neva. Na tej przestrzeni ze względu na wąskie kaniony, zwane **pongos**, zapory skalne i szybki, dochodzący niekiedy do 60 km na godzinę, nurt — transport jest aż nadto ryzykowny. Istnieje ponad dwa tuziny **pongos** i gwałtowych spadów, zmieniają się one stale, tworzą się nowe. Padre Coralloro nie radzi forsować Marañonu, gdyż owe **pongos** pochłonęły już życie wielu ludzi. Nawet dla takich znawców jakimi są Aguaranowie, szczep Indian należący do rodziny Jivaros, jest to hazard, w którym stawkę stanowi życie.

— Wróćcie do Chiclayo — mówi i weźcie samolot, który przewiezie was bezpośrednio do Iquitos.

Widząc jednak mój upór rezygnuje w końcu i dodaje, że przy ujściu rzeki Neva znajduje się misja jezuicka, z którą znajduje się w stałym kontakcie radiowym i że zawiadomi ją by nas wyglądali. Jako pilotów balsy poleca braci Escotes, mieszkających nad rzeką za pierwszym pongo Reintena. Wyjaśnia jeszcze, że Marañon w dolnym swoim biegu od ujścia rzeki Neva spływa spokojnie i stąd w odległości około 100 km przedziera się przez legendarne już pongo Mancheriche.

Żegnając nas robi znak krzyża.

— Będę się za was modlił — mówi.

Wychodzimy w usposobieniu dość niejasnym.

— Hm, — powiada po chwili milczenia John — będzie się modlił. Dużo to nam pomoże.

— Powiedział, że będzie się modlił za twoją duszę, co nie oznacza, że wzięł pod uwagę twoje gringowskie ciało — mówi nasztawiony ponuro Waldemiro.

Po drodze spotykamy Boba. Jest uśmiechnięty, nonszalancki już w stanie upojenia **pisco**, oczy zamglone jak u ugotowanej ryby. Pyta o nowiny. W hotelu, gdy dyskutowaliśmy możliwości przeprawy, wtrąca nieproszony swoje trzy grosze, odradza, krę-

ci się niespokojnie, markotnieje coraz bardziej. Od czasu, do czasu rzuca jakieś zdanie łamaną angielszczyzną tak, że dochodzę do wniosku, że jest on takim samym Amerykaninem, jak ja paszą tureckim.

— Hey, Bob, what is your nationality? — pytam obcesowo.
— Jestem obywatelem świata, Edmundo — odpowiada.
The whole bloody World is my Country.

Może i tak. Nie pytam dalej.

John nie przejawia szczególnego entuzjazmu do przeprawy. Skłania się do zdania padre Coralloro, radzi wrócić do Chiclayo. Później razem z Bobem idzie na piwo. Po powrocie jest jeszcze bardziej niewyraźny. Wyczuwając sytuację stawiam sprawę jasno.

— Jeżeli nie chcesz czy nie możesz jechać z nami, uważaj się za wytłumaczonego.

Przyjmuję tę ofertę z ulgą.

— Wróć do Chiclayo — mówi.

— **Then I'll go with John** — wyjaśnia Bob.

— **You may go to Hell** — odpowiadam.

Bob mówi z miną płaczącego niemowlęcia: — Och, Edmundo, nie złość się. Dołączę się do was w Iquitos.

Aż mnie zatyka. Otwieram usta, aby odpowiedzieć:

— A kto cię do cholery o to prosi?

Daję jednak spokój.

Postanawiam jechać do Milagro, miejsca postoju Batalionu Saperów. Do komendanta Batalionu mam list polecający z dowództwa dywizji w Lambayeque. Miraclo jest położone nad Marañonem w pobliżu ujścia rzeki Chinchipe. Znalazła się okazja — jest ciężarówka. Żegnamy się serdecznie z Johnem. Wiemy, że dołączymy w Iquitos. Mimo to zarówno jemu, jak i nam, jest głupio. Wyczuwa to Bob. Wyciąga na pożegnanie rękę.

— **D'on worry** — mówi. — Ja się Johnem zaopiekuję.

— Por Dios! — jęczy Francisco.

— Santa María — wzdycha Waldemiro.

— Trzymaj pieniądze przy sobie — krzyczę do Johna.

Ciężarówka rusza z miejsca. Od razu zaczyna się kawalerska jazda. Jedziemy do Choumaia skąd można znaleźć dalszy transport do Milagro. Po drodze wsiada do ciężarówki mnóstwo tubylców. Stajemy co chwila, czekamy aż szofer skończy ubijanie interesu z nowymi podróżnymi.

Wśród pasażerów są dwa małżeństwa metyskie. Jedni to żona w wieku 45 lat i mąż o połowę młodszy z niemowleciem opatulonym w masę koców. W drugiej parze małżeńskiej dona jest młoda, ma około 16 lat, o ładnej twarzy, czarnych oczach, ustach jak BB i klasycznie zarysowanym nosie. Dosłownie piękność. Ubrana według mody Quechua w szeroką spódnicę, bufiastą bluzę i założony na bok rondelkowy kapelusz, typowo kordylierski. Mąż ruchliwy, dość sympatyczny facet, chudy jak szczapa, najwyżej o dwa lata starszy od żony.

Niemowle wrzeszczy jakby je mordowano. Podeszła w latach matula, wciska mu w rozwartą gębę ubogą w pokarm pierś, ale to go nie zadowala, drze się dalej na cały głos. Wtedy przychodzi w sukurs młoda dona. Odbiera matce jej pociechę, kładzie na kolana, dwoma rękami sięga w głąb bluzki, wyjmując pierś

okrągłą jak kula, dużą i jędrną — wspaniały okaz, nawet Jean Mansfield mogłaby jej pozazdrościć. Wiatr unosi lekkie okrycie odsłania drugą część symfonii. Obnażone piersi sterczą jak dwa dojrzałe owoce mamonu. Scena ta trwa, przedłuża się na dobrych kilka kilometrów jazdy. Nakarmiony szczęśliwiec dawno już zapadł w drzemkę, a młoda dama, dyskutując z sąsiadką, wciąż prezentuje światu swe walory kobiece. Na grupie tubylców, jest ich około dwudziestu, nie wywiera to żadnego wrażenia. **Rozmawiają, nie zwracają uwagi**

Dojeżdżamy do Jaen. Szofer prosi, aby przez miasto przejść pieszo. Ciężarówka jest zbyt obciążona, może być kłopot z policją.

Zostawiam na straży sprzętu Waldemira, a sam w towarzystwie Francisca maszeruję ulicami największego skupiska ludzkiego w obrębie Marañonu. Miasto - wieś, zabudowane niskimi chałupami, przypomina miejscowości z filmów "Western". Ma się wrażenie, że zza narożnika wypadnie nagle karetka pocztowa w pełnym biegu, a za nią zgraja Apaszów.

Z każdego baru, każdej restauracji dolatuje muzyka z amerykańskich automatów - szlagiery z czasów prababek, ale też nowoczesne tanga, samby i rock and roll'e. Sklepy zarzucone towarami peruwiańskimi i zagranicznymi, przeważnie z kontrabandy; skrzynie z pomarańczami tarasują wejścia. W suchym upale południa ulice są puste. Gdzieniedzie w cieniu rozsiadł się przechodzień, opuścił rondo sombrero, i chyba tylko trzęsienie ziemi może go zmusić do powstania — moment tradycyjnej siesty, przywilej i nawyk, któremu oddaje się zarówno patron, jak i robotnik, czy włoścza.

Pośrodku placu wznosi się wieżami ponad panoramę osiedla murowany kościół. W pobliżu zbudowania są nowocześniejsze, niskie lecz obszerne.

Historia Jaen i jego okolic sięga jeszcze czasów konkwisty. Położone w rejonie licznych kopalń znane było jako Jaen de Bracamoros, i słynęło jako ośrodek handlu złotem. Jeszcze dziś spotkać można tę nazwę w literaturze z zaznaczeniem (mylnym), że Jaen to jedno z zaginionych siedmiu miast legendarnego El Dorado. Tu w okresie konkwisty i później w latach kolonizacji wyzysk człowieka przewyższył wszystko co podają dzieje. Po podbiciu kraju przez Pizarra hidalgowie hiszpańscy otrzymali na własność wielkie połacie ziemi. Odtąd stali się oni władcami absolutnymi nie tylko ziemi, ale i jej mieszkańców. Wprawdzie Cortez i Ponce de Leon wydali prawa o ochronie Indianina, a Korona hiszpańska zakazywała obracać Indian w niewolników, lecz były to akty jedynie papierowe. Nikomu nie zależało na wprowadzeniu ich w życie, rzeczywistość wyglądała inaczej. W administracji wzorowano się częściowo na zwyczajach Inków, lecz dodano całą perfidię cywilizacji białego człowieka.

Dawniej na obszarze Peru niewolnictwo było instytucją znaną, ale występującą tylko wyjątkowo i prawnie respektowaną. Niewolnikiem stawał się jeniec wojenny, który swą niedolę opłacał pracą, zapewniano mu jednak wystarczające wyżywienie. Teraz niewolnikami stali się wszyscy tubylcy na swojej własnej ziemi. Utrzymywano ich przy życiu najmniejszym kosztem wyłącznie po to, aby ciężko pracowali w jak najgorszych warunkach.

kach. Inkowie również zmuszali poddanych do pracy, ale ludzie młodzi i starzy byli wyłączeni od tego obowiązku (młodzież do lat 15 i starcy powyżej lat 50). Obecnie wszyscy bez względu na wiek musieli pracować na korzyść możnych, duchowieństwa i kacyków indiańskich. Tych ostatnich starano się zjednać pochlebstwami, udogodnieniami i strachem przed diabłem, jednak nie zawsze się to udawało.

Dopóki jeszcze Indianin pracował na roli nie działał mu się najgorsza krzywda. Nie cierpiał ostatecznie głodu. Ale z chwilą, gdy zaczęto go zatrudniać w kopalniach sytuacja ta gwałtownie się pogorszyła. W zasadzie Indianin powinien był pracować w kopalniach dobrowolnie i w sposób odpłatny. W praktyce nie stosowano się jednak do tych przepisów. Indianie nie przyzwyczajeni do robót podziemnych, traktowani brutalnie, wyzyskiwani okrutnie, ginęli masowo lub uciekali do lasu. Z czasem Hiszpanie doszli do wniosku, że lepiej się opłaca wydzierżawienie kopalń kacykom. Nakładano normy wydobywania niemożliwe do wykonania. Jeżeli norma nie została wykonana Indianie musieli pokrywać niedobór dodatkową pracą w polu lub zwiększonymi podatkami.

Niektórzy duchowni nie ustępowali świeckim w wyzysku. W historii Peru, najgorzej się pod tym względem zapisał zakon Jezuitów, rosnący w potęgę, wpływy i olbrzymie bogactwa. Jezuita byli też właścicielami kopalń i traktowali Indian z tą samą bezwzględnością co możnowładcy. Cel ich stanowiło złoto i tylko złoto, obojętne jakim kosztem zdobyte. Doszło to w końcu do wiadomości Papieża i Korony hiszpańskiej i w rezultacie zakon Jezuitów usunięto z Peru i odwołano do ojczyzny.

Trzeba jednak podkreślić, że nie całe duchowieństwo odgrywało podobnie smutną rolę. Były wysiłki przedstawicieli Kościoła by naprawić wrzawę wyrządzoną ludności tubylczej. Dużą zasługę miał tu zakon Dominikanów jednak był to w morzu bezprawia głos wołającego na puszczę.

Nieprawość i okrucieństwo możnych w okolicy Jaen wywołały w końcu reakcję ze strony Indian. Długo tłumiona nienawiść wybuchnęła gwałtownym płomieniem. Niespełna dwa wieki temu około 15.000 mieszkańców zostało zamordowanych, nieliczne kobiety i dzieci uprowadzone przez tubylcze szczepy. Pałace bogaczy, rudery biedaków, 11 kościołów — legło w płomieniach pożaru. Zrównano z ziemią centrum białego człowieka, nic się nie ostało przed odwetem Aguaranów.

Miasto z czasem odbudowano, lecz nigdy nie powróciło już do roli, którą odgrywało w przeszłości.

Na końcu głównej ulicy czeka już na nas ciężarówka. Nad wieczorem dojeżdżamy do wsi Choumaya, składającej się z sześciu chałup. Zatrzymujemy się przed hotelem "Buena Esperanza". Tak dowcipny właściciel ochrzcił walący się, zbity z desek barak.

Pytam skąd mu przyszła do głowy tak szumna nazwa.

— Kiedy señor spędzi pod moim dachem jedną noc — powiada — to będzie żywił nadzieję, że przyszła noc zostanie go daleko stąd w innym hotelu.

Święta prawda. Słowa hultaja ziściły się co do joty. W nocy tabuny moskitów siekają bez przerwy, w sąsiedztwie za ścianą ryją i kwiczą też bez przerwy świni. Na domiar złego deszcz leje jak z cebra, że zaś dach jest szczelny jak poznańskie rzeszoto pół nocy spędzamy na okrywaniu sprzętu plastykiem i przesuwaniu skrzyń i łózek.

Nikt z nas nie zmrużył oka i naprawdę zaczynamy żywić nadzieję, żeby to była ostatnia i jedyna noc w "Buena Esperanza".

Rano wynajmuję kamionetę. Targuję się zgodnie z miejscowym zwyczajem. Krzyczę ja i krzyczy szofer. Twierdzi, że chcę go wyzyskać, ja zaś twierdzę, że on mnie okrada. Przy szklance piwa ubijamy interes. Siadamy do kamionety pozabawionej błotników i nie nakrytej. Już na wozie płacę za hotel.

— Szczęśliwego powrotu do "Buena Esperanza"! — żegna nas dowcipny hotelarz.

— Złam kark, chamie! — odpowiadam po polsku.

Po dwugodzinnej jeździe zatrzymuje nas policja. Kontrolują dokumenty, pytają czego szukamy w Peru, po co, z czyjej inicjatywy itd.

Wściekły po źle przespanej nocy powiadam:

— Z mojej własnej inicjatywy, powziętej w stanie zamroczenia umysłu.

Policjant uważa to za wystarczający argument i żegna mnie bardzo uprzejmie.

Dalsza droga prowadzi przez górzystą pustynię. Nad nami bezchmurne niebo, światło słoneczne oślepia, pali jak lawa. Pot leje się ciurkiem po plecach. Za chwilę jestem oblepiony mokrymi szmatami, czuję się jak przyklejony do siedzenia. Wjeżdżamy na jedyny most na Marar'onie, zbudowany przez wojsko. Przekraczamy rzekę o szerokości 200 m, leniwą, mało ciekawą. Zostaje jeszcze 15 km do Milagro.

Zdrzemnąłem się na chwilę. Budzi mnie głęboki pomruk burzy. Niebo pokryte ciemnymi i niskimi chmurami. Deszcz zaczyna tak intensywnie, że trzeba zatrzymać samochód, nawet reflektory nie są w stanie przebić zaporę wodnej.

Wypogadza się równie szybko, jak przedtem się rozchlapało.

Siedzenie w czwórce w dusznej kabinie nie należy do przyjemności. Waldemiro i Francisco wybierają się na tył ciężarówki. Radzę im poczekać, upierają się jednak i sadowią wysoko na bagażu.

Ruszamy dalej, co chwila grzęznąć w błocie. Koła obracają się czasem w miejscu, posuwamy się z szybkością żółwia. Docieramy w końcu do Milagro, wóz staje. Podchodzą do mnie mumie obwiniete od stóp do głów zamiast bandaży w plastry błota. Miny ponure, spojrzenia mordercze. Patrzę i poznaję moich "kompanierów". Nie mogę wytrzymać, parskam śmiechem. Zrozumiałem: samochód nie ma błotników. Stoją nieruchomo, patrzą na mnie, a potem zaczynają się śmiać obłąkańczo, jak i ja. Rozładowuje się wreszcie ponury nastrój, nabyty w Buena Esperanza.

W obozie wojskowym przyjmuje nas major Suarez, ofiaruje nocleg i wyżywienie. Nad wieczorem samochodem wojskowym jedziemy obejrzeć blisko położone pierwsze pongo. Rentena.

Tworzy się ono przez połączenie Rio Chinchipe z Marañonem tuż u stóp wschodniego zbocza Kordyliarów. Wody obu rzek nabierają szybkości i prawie natychmiast rozbijają się o stromą ścianę skalną. Następuje gwałtowny skręt i Marañon zostaje pchnięty w kierunku wschodnim by na przestrzeni 300 km przedzielać się wąskimi wąwozami przez ostatnie pasma And.

Spodziewałem się czegoś nadzwyczajnego, czegoś groźnego, przecież tak opisywano ponga w czasie całego naszego pobytu w Peru, przecież ostrzegano nas, namawiano do zmiany trasy, a mnie, projektodawcę spływu, uważano za kompletnego wariata. Przyłgnał nawet do mnie przydomek: "loco Polaco". Obecnie stoję rozczarowany. Wrażenie? Żadne. Nic nadzwyczajnego, nic efektownego. Podobne cuda natury można na pewno tysiącami spotkać w innych częściach świata. Z uczuciem dziecka zawiedzonego, któremu odebrano karmelek, wracam do obozu.

Wieczorem zostaliśmy zaproszeni przez kilku oficerów do kasyna na okazyną bibkę. Ludziom tym, odseparowanym od rodziny, z daleka od ośrodków cywilizacji, życie układa się aż nadto monotonnie. Toteż każda nowość stanowi atrakcję, każda nowa twarz jest mile widziana, wiadomości z szerokiego świata chętnie przyjmowane. Dyskusje ciągną się do rana. Najgorzej wychodzi na tym Waldemiro. Spotkał entuzjastę Rio de Janeiro, który był tam trzy lata temu, i obecnie wspominając "dawne dobre czasy" solidnie zalewają robaka. Zresztą zarówno Francisco, jak i ja, opuszczamy ucztę nieźle pod gazem.

23 listopada. Major Suarez radzi bym pojechał do Montenegro, odległego stąd o 15 km. Znajduje się tam dowództwo batalionu, gdzie mogą udzielić nam ułatwień, czego on tutaj nie jest w stanie zrobić.

Jesteśmy znów w drodze. Jedziemy zboczami kanionu szosą wybudowaną przez Batalion Saperów. Wykuty w skale szlak jest jeszcze prymitywny, ale ma za sobą historię olbrzymiego wysiłku ludzkiego i dużych ofiar. Na przestrzeni ostatnich pięciu lat w trakcie budowy zginęło tu ponad 250 osób. Dziś krzyże, rozrzucone co 200 m, stanowią niezaprzeczalny dowód uporu człowieka i jego tragedii.

Z wysokości 500 m patrzę na wijącą się wstęgę Marañonu, na rozsiane tu i ówdzie porohy, rozcinające, jak olbrzymie pługi szybki nurt rzeki. Czasami pochyłość stoku górskiego jest łagodniejsza, koryto rzeki szersze, czasami jedziemy zboczem pod kątem prostym do rzeki, a wychylając się z kabiny widzę prostopadłe, jak z samolotu, wąski pas wody błyszczący tylko miejscami, przeważnie gubiący się w cieniu kanionu. Zaczynam w końcu powątpiewać w słuszność wypowiedzianej przeze mnie wczoraj opinii: być może powzięta została zbyt pochopnie.

Przy pierwszej napotkanej chałupie zatrzymujemy się. Szukam braci Escotez poleconych przez jezuitów jako ewentualnych przewodników balsy. Mieszkają w dżungli około pół godziny drogi stąd po drugiej stronie rzeki.

Brak canoa nie pozwala na złożenie wizyty braciom. Po ujechaniu dalszych 5 km zaczynamy na gwałt okrywać plastykami bagaż i przykucniętego w otwartej części jeppa Waldemira, którego po wczorajszej fiescie chwytą dziś senność i zgaga. Zdążyliśmy. Za chwilę zaczyna lać deszcz, droga zamienia się od

razu w morze biota, jeep grzęźnie prawie po osie. Pod prostopadłą granitową ścianą kierowca nagle zatrzymuje wóz. Okazuje się, że odcinek szosy tuż za zakrętem jest ustawicznie bombardowany przez spadające z dużej wysokości kamienie. Sześć miesięcy temu w czasie budowy drogi obsunęła się częściowo góra, a spadające skały utworzyły w Maranionie nowe pongo. Odtąd każdorazowy deszcz powoduje dalsze obsuwanie się kamieni, które tarasują drogę. Jeep przez te zwaliska nie przejedzie.

Wychodzę z Francisco z kabiny. Nie da rady: trzeba oczyścić szosę. Doświadczony szofer radzi pracować na zmianę — jeden na warcie, drugi — odsuwa kamienie.

Zaczyna się syzyfowa praca. Identyczną ilość odsuniętych z szosy kamieni górka natychmiast szczodrobliwie zwraca. Pracujemy zsynchronizowani. Francisco odsuwa kamienie, ja obserwuję górę. Na mój wrzask: **piedras!** uskakujemy obaj w bok. Walą pociski różnego kalibru jak bomby lotnicze w czasie działań wojennych. Później ja odsuwam kamienie a na Francisco: **piedras!** reaguję natychmiastową ucieczką. Po półtoragodzinnej harówce szosa jest jako tako oczyszczona. Ustaje na chwilę deszcz kamieni, niebo płacze dalej. Spod płachty plastyku wyłazi na wszelki wypadek Waldemiro, a szofer przeżegnawszy się rusza na pełnym gazie. Przeszedł! Po drugiej stronie — ostatni, jak kapitan na tonącym okręcie, pozostaje Waldemiro. Markotnym głosem błaga o podanie sygnału do skoku. Jest sygnał! Na chwiejących się nogach przebiega jak burza.

Przemoczeni do ostatniej nitki przyjeżdżamy po południu do obozu w Montenegro. Przyjmują nas życzliwie, proszą od razu do kasyna. Kolacja, później wygodne łóżko z moskiterą.

24 listopada. Okazuje się, że Batalion Saperów nie specjalizuje się w transporcie rzeczonym. Nie ma w tej dziedzinie doświadczenia. Jest to jednostka, której zadanie polega na budowie drogi z Jaen do Borja. Program na 10 - 15 lat mozolnej i uciążliwej dalszej pracy.

Po południu zgłasza się don Miguel, miejscowy przewodnik balsy. Proponuje budowę tratwy i przetransportowanie nas do Borja. Chce za to jedynie drobnostkę — 800 dolarów. Nie korzystam z tej oferty. Niedoszły naciągacz gringów obraził się. Twierdzi, że to specjalna okazja. Pytam, czy dla nas, czy też dla niego? Zakrztusił się i odchodzi.

Z dowództwa Batalionu przydzielono mi jeep do dyspozycji. Jadę z powrotem na poszukiwanie braci Escotez. Nie zastaję. Ofiaruje natomiast usługi jako przewodnik, wczoraj zapoznany don Mundaca. Po godzinie targowania się ubijamy niteres. Zamiast do Borja dowiezie nas tylko do Nazareth i stamtąd nowy **boga** (przewodnik), którego trzeba będzie wynająć, odtransportuje nas dalej.

Don Mundaca przedstawia mi swego pomocnika. Telesfora. Jest to cywilizowany Aguaruna, spokojny, małomówny, ale wzbudzający od razu zaufanie. Nazywają go kierowcą Maranionu. Przebył pięć razy drogę od Bela Vista do Nazareth.

Jutro tj. od poniedziałku zaczynam ciąć **balsę**, specjalne drzewo do budowy tratw. Stąd powstała nazwa tratwy — **balsa**. We

wtorek balsa ma być gotowa, w środę rozpoczynamy spływ. Miejscowi ludzie raz jeszcze podkreślają słuszność opinii jezuitów, że odcinek stąd do Nazareth (miejscowość założona przez Instytut Lingwistyczny, skąd połączenie ze światem odbywa się jedynie przy pomocy samolotów) jest najgorszy do sforsowania. Te 60 km drogi nie stanowią podobno trasy nadającej się na przejażdżkę turystyczną. Boga potrzebuje na drogę powrotną ładem około 10 dni, i jak mnie pociesza don Mundaca, wielu nie wróciło.

25 listopada. Jak było do przewidzenia budowa balsy opóźniła się o jeden dzień. Powód? Wczoraj po otrzymaniu zadatku była fiesta, to znaczy całe towarzystwo urzęło się i zapomniało o cięciu drzewa. Czy się denerwuję? Nie. Po kilkumiesięcznych doświadczeniach nauczyłem się przyjmować podobne wysoki z postawą stoika. Dziwiono by się, przypisywano by mi nawet brak wychowania, gdybym rościł pretensję o jeden lub dwa dni. Czas jest tu rzeczą względną. Mañana wcale nie znaczy — jutro. Może to być równie dobrze pojutrze, za tydzień lub za miesiąc. Spieszyć się? Po co? Przecież i tak umrze się spiesząc się, czy też nie. Jeżeli nie dziś to jutro. Zegarek jest przekleństwem cywilizacji.

26 listopada. Nazajutrz po pamiętnej fiescie jesteśmy rychło na miejscu budowy balsy nie dlatego, żeby pomagać przy cięciu drzew ile by przez swoją obecność zmusić Mundaca do pracy. Zjawia się wkrótce trzech cywilizowanych Aguaranów, wynajętych przez bogę do zwalania drzew.

Idziemy wspólnie do dżungli. Aguarunowie tną balsy, my po odpowiednim pouczeniu korujemy pnie. Praca jest dość łatwa. **Macheta**, długim, wielkim nożem, przecina się korę wzdłuż pnia, a następnie ściaga z łatwością. Drewno okorowane jest prawie białe, lekkie. Później ciągniemy pnie przycięte na odpowiednią długość do miejsca budowy tratwy nad rzeką. Tu nasza pomoc się kończy. Przyglądamy się Aguarunom, prawdziwym specjalistom konstrukcji balsy, idzie im to sprawnie. Na wykończonej tratwie wyrasta wkrótce podwyższenie, ogrodzone palami, przeznaczone na bagaż.

Jutro balsa spłynie do Montenegro, gdzie się załadujemy i skąd wyruszymy w świat dzikich ludzi i zwierząt.

Atmosfera w obozie wojskowym pierwszorzędna, oficerowie to ludzie sympatyczni, zaprzyjaźniłem się z kilkoma i życie płynie znośnie. Kiedy w dyskusji porusza się temat ekspedycji wszyscy nasi rozmówcy wypowiadają zgodną opinię, że filmowanie spławu od Montenegro w dół rzeki jest niemożliwe, gdyż o zatrzymaniu tratwy nie ma co marzyć. Decyduję się zatem na filmowanie spławu od miejsca budowy balsy do Montenegro.

Deszcz pada bez przerwy w ciągu ostatnich dwóch dni. Komary tną w nocy przedostając się nawet przez szpary w moskitierach. W czasie snu ofiary panoszą się bezkarnie, zostawiają czerwone bąble na znak złożonej wizyty.

29 listopada. Ostatniej nocy przeszła gwałtowna burza. Deszcz pada w dalszym ciągu, niebo zupełnie zachmurzone. Około południa wreszcie się wypogadza. Nie zwlekając, bez obiadu, skaczemy do samochodu, zabieramy aparaty, jedziemy do obozowiska Mundanki. Po drodze wybieram kilka miejsc ne

przyszłe filmowanie. O zejściu do rzeki ze względu na szybkość tratwy trzeba zapomnieć. Będziemy więc filmowali z wysoka. Odległość od miejsca budowy balsy do Montenegro wynosi 10 km. Nie jest to trasa niebezpieczna, ma jednak kilka momentów "dreszczyku".

Robimy próby zatrzymania jeepa, rozładunku sprzętu, ustawienia aparatu, załadowania się z powrotem na wóz, wszystko na czas według zegarka. Obsługa aparatu musi wygrać wyścig tratwy z samochodem, aby wykonać zadanie.

Mamy ochotników do jazdy na gapę na tratwie. Kapitan Mendenez przywiózł w poczuciu ważności momentu dużą flagę peruwiańską. Dojeżdżamy do przystani. Don Mundanca i Telesforo czekają już na tratwie. Dołączają do nich trzej ochotnicy i Francisco. Krótkie instrukcje i pedzimy z Waldemirem do wozu. Jeep rusza z miejsca na punkt filmowania pierwszej sceny spławu.

Aparat już na stanowisku, dajemy z odległości pół kilometra sygnał tj. strzelamy z rewolwerów. Później wrzeszcze ile sił w gardle, a echo w wąwozie Maranionu powtarza głos kilkakrotnie. Chwila niepewności. Usłyszeli? Jednak płyną, balsa zbliża się prawie już do nas. A to co? Chryste Panie, przygodni żeglarze na balsie ustawili się na baczność, jak na paradzie wojskowej, trzej z przodu, trzej z tyłu, z rozwiniętym sztandarem, istna warta honorowa.

Pienię się ze złości.

— Zwinicie flagę i nie róbcie teatru!

Nie słyszą. Klnę. Ot dobrałem sobie artystów, przejęli się nazbyt swoją bohaterską rolą.

Przeszli.

Aparat fruwa w powietrzu, silnik jeepa zapuszczony, skaczemy do wozu i pedzimy dalej. Dopadamy do punktu nr dwa. W ciągu kilku sekund. Aparat na stanowisku, balsa już na widoku. W czasie filmowania widzę przez wizjer obiektyw, że na pokładzie coś się dzieje, jakieś zamieszanie. Balsa wpada w niegroźny zresztą wir, robi jednak kilka obrotów. Amatorzy spławu, prócz Telesfora, leżą już plackiem, czepiają się pali, ściągnięta flaga przykryła niektórych.

Waldemiro ryczy ze śmiechu.

— Spójrz, — mówi — na tych bohaterów, jak leżą na brzuchach.

Widocznie siły wyższe dopomogły mi do sfilmowania sceny, której potrzebowałem.

Jesteśmy znów w drodze, zeskakujemy z jeepa, filmujemy, wskazujemy do jeepa, powtarzamy kilkakrotnie tę hece. Wyścig w pełnym tego słowa znaczeniu. Blisko Montenegro tratwa, jakby finiszując, wyprzedza nas. Do obozu przyjeżdżamy na drugim miejscu.

W obozie czeka na nas kapitan Mendenez. Czoło okrwawione, kolana obandażowane. Zaniepokojony pytam co to znaczy.

— Kiedy dobijaliśmy do brzegu — powiada Francisco — zdawało się nam, że balsa płynie wolno. Ale tak się tylko zdawało. Kierowana przez Mundakę wpadła na przybrzeżne skały, a kapitan wyleciał jak z procy i pokaleczył głowę i nogi.

Obydwaj mają zastrzeżenia co do wytrzymałości balsy. Zdaniem ich nie sprostą ona zadaniu, jest za wiotka i za słaba. Po obejrzeniu tratwy dochodzę do tego samego przekonania. Reklamuję, dopłacam Mundace i otrzymuję zapewnienie, że doda 4 pale i wzmocni wiązania.

Nad wieczorem balsa jest wreszcie gotowa. Składa się z 20 bali każdy o średnicy od 8 do 10 cali, połączonych dość szczelnie, powiązanych na krzyż lianą, budzi teraz większe zaufanie. Ballast zaś poniesie niemały: sześciu ludzi i 700 kg sprzętu i materiałów. Okazuje się, że don Mundaca jest tylko patronem, a doświadczenia w spływie nie ma żadnego. Zresztą nie przejawia zbyt wiele entuzjazmu do jazdy, poleca natomiast jeszcze jednego cywilizowanego Aguarunę, zamówionego widocznie z awansu. Nazywa się Cumanche, znany jest jako **boga** na tutejszym terenie. mówi dobrze po hiszpańsku, i twierdzi, że może nas poprowadzić aż do Santa Maria de Neva. Przyjmuje go chętnie na miejsce Mundaki, zdaje się, że to chłop do rzeczy.

Jako szósty członek załogi zgłasza się 22-letni mieszkaniec Chiclayo, niejaki Alfonso, który wybiera się w odwiedziny do brata w Santa Maria i siedzi już w Montenegro czekając od 6 tygodni bez szansy na spływ. Przyjmuje go do załogi. W kupie będzie różnie.

Wszystko gotowe, decyduje się na jutro. Będzie to dzień specjalny, próba odporności nerwowej członków ekspedycji, rzucenie na szalę całego dobytku; jutro rozpoczyna się moja odpowiedzialność moralna za życie towarzyszy, wreszcie jutro przekonamy się, czy diabeł jest taki czarny jak go malują.

W dowództwie Batalionu Saperów radzą zaczekać dwa - trzy dni, aż woda opadnie po ostatnich deszczach. Poziom jej podniósł się niebezpiecznie. Dość mam jednak czekania.

Wieczorem, w kasynie, usadowiony wygodnie w fotelu, przy szklance whisky, co się dotąd w czasie ekspedycji rzadko zdarzało, podsumowuję rachunek przeżyć, wrażeń i efektów pracy w czasie ostatniego półrocza. Według ustalonego programu czas potrzebny na przebycie dotychczasowej trasy był przewidziany na trzy miesiące, a minęło sześć. Wszystkie poprzednie informacje, użyte nam przez tzw. speców co do czasu, warunków i kosztów, okazały się rozciągnięte pomiędzy prawdopodobieństwem, a iluzją. Czy mogło być inaczej? O planowaniu i kalkulacji dobrze się mówiło siedząc także w fotelu, ale w São Paulo. Rzeczywistość kształtuje się odmiennie.

Wkrótce, jeżeli "bogowie" pozwolą, wypłyniemy na nizinę amazońską. Pozostaną za nami Kordyliery, zaczniesz się nowy okres bytu, różny pod względem wysiłku, warunków terenowych i klimatycznych. Jak długo potrwa ekspedycja? Patrząc na mapę, na zieloną plamę Amazonii, i biorąc pod uwagę poprzednie doświadczenia, nie chcę zgadywać.

30 listopada. — Około południa deszcz ustał, ale niebo wciąż zachmurzone. Balsa nasiąka wodą, zanurza się coraz bardziej. Dalsze czekanie związane jest z ryzykiem. Zatem ruszamy. Żegnają nas oficerowie z komendantem obozu na czele, życzą dobrego spływu.

— Przyślijcie przez radio wiadomość z Borja — wołają. — Adios, mucha suerte...

Zajmujemy miejsca. Telesforo i Cumanche odwiązują liny kotwiczne, spychają tratwę na kierunek wyraźnej wstęgi nurtu. W ostatniej chwili skaczą na balsę, jesteśmy od razu w pełnym biegu. Wkrótce ginie z oczu znany krajobraz, mijamy ostatnie szafasy, łagodny skręt i wjeżdżamy prawie wsuwamy się, w ponury wąwóz Maranionu. Płyniemy w cieniu przełęczy jak gdyby sztucznie wykrojonej w masywie górskim. W lewo od nas lśni odwieczną wilgocią granitowa ściana, goła, pozbawiona śladu roślinności, zbiega prostopadle do nurtu rzeki. Naprzeciw, jakby obraz odbity w lustrze, ciągnie się ten sam ciemny stok, zmieniny jedynie u podstawy, ziejąc na kilometrowej długości podmytym wklęsnięciem. Nic nie podtrzymuje wystającej na kilka metrów i zwisającej nad rzeką ściany. Odnosi się wrażenie, że w każdej chwili runą w dół miliony ton ziemi i granitu, zatarasują kompletnie wąskie koryto, zmieniając układ pejzażu. Byłoby nie teraz!

Tratwa tymczasem płynie gładko, bez wstrząsów, nie rozbija fali, jest jakby przyklejona do nurtu. Każdy kawałek papieru, każdy odpadek jedzenia, wyrzucony za burtę, towarzyszy nam kilometrami. Gdy patrzymy na balsę wystającą się nam, że stoimy w miejscu, gdy jednak przenosimy wzrok dalej przekonujemy się z jak zawrotną szybkością mijamy brzegi rzeki.

Jak dotąd spływ odbywa się spokojnie, bez wrażeń. Otoczenie nie wygląda wprawdzie zbyt sielankowo, daleko mu jednak do wymagowanej przeze mnie grozy. Dzielę się wrażeniami z Telesforem. Wyczuwa moje rozczarowanie. Słucha cierpliwie aż skończę, potem spokojnym głosem jak profesor *ex cathedra*, tłumaczy:

— *Esto es la primeiro impresion*, Señor. Maranion jest kapryśny i zwodniczy jak kobieta. Zresztą, przekona się pan niebawem.

Ciekawe, że Aguarunowie i ich bracia z cywilizowanego świata mają podobną opinię o rodzie Ewy, oczywiście, nie rzeki.

Przed nami pongo Suspiro. Zapowiedź Telesfora przerywa wątek myśli. Koncentruję wzrok na masie skał wrzynających się prawie do połowy i w tak już wąskie koryto rzeki. Część nurtu wali o skały, rozbija się, kotłuje i we wściekłym skręcie pcha główny nurt pod przeciwległą ścianę głębokiego wąwozu. W kilka sekund jesteśmy blisko skał. Tratwa wykonuje zwrot i z gracją, jak baletnica w tańcu, sunie naprzód omijając groźną przeszkodę. Och, zrobiło się lżej na sercu! A wydawało się, że już nieodwołalnie nastąpi zderzenie. Strach i westchnienie ulgi — wszystko to odbyło się w ułamku sekundy.

Telesforo spojrzał na mnie z boku, uśmiechnął się.

— A widzisz? — mówi wzrokiem czego nie wypowiedziały usta.

Tym razem pongo nie było wcale groźne — wyjaśnia. W czasie wysokich wód, jak obecnie, nie następuje ono trudności, jest prawie łagodne. Staje się niebezpieczne, gdy wody są niskie. Wąskie koryto przemienia się wtedy w naturalną pułapkę: prąd spycha i rozbija tratwy o skalną ścianę wąwozu. Zginął tu niedawno włoski podróżnik próbując przepłynąć pongo motorówką. Nurt porwał łódź i strzaskał o skałę, grzebiąc nieszczęśliwca w czeluściach wodnych. Fakt ten podkreśla zatem słusz-

ność twierdzenia tubylców, iż pongos są możliwe do sforsowania jedynie przy pomocy starego środka transportowego Aguarunów, tratwy.

Nie ulega wątpliwości, że Maranion jest jedną z najbliższych, nieproduktywnych i najmniej dostępnych rzek na świecie. Od źródeł i dalej na przestrzeni prawie tysiąca km, płynąc na północ, walczy bezustannie z masą skalną. Na wysokości Bela Vista płynie w przybliżeniu na 2.000 m nad poziomem morza skręca na wschód, przedziera się przez Kordyliery i na przestrzeni 300 km zniża się do poziomu 400 m zrozumiałe zatem, że szybkość nurtu jest duża, jest to gwałtowny prawie spad wody. W okolicach zaś pongos szybkość prądu zwiększa się dwukrotnie czy nawet trzykrotnie. Deszcz w górach lub w okolicach dopływów Maranionu powoduje natychmiastowe podniesienie się poziomu, większy wylew rzeki. Tam zaś gdzie Maranion natrafia na biegnące poprzecznie zbocza górskie, tarasujące drogę, poziom podnosi się nagle, a wody poszukujące ujścia torują sobie przejście, przedzierając się siłą przez napotkaną gardziel. W zależności od budowy koryta, poziomu wody w stosunku do poszczególnych pongos przez niektóre z nich łatwiej przepłynąć w czasie wysokich wód, gdzieś tam zaś wyższy poziom powoduje groźne niebezpieczeństwo, że zaś w ciągu doby wysokość wód ulega nieraz gwałtownej zmianie więc nigdy nie wiadomo (z wyjątkiem pongo Mancheriche) czego należy oczekiwać.

Płyniemy w dalszym ciągu w cieniu stoków kanionu. Czasem tratwa robi zwrot o 360 stopni, wpadamy w wiry, przepływamy je. Z aparatem w ręku przesuwać się wzdłuż pała. Utrzymanie się w pozycji siedzącej staje się coraz trudniejsze. Balsa ma swoje wahania, a my wraz z nią.

Naraz Telesforo podnosi się, wskakuje na skrzynię z bagażem, po wyrazie twarzy widać, że stało się coś ważnego. Ruchem ręki wskazuje Cumanche odległy punkt. Zamieniają szybko kilka słów w języku aguaruna, potem obaj chwytają za krótkie wiosła i zaczynają wiosłować jak szatany. Zmieniają wyraźnie bieg tratwy. Chcą zboczyć w lewo, nie idzie to łatwo.

— Agarra los palos — krzyczy Cumanche.

W przelocie miga mi przed oczyma niezwykle obraz. Maranion w odległości 100 m skręca gwałtownie w prawo; tuż przed wirażem rozłożyła się pośrodku nurtu czarna skorupa skały, za nią w prawo sterczy następna wyższa. Część nurtu wali jak przez bramę, przedziera się, kotłuje. Bliżej lewego brzegu, wysunięty bardziej do przodu, matowiejsze grzebienie porohów. Odbici od prawego brzegu wpadamy na środek rzeki, pędzimy ukosem po gładkiej tafli nurtu, mijamy skałę po lewej ręce. Szybkość wzrasta prawie z każdą sekundą, tratwa już nie płynie, leci jak zważowana po ciemnobrunatnej wstędze prześliczających się warstw wody. Z obu stron kłębią się szerokie pasy wirów.

Leżymy na brzuchach, wygięte nogi szukają oparcia. Dłonie obchwytną kurczowo pale, przyciskamy się do tratwy, płaszczyzny, chcąc się z nią złączyć w jedną nierozdzielalną masę. Prąd szaleje, skręca się, strzela w gwałtownych zygzakach, rzuca balsa jak łupiną. Czujemy się jak na grzbiecie gigantycznej ana-

kondy rzucającej się z wściekłością, aby pozbyć się przytłaczającego ją balastu.

Nagły wstrząs. Spadamy w kotłującą się masę wirów, wał wodny przykrywa nas całkowicie. Balsa wpada w trans. Wydaje się, że wiązania rozlecają się, a pale rozsypią jak zapałki. Szatańska karuzela zatacza jedno, drugie, trzecie koło, aby w końcu rzucić nas pod wystające skały. Porywa nas wir nowy, szarpie, szamocze tratwę, zatacza łuk i wylatujemy jak z procy na środek głównego prądu.

Mijamy dalszy zakręt, jeszcze jedno niewielkie **pongito**, a na balsie wciąż panuje cisza. Minione niebezpieczeństwo posmak nieoczekiwanej katastrofy pozbawiło wszystkich języka. Rozluźniają się pomatu palce, obchwytnące pale tratwy, wraca normalny oddech.

Telesforo, przykucnięty, bez ruchu, zapatrzony w rzekę, nie wiadomo, czy mówi coś do nas, czy też się modli głośno do Maranionu.

Wyjaśnia, jakby usprawiedliwiać się, że wiadomo gdzie się dane pongo znajduje, ale nigdy nie wiadomo jak zareaguje. Czasem spokojne, łaskawe jak przyjaciel, przenosi balse bez przeszkód, innym zaś razem, prawie bez przyczyny miota się w straszliwej złości, chce zniszczyć wszystko na swojej drodze. Zachowanie się ostatniego ponga, które mineliśmy, stanowiło dla obydwóch **bogów** zaskoczenie i obecnie, wychodząc z założenia, że nic się nie dzieje bez przyczyny, szukają wytłumaczenia w nadprzyrodzonych siłach.

Co do mnie to sędzę, że wskutek gwałtownego przyboru wody rozszerzyło się koryto rzeki, zagarniając sterczące na brzegu grupy skalne. Stworzone w ten sposób nowe zapory rozdarły i jednocześnie podzieliły nurt główny na dwie osie, z których prawa, przedzierając się przez wąski kanał pomiędzy skałami, wykluczała możliwość przepłynięcia tratwą. Zostałaby zdruzgotana w mgnieniu oka. Na szczęście zniosło ją lewą, szerszą stronę nurtu, skierowało między główną skałą, a porohy. W miejscu zaś w którym obie części nurtu łączyły się ponownie, wpadający z lewej strony dopływ Maranionu wytworzył pamiętny ów wir, karuzelę.

Mimo wszystko losy były dla nas łaskawe.

(D.c.n.)

Uwagi:

1. Gentlemen do you have anything against this lady?
Czy dżentelmeni mają coś przeciw tej pani?
2. In contrary, Sir, we admire your taste.
Wprost przeciwnie, podziwiamy pański gust.
3. Hey, Bob, what is your nationality?
Jakiej pan jest narodowości, Bob?
4. The whole bloody World is my Country.
Cały zasn... świat jest moją ojczyzną.
5. D'on worry!
Nie obawiaj się.

PLASTYKA

SZTUKA POLSKA NA TEGOROCZNYM BIENALE

W SÃO PAULO

Sztuka polska na tegorocznym Biennale jest reprezentowana przez 12 artystów, z których większość ukończyła studia już po wojnie. Jak zwykle mamy przedstawicieli różnych technik i różnych kierunków (malarstwo olejne, akwarele, grafika, tkaniny).

Każdy z wystawiających w tym roku artystów ma już za sobą szereg wystaw indywidualnych w Polsce, wszyscy też brali udział w zbiorowych wystawach zagranicznych. Prace niektórych znajdują się już w muzeach sztuki nowoczesnej nie tylko w Polsce, ale i w Niemczech, Szwecji, Norwegii i w zbiorach prywatnych w Stanach Zjednoczonych.

W dziale sztuki stosowanej w pełni zasłużoną nagrodę otrzymała **Magdalena Abakanowicz**, absolwentka warszawskiej A.S.P. Jej pięć monumentalnych dywanów-obrazów, noszących imiona kobiece: *Andromeda*, *Anna*, *Kleopatra*, *Donata* i *Helena* to przykład nowego sposobu traktowania tkaniny. Artystka sama wykonuje pracę ręczną (tkacką), używając różnych materiałów, różnej grubości (wełna, sznur lniany i konopny, czasem nawet jedwab i wełna czesana) przez co stwarza ciekawą i bardzo zróżnicowaną fakturę, stającą się elementem kompozycyjnym. Koloryt ciemny, dużo czerni, rozmaite odcienie szarości, biel i ciepły, głęboki brąz. Wyczuwa się ogromny dynamizm i napięcie dramatyczne tych kompozycji, które mimo to nie są męczące wskutek czego można je z przyjemnością umieścić w każdym wnętrzu.

Tkaniny **Jolanty Owidzkiej** (A.S.P. w Warszawie i Krakowie) o równie ciekawej i zmiennej fakturze są utrzymane w tonach zimniejszych (barwa ciemnoniebieska, biel, ugiel), dzięki czemu wydają się "gładsze" i spokojniejsze.

Duże zaciekawienie wzbudza wystawa 20 akwarel **Nikifora** (kolekcja prywatna Kulisiewicza). Nikifor liczący obecnie około 70 lat jest na pewno naszym najautentyczniejszym malarzem prymitywnym. Małe obrazki malowane często na złym papierze znane już są amatorom i kolekcjonerom w Rzymie, Paryżu, Londynie i Nowym Jorku (wszędzie tam były organizowane wystawy Nikifora).

Znają Nikifora wszyscy bywalcy Krynicy. Można często kupić bezpośrednio od niego świeżo ukończoną akwarelę, czasem podpisaną: *Matejko*.

Najczęściej powtarzającym się tematem Nikifora są pejzaże miejskie, stacje kolejowe małych miasteczek, tunele, mosty, szyny, wiadukty, linie i słupy telefoniczne. Albo wyraźnie bizantyńskie w formie tematy religijne: cerkiewki, święci, poprzeczne przekroje kościołów, przedzielonych horyzontalnie na "piętra" — w dole modlący się przed ołtarzem biskupi, na górze Chrystus w majestacie, otoczony brodatymi apostołami i świętymi. Przenikająca się stale cudowność świata zaziemskiego z rzeczywistym, realnym pejzażem. Ogromna intuicja koloru i kompozycji, ogromna naiwność i świeżość, a przy tym dużo logiki i konsekwencji — wszystko to stwarza własny, nie nadający się do sfalszowania styl i świat Nikifora.

Najciekawsze w dziale malarstwa olejnego są obrazy **Jana Tarasina** (krakowskie A.S.P.). Jego jakby bardzo odległe pejzaże dziwnymi znakami i plamami, wyraźnie odcinającymi się od tła, utrzymane w chłodnym i bardzo delikatnym kolorystyce, można by nazwać abstrakcyjnym liryzmem. Pamiętam olejne pejzaże Tarasina z wystawy na Łobzowskiej w Krakowie. Te, oglądane obecnie na Bienale, są może mniej dynamiczne, dużo spokojniejsze i dojrzałe.

Kiejstut Bereźnicki (Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Gdańsku) jest malarzem figuratywnym. Martwe natury, portrety, akty, wszystko, w przytłumionej, zgaszonej, ciemnej gamie kolorystycznej. Natłoczenie i uduśnienie najbanalniejszych i najcodzienniejszych przedmiotów stwarza w jego obrazach wrażenie groteskowej cudowności i niepokoju przy bardzo prostej niemal hieratycznej, kompozycji.

Zbigniew Gostomski (A.S.P. w Warszawie) reprezentuje zupełnie odmienny kierunek. Można by to nazwać czysto formalnymi próbami rozwiązania kompozycji artystycznych w oparciu o prawa geometryczne i wrażenia optyczne. Wydaje mi się, że właściwym i najistotniejszym elementem konstrukcyjnym tych kompozycji jest światło i różnice jego nasilenia w poszczególnych częściach "obrazu", przestrzeni wypełnionej geometrycznymi, reliefowymi, białą-czarno-srebrzystymi formami, zmniejszającymi się i rosnącymi. Kompozycje te są ostre, wyraźne, czyste i zimne.

Podobnie trudno by było nazwać obrazami duże kompozycje **Władysława Hasióra** (A.S.P. w Warszawie). To chyba typowe *l'art de l'assamblage*. Laleczki z celuloide, drewniany konik, kawałki szkła i luster, wycinki gazet, samolociki przecinające niebo i jakieś dziwne, powykęcane fragmenty metalu, wywołujące reminiscencje wojny i gruzów — wszystko to służy stworzeniu tragicznych w wyrazie i bardzo literackich (dużo bardziej, niż malarskich) kompozycji o dość wymownych tytułach: "Rozbite niebo" "Upadek aniołów", czy "Trzęsienie nieba".

Wojciech Sodley (Architektura Wnętrz i A.S.P. w Warszawie) nie nawiązuje chyba do żadnych tradycji. Jego kompozycje mogą sugerować jakiś atawistyczny kult trofeów łowieckich. Ciekawe i ładne połączenie surowych albo bardzo delikatnie kolorowanych skór, powiązanych ze sobą metalowymi klamrami, rzemieniami, grubą siecią, zakończone zwisającymi, długimi frędzlami z kolorowych sznurów, drewnianych kul i malutkich

dzwoneczków — wszystko to razem stwarza trochę dziwne i trochę bajkowe kompozycje dekoracyjne.

Dział grafiki reprezentuje trzech artystów.

Janina Kraupe (A.S.P. w Krakowie) wystawiła cykl kolorowych linorytów, bardzo delikatnych i "wrażliwych", stanowiących coś nieuchwytnego między jakimś nie istniejącym alfabetem, czy zapiskami muzycznymi. Znaki-symbole, egzotyczne litery, hieroglify to jakby próba przetransponowania wrażeń muzycznych na język graficzno-malarski, wrażliwy i liryczny, podany w pięknej formie kompozycyjnej i kolorystycznej.

Tadeusz Jackowski (A.S.P. w Paryżu i Krakowie) stosuje technikę akwatynty. Jego cykl ciemnych pejzaży ze skoncentrowaną w jednym punkcie i w jednym fragmencie, wydobytym z ciemności, plamą światła jest sugestywny i bardzo poetycki.

Andrzej Pietsch (krakowska A.S.P.) wystawił cykl pejzaży górskich i głów, wykonanych także techniką akwatynty. Jego grafiki są suchsze, ostrzejsze i bardziej dynamiczne.

Na trzecim piętrze w dziale teatru zwracają z daleka uwagę barwnością i świeżością polskie stroje ludowe (z zespołu tanecznego "Mazowsze") bardzo starannie wybrane, niektóre może mało znane, nawet w Polsce. Zachwycają kolorytem, bogactwem i różnorodnością wzorów, ilością drobnych, ślicznie wykonanych detali i szczegółików w postaci koronek, wstążek, zapinek i haftów.

A obok bardzo ładna "szopka krakowska" i gwiazda kołędnicza, wynik wznowienia starych tradycji i związanych ze świętami Bożego Narodzenia konkursów dla domorosłych artystów krakowskich, wystawiających żmudnie i precyzyjnie sklejone z tekturek, kolorowych bibułek i błyszczącego papieru, szopki na Rynku przed Sukiennicami.

Szkoda tylko, że nie pomyślano o umieszczeniu jakichś, choćby najogólniejszych, informacji dotyczących tej tradycji, zupełnie przecież obcej dla publiczności brazylijskiej. Przydało by się to i przy akwarelach Nikifora, ułatwiało zrozumienie i zwiększało zainteresowanie wystawą.

E.

NOTATKI Z WYSTAWY TADEUSZA KULISIEWICZA

Tadeusz Kulisiewicz, wychowanek warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, uczeń W. Skoczylasa, a obecnie profesor tej samej Akademii, rozpoczął swoją karierę artystyczną od drzeworytu (niewątpliwie pod silnym wpływem Skoczylasa). Z biegiem czasu rezygnuje jednak z drzeworytu na rzecz rysunku, dającego większe możliwości ekspresji, wprowadzając często kolorową linię lub kolor, zawsze jednak zupełnie podporządkowany rysunkowi.

Znamy już z VI Bienału z São Paulo (r. 1961) jego cykl: "Meksyk", wyróżniony Wielką Nagrodą za najlepszy rysunek.

Obecna wystawa, zorganizowana w Museu de Arte Contemporânea w São Paulo, ukazuje dwa cykle rysunków Kulisiewicza: "Laguna wenecka" i "Brazylia".

"Laguna wenecka" powstała w latach 1958-61, "Brazylia" zaś to plon podróży artysty do Ameryki Południowej w r. 1962.

Każdy z cyklów rysunkowych Kulisiewicza ma bardzo wyraźny i odrębny charakter, każdy jest dalszym poszukiwaniem wyrazu i formy i dalszym etapem rozwoju artystycznego.

W 15 czarno-białych rysunkach piórkiem "Laguny weneckiej" powtarzającym się tematem są łodzie rybackie, suszące się sieci, ławice ryb i muszle widoczne pod wodą, flotylle łodzi wypływających na połów. Przy bardzo oszczędnej technice Kulisiewicz umie osiągnąć ogromną ekspresję wyrazu. Lekka kompozycja rysunku, pełnego światła i powietrza, płynność i nerwowość linii to pełen poezji język graficzny, jakim przemawia artysta do widza.

Dużo ciekawszy i dojrzalszy jest cykl "Brazylia", składający się z 45 kolorowych rysunków. Temat — to jak zawsze u Kulisiewicza — podpatrzone i chwytane na gorąco migawki z życia: miasta, ulicy, — sylwetki ludzkie, fragmenty pejzażu i architektury. Mocna, bardziej geometryczna i może nawet bardziej statyczna kompozycja, pewna rezygnacja z lekkości linii graficznej na rzecz koloru, przenikanie się wzajemne planów i płaszczyzn kolorystycznych, traktowanych po raz pierwszy nie tylko jako funkcja światła, ale i jako element konstrukcyjny — to wszystko wzbogaca, uwypukla i wypełnia tak zawsze oszczędna, często nawet symboliczna kompozycja graficzną obrazu.

Wyda mi się, że koloryt pejzażu brazylijskiego urzekł artystę, barwa nadaje charakter i klimat wszystkim rysunkom. Nasycone słońcem stare miasteczka z Minas Gerais, barokowe fasady kapliczek, maski karnawałowe, znowu rybacy i łodzie żaglowe, "capoeira" i makumba, parańskie piniory, pejzaż górski, czy wyrzucane do góry białe nowoczesne gmachy nowej stolicy — wszystkie te kompozycje, pełne ekspresji i poezji, przemawiają do nas barwą zdecydowanym mocnym rysunkiem i świetną budową.

Kulisiewicz ma już za sobą ogromny dorobek artystyczny — powojenne cykle: "Ruiny Warszawy", "Bohaterowie", wykonane pod bezpośrednim wrażeniem zniszczeń i dramatu wojny, zbiór rysunkowych notatek teatralnych, świetne cykle: "Indie" i "Meksyk". W tym ostatnim wprowadzał już kolor i bardzo ładną i ciekawą fakturę. Z innych cyklów zasługuje na uwagę szereg rysunków i drzeworytów ze Szlemborka.

Ostatni cykl "Brazylia", wzbogacony i bardziej ekspresyjny, jest dalszym etapem rozwoju środków wyrazu i osiągnięć artystycznych Kulisiewicza.

Z KRONIKI KULTURALNEJ

SÃO PAULO

Z ŻYCIA S.P.K.

Od ostatniego sprawozdania o działalności Koła S.P.K. w São Paulo, zamieszczonego w numerze 3 "Skarpy", mamy do zanotowania ważny fakt, stanowiący dalszy etap w drodze do uzyskania największych przywilejów dla polskich b. wojskowych, którzy walczyli w szeregach alianckich. Jak zobaczymy dalej, fakt ten może przynieść korzyści pośrednio i całej Polonii brazylijskiej.

Oto na skutek inicjatywy i przy gorącym poparciu prezesa Ex-Kombatantów Brazylijskich Stanu São Paulo, prof. N. Pithan-e Silva i deputowanego stanowego, prof. Solona Borges dos Reis, też kombatanta, który wniósł ten projekt na plenium Assembléia Legislativa (Parlament Stanowy) w dn. 23.6 uchwalił ustawę nr 8.792, przyznającą naszemu Kołu prawa instytucji użyteczności publicznej (utilidade pública). Ustawa ta została zatwierdzona przez gubernatora Stanu A. de Barros potwierdzona przez sekretarza sprawiedliwości, prof. amb. Ernesto de Moraes Leme i ogłoszona w Generalnej Dyrekcji do Spraw Rządu w dn. 24-6, a w Dzienniku Urzędowym (Diário Oficial) nr 116 dn. 25 czerwca br.

Jest to zdaje się pierwszy tego rodzaju przywilej uzyskany przez organizację polską w Brazylii. Należy podkreślić, że ze wszystkich licznych organizacji i kół wojskowych polskich w Anglii, tytuł użyteczności publicznej uzyskało tylko Stowarzyszenie Lotników za specjalne zasługi w obronie Anglii.

Umiejętnie wykorzystany przywilej ten może dać Kołu i jego członkom szereg korzyści (jak m. in. zwolnienie z podatków i opłat stemplowych, możliwość uzyskiwania zapomóg federalnych i stanowych), a także prywatnym firmom i osobom które te sumy mają prawo odciągać od podatku dochodowego itd. itd.

Jesteśmy przygotowani na to, że niektórzy rodacy, zwłaszcza spoza Koła powiedzą raz jeszcze: "Znow ta "tania aspiryna"! To nie cel stowarzyszenia kombatantów"! Wiemy, wiemy. "Nie samym tylko chlebem...". Nie będziemy tu powtarzać zamieszczonego w poprzednim numerze "Skarpy" argumentów, że utworzenie organizacji kombatanckich po I wojnie światowej na całym świecie miało i ma do dzisiaj na celu jedynie obronę interesów materialnych w swoich krajach tych b. wojskowych, którzy narażali swe życie w obronie ojczyzny. Jest to prawda nie podlegająca żadnej dyskusji. My tu na emigracji nie mamy takiego zaplecza jak nasi angielscy, francuscy czy amerykańscy koledzy ani rządu, od którego mamy prawo domagać się po-

mocy. Wprost przeciwnie, musimy jeszcze pomagać temu "rządowi". Musimy liczyć jedynie na samych siebie. A żeby skutecznie walczyć o swój byt i o nasze idee, musimy, niestety, mieć ku temu środki.

Ktoś z wielkich mężów stanu powiedział, że na prowadzenie wojny potrzebne są trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze i pieniądze. Ale i na pokój te same trzy rzeczy są nie mniej potrzebne.

Powiedzą nam na to, że najważniejszym zadaniem SPK jest walka o utrzymanie ideologii niepodległościowej i demokratycznej. Słusznie. Ale na propagandę takich idei, zwłaszcza wśród obcych, bo o takich nam przede wszystkim chodzi, potrzebne są środki materialne. Bo taki już jest ten świat. Środki i ludzie. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Zrobimy łatwe arytmetyczne obliczenie. Wojna wybuchła 26 lat temu, a zakończyła się lat temu 20. Jeśli weźmiemy przeciętny wiek tych co na nią wtedy poszli jako 25-cioletni młodzi ludzie, to liczą oni dziś sobie ponad 50-tkę. Ale to byli ci najmłodsi. A ile jest wśród nas takich, co liczą dziś sobie ponad 60-tkę i nawet 70-tkę? Czyż nie potrzebują oni w pierwszym rzędzie tej "taniej" aspiryny, której uzyskanie zarzucają nasi krytycy? I nie tylko aspiryny, ale wielu, wielu innych lekarstw na zdobyte na wojnie czy w czasie niej w obozach, zsyłkach i więzieniach reumatyzmy, wrzody żołądkowe, zawały serca i inne dolegliwości. Czyż nie najważniejsze są dla nich tanie szpitale, analizy, elektrokardiogramy? Nie będziemy zaglądali do kieszeni naszych członków, ale należy wątpić czy wśród nich są ludzie naprawdę bogaci w tutejszym tego słowa znaczeniu? Może jest ich na naszą setkę zaledwie kilku. A reszta to starsi już ludzie pracy, dla których te tanie lekarstwa, które udało się nam zdobyć, stanowią ulgę w ich skromnym budżecie, zwłaszcza, że wszyscy wiemy jakie drogie są u nas lekarstwa i lekarze.

Już dziś Koło nasze, rozporządzające bardzo małymi środkami, potrafiło pomóc kilku niezamożnym czy chorym kolegom lub uzyskać dla nich zapomogi od innych, pokrewnych organizacji wojskowych. Czyż fakt ten nie usprawiedliwia naszego istnienia i naszych dalszych starań o uzyskanie środków materialnych na ten cel? A zresztą nie jest to żadna tajemnica, że wśród naszych krytyków są tacy, którzy mimo szermowania platonicznymi hasłami, sami korzystają, zresztą zupełnie zasłużenie, z zapomóg innych organizacji wojskowych. Gorzej jest, gdy krytyki te pochodzą od tych co na wojnę nie poszli, a dziś zarzucają nam chęć pomocy tym, którzy na tej wojnie ucierpieli. A zresztą co tu mówić: art. II statutu SPK mówi wyraźnie w punktach c) i d), że celem organizacji jest m. in. w dziedzinie opieki społecznej — współdziałanie w roztaczaniu opieki nad członkami niezdolnymi do pracy, inwalidami, nieuleczalnie chorymi, starcami, wdowami i sierotami; a w dziedzinie gospodarczej: pomoc członkom w zdobywaniu odpowiednich warunków bytu i w zaspokajaniu ich potrzeb materialnych... I wreszcie p. a) — uzyskanie dla kombatantów polskich równych praw z kombatantami państw ich zamieszkania.

Jakże słuszny jest projekt rzucony przez jednego z kolegów z Rio, abyśmy Millenium utrwalił zakładając w Brazylii organi-

zacje w rodzaju "Beneficiência Polonêsa" która by zakupiła czy wybudowała dom dla starszych i chorych osób, czy to bezpłatny dla niezamożnych czy też za skromną opłatą dla lepiej sytuowanych. Mają tu taki dom Rosjanie, doskonale zorganizowany i urządzony, z opieką lekarską, dobrą kuchnią, ładnymi czystymi pokojami z łazienką. I to nie jeden ale dwa w pobliżu São Paulo. Czyż nas, tak licznych Polaków w Brazylii, nie stać na taki sam dom? To właśnie członkowie SPK w Anglii, Kanadzie, St. Zjednoczonych i innych ośrodkach emigracji, zamiast załamywać ręce, bawić się w patriotyczne deklamacje, czy rozdzierać jak Rejtan koszulę, zakasali rękawy i wzięli się do pracy, stwarzając sobie pozycję materialną, jakiej nie ma żaden inny naród na emigracji. I dziś SPK jest właścicielem domów, szkół, szpitali, hoteli, barów itd. itd. Dzięki temu zarówno władze tych państw i obywatele, Amerykanie, Anglicy i inni podziwiają ich i liczą się z nimi. I dziś mając ku temu środki mogą skutecznie prowadzić propagandę wolnej, demokratycznej i niepodległej Polski.

A my tu w Brazylii, jeśli zjednoczymy nasze wysiłki, jeśli komitety Millenium w całym kraju połączą się i postawią ten sam cel przyjsia z pomocą starym, schorowanym czy niedołężnym rodakom, stwarzając taki Dom, czyż nie będziemy mogli dopiąć tego celu przy pomocy organizacji kombatanckich w Rio, Kurytybie, Belo Horizonte, São Paulo? Mając przywilej użyteczności publicznej możemy wystarać się o środki na ten cel, organizować wolne od podatków koncerty, spektakle, prapremiery kinowe czy występy zespołów folkloru, choćby tak doskonałego jak "Juventus". Aby przywilej ten był rozciągnięty nie tylko na stan São Paulo, lecz na całą Brazylię, konieczne jest przeprowadzenie szeregu dalszych formalności.

A teraz chcemy poruszyć inny, także atakowany przez naszych oponentów, nie tylko z zewnątrz Koła ale i wewnątrz jego, problem. Jest to sprawa kwalifikacji potrzebnych do przyjęcia na członka zwyczajnego naszego Koła SPK. Kilku naszych kolegów jest zdania, że członkami Koła mogą być tylko tacy co z okrzykiem "hurra" szli na bagnety lub strzelali do wroga z czołgów, armat, bombardowali go z samolotów. Wskazuje to na nieznamość Statutu Głównego SPK dlatego uważamy za konieczne przytoczenie tu w całości jego rozdziału II - członkostwo SPK, art. III — przyjmowanie członków na str. 5:

§ 1. Członkowie SPK dzielą się na członków zwyczajnych, nadzwyczajnych, wspierających i honorowych.

§ 2. Członkiem zwyczajnym może być:

- a) Każdy żołnierz i były żołnierz PSZ;
- b) Polak, który bierze udział w walce emigracji o niepodległość Polski;
- c) obywatel polski, który brał udział w walce o niepodległość Polski;
- d) pracownik instytucji wojskowych oraz inna osoba która pracowała bezpośrednio na rzecz PSZ.

Statut ten został uchwalony większością głosów na VI Walnym Zjeździe SPK w Londynie, 15-19.8.1959 r. i jest stosowany bez żadnych sprzeciwów przez wszystkie koła rozsiane po całym świecie. A jeśli ktoś z członków uważa, że ten czy inny paragraf

statutu jest niewłaściwy ma prawo odwołania się do Walnego Zjazdu lub Rady Główniej SPK z propozycją jego zmiany lub całkowitego usunięcia.

Ale zastanówmy się czy podane wyżej kwalifikacje nie są słuszne? Ostatnia wojna była wojną totalną. Brała w niej udział i ucierpiała od niej nie tylko armia ale i cała ludność cywilna. Wiemy dobrze że setki tysięcy cywilnych, mężczyzn i kobiet, nie należących do armii a często do żadnej organizacji wojskowej, spontanicznie oddawały Polsce nieocenione usługi, a wielu z nich było bohaterami. Takimi były setki lekarzy cywilnych, którzy w okupowanej Polsce, zwłaszcza w Powstaniu Warszawskim, nie będąc nawet w AK, w najstraszniejszych warunkach opatrywali i operowali rannych, wnosili ich z walących się domów i grzebali zabitych. Takimi były tysiące kobiet, które karmiły, ubierały, opierały i opiekowały się żołnierzami AK nie mówiąc już o przenoszeniu rozkazów pod najostrzejszym ogniem. A przecie nie wszystkie z nich były oficjalnie w AK.

A ci lekarze, co w kacetach z narażeniem życia leczyli kolegów, wśród nich byłych żołnierzy, a później, po zakończeniu działań wojennych, robili to samo dla tych cieni ludzkich, którym udało się wyjść z nazistowskich kaźni? Czyż mamy im odmawiać prawa, tak ciężko zdobytego, do należenia na emigracji do SPK, które otoczyć ich opieką, pomoże materialnie i moralnie? I to wtedy, gdy umundurowani wojskowi mimo, że siedzieli po kancelariach z dala od frontu, lub w ogóle nie byli w armii, choć wojna skończyła się 20 lat temu, "robią karierę wojskową" awansując i dostając krzyże i medale wojenne, jak o tym doskonale pisał jeden z aktywnych oficerów lotnictwa w jednym z ostatnich numerów "Wiadomości" pt.: "Zabawa" (co za trafna nazwa!).

Oburzyła mnie do głębi pogardliwa uwaga jednego z kolegów o oddziałach PSK (Pomocn. Służba Kobiet). Nie uważał on nawet za konieczne przeczytać jak te dziewczyny, które przeszły piekło więzień, obozów i osiedleń sowieckich, z narażeniem młodego życia dowodziły w 2 Korpusie w transportówkach amunicję na pierwszą linię frontu. A są i tacy koledzy którzy... Nie, aż hadko pisać!

Jest do dyskusji np. kto się więcej przyczynił do angielskiego zwycięstwa pod El Alemein: załogi czołgów czy ci bezimienni kierowcy co dniem i nocą, padając ze zmęczenia, dowozili przez pustynię na plac boju wodę, benzynę i amunicję, bez czego najwięksi bohaterowie nic by nie zrobili?

Jakże daleko odbiega od tych pretensji, krytyk i zarzutów duch XI Zjazdu SPK w Kanadzie. Poświęcił on dużo uwagi sprawom pomocy inwalidom.

Z uchwał wewnętrzno-organizacyjnych w pierwszym rzędzie wymienić należy przyjęcie statutu kół młodzieży SPK rozwijających coraz szerzej i pomyślniej swoją działalność. Interesujące jest postanowienie, wprowadzone do Statutu SPK w Kanadzie, zezwalające członkom kół młodzieży po dośnięciu do 21 lat na wstępowanie do SPK w charakterze członków zwyczajnych".

Cytuję sprawozdanie z tego zjazdu kolegi z 2 Korpusu, T. Krychowskiego, zamieszczone w numerze 12 "Orla Białego".

Młodzież która już dziś nawet ma 21 lat, to ta która urodziła się już po zakończeniu wojny, a więc nie była w armii, a jeśli trzymała nawet karabin czy szabelkę, to tylko jako zabawki. Co za mądra uchwała: dzisiejsi członkowie zwyczajni SPK, uczestnicy I czy II wojny światowej, to jak już powiedzieliśmy, ludzie starsi. Wykruszają się, wymierają. Uchwała ta pozwala na stworzenie nowej, młodej kadry SPK, która po starszych obejmie spadek, materialny i ideologiczny. Czy i to nie przekona naszych krytyków?

Wiem, że pisząc to włamujemy się w otwarte drzwi, bo wszystko to jest zrozumiałe i jasne i nie podlega dyskusji. Nie pisałibyśmy, oczywiście, gdybyśmy się nie spotykali z tego rodzaju zarzutami, na szczęście nielicznymi. Piszemy i tłumaczymy bo nie chcemy wierzyć, że koledzy ci robią to przez przekorę lub dlatego, że sami nie należą do naszej organizacji, czy też nie stoją na jej czele. *Medice, cura te ipsum!*

Jota Pi.

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO W SÃO PAULO

Dzień Żołnierza Polskiego i 45-ciulecie zwycięstwa nad Armią Czerwoną był jak co roku uroczyste obchodzony przez tut. Koło SPK. W dniu tym o godz. 10-tej rano wobec licznie zebranych członków i sympatyków Koła, Zarząd złożył wieniec na pomniku Żołnierza Brazylii. Korpusu Ekspedycyjnego w II wojnie światowej. Następnie delegacja Brazylii. Związku Ex-Kombatantów z jego sekretarzem Francisco de Santos na czele, złożyła ze swej strony wieniec, na którego wstęde był napis: Żołnierzowi Wolnej Polski.

Po złożeniu wienców do zebranych przemówił w słowach zwiezłych i odbiegających od zwykłego szablonu płk. dypl. S.P. Koszutski, który, nawiązując do wypadków w tym dniu sprzed 45-ciu laty, 18-tej decydującej bitwy światowej, powiedział, iż historia ma swoje przyplwy i odpływy, tak że nie należy tracić nadziei, stojąc mocno na stanowisku zupełnej niepodległości Polski. Przemówienie to przetłumaczył w streszczeniu wiceprezes SPK, F. Piotrowski na język portugalski, po czym głos zabrał sekretarz Brazylii. Związku Ex-Kombatantów Fr. de Santos, oddając hołd bohaterskiemu żołnierzowi polskiemu, który uratował świat zachodni przed najazdem czerwonym i bił się w II wojnie światowej na wszystkich frontach, na lądzie, morzu i powietrzu.

O godz. 11-tej tegoż dnia w polskiej kaplicy kościoła N.S. Auxiliadora proboszcz tut. parafii polskiej ks. dr Antoni Łatka odprawił uroczyste nabożeństwo, na którym kazanie wygłosił przybyły niedawno z Kraju ks. W. Kosiorek. Usłyszeliśmy po raz pierwszy od kilkunastu lat kazanie nie tylko piękne i logicznie zbudowane ale, przede wszystkim, aktualne, jeśli chodzi o święto obchodzone przez Polaków w tym dniu 15 sierpnia. Ks. Kosiorek mówił nie tylko o Wniebowzięciu N. M. Panny, Królowej Korony Polskiej, która roztoczyła opiekę w tym dniu nad zwycięską armią, ale i o święcie żołnierza polskiego i o zwycięstwie nad bolszewikami.

Na nabożeństwie była obecna także delegacja kombatantów brazylijskich.

Machitis.

LISTY DO REDAKCJI

São Paulo, 19-10-1965

Szanowny Panie, Redaktorze,

W związku z doskonałym artykułem p. Miry Sławińskiej o zmarłym niedawno "apostole z Lambarena", dr Albercie Schweitzer'ze warto raz jeszcze (po raz pierwszy zrobiłem to w "Wiadomościach") przytoczyć opinię o nim biskupa z Point-Noir w Gabonie: "Jako muzyk jest on na pewno lepszy ode mnie. Jako teolog — jesteśmy warci siebie. Ale jako lekarz biję go na głowę". Jak wiadomo A. Schweitzer był doskonałym muzykiem, wirtuozem na organach. Skończył teologię i był pastorem luteranским. Ale jako lekarz stosował niesłychanie prymitywne metody leczenia, wówczas gdy najnowsze aparaty i instrumenty lekarskie, ofiarowane mu przez rzesze jego entuzjastów z całego świata, nigdy nie były przez niego używane i nawet rozpakowane, niszcząc w skrzyniach.

Powyższą opinię o dr Schweitzerze znalazłem w doskonałej książce małżeńskiej pary reporterów - globtrotterów, pisarzy i publicystów, Pierre'a i Renée Gosset: "L'Afrique, les Africains", w rozdziale pt.: "Charmant Gabon, comblé de dieux". Tą niezmiernie interesującą i aktualną książkę powinno się przeczytać. Powinni to zrobić, w pierwszym rzędzie, entuzjaści niepodległości afrykańskich plemion.

Jeszcze bardziej ciekawą i pouczającą książką z podróży tej pary pisarzy po azjatyckich sowieckich republikach jest "Les Russiatiques". Ma ona znamienity podtytuł: "L'empire de Tamerlan à l'heure de Kremenlin" (Imperium Tamerlana w godzinę Kremla).

Warto też przypomnieć, iż nie tak dawno londyńskie "Wiadomości" omówiły książkę Gerarda McKnighta, odbrazowiającą dr A. Schweitzera.

Łączę wyrazy poważania

Jerzy Pomian

SPIS RZECZY

ARTYKUŁY:

Seweryn A. Hartman: Maria Dąbrowska	str. 1 - 2
Mira Sławińska: Apostoł z Lambarene	" 3 - 6
Jerzy Pomian: Czarny tragik w Łodzi	" 16 - 18

OPOWIADANIA:

Henryk Przyborowski: Au clair de la lune	" 8 - 14
Seweryn A. Hartman: Ptaszek	" 20 - 22
Jan Krawczyk: Murzyn	" 23 - 34

POWIEŚĆ:

Sebastian Arhens: Niedaleko równika	" 56 - 94
---	-----------

REPORTAŻ:

Edmund Bielański: Bezkrzesne horyzonty	" 95 - 112
--	------------

KRYTYKA LITERACKA:

Stanisław Koszowski: Pod prąd	" 36 - 41
J.P.P.: Pamiętniki	" 41 - 43
J.P.P.: Terror i rewolucja	" 43 - 49
Jerzy Pomian: Nike i Skarabeusz	" 49 - 53
Seweryn A. Hartman: Adaptacja czy asymilacja?	" 53 - 55

NOTATKI:

Muzyka	" 55
Plastyka	" 113 - 116
Z kroniki kulturalnej São Paulo	" 117 - 121

Mirvaine

Relógios

ANDRÉ DE BAC
Sigand

FERO
F. E. Roskopf

ROSKOPF LEGÍTIMO
Patent

MIRVAINÉ
IMPORTAÇÃO LTDA.

Rua Cons. Crispiniano, 379 -
7.º and., conj. 701
Tel.: 35-38-46

São Paulo

EMPLAS

Indústria e Comércio
de Plásticos S/A

Brinquedos e artigos domésticos

Embalagens plásticas

para confeccões, produtos químicos,
alimentícios, e outros.

Rua Miller, 490

Tels.: 93-8939 — 93-4509 —

92-8001 — SÃO PAULO

LAMINAÇÃO DE ALUMÍNIO, CHAPAS, DISCOS,
ETC., EM TODAS AS ESPESSURAS E DUREZAS
— MATERIAL DE ALTA QUALIDADE PARA
TODOS OS FINS.

Laminação de metais

ELMET S. A.

ESCRITÓRIO E VENDAS:

— Rua Quirino de Andrade, 219, Conjunto 74.

— Telefone: 33-4936.

SÃO PAULO

Caldeiraria e Mecânica

INOX LTDA.



ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —

RESERVATÓRIOS — AUTOCLAVES —
CALDEIRAS — TANQUES — TACHOS



EQUIPAMENTO PARA INDÚSTRIAS

- ★ QUÍMICA — FARMACÊUTICA
- ★ GORDURAS — SABÕES
- ★ PERFUMARIAS — COSMÉTICOS
- ★ TEXTIL — TINTURARIAS
- ★ PAPEL — PAPELÃO
- ★ CONSERVAS — CHOCOLATES
- ★ CARNES — FRIGORÍFICOS
- ★ LATICÍNIOS — PASTEURIZADOS
- ★ BEBIDAS — DISTILARIAS
- ★ PLÁSTICOS — BORRACHA
- ★ TRATAMENTO DE ÁGUA

ESCRITÓRIO E FÁBRICA: Rua Oliveira Lima, 455 —

Cambucí — Fone: 35-4995 — SÃO PAULO

DELACO comércio e indústria S.A.

F **FORMICA**

laminados plásticos — chapas acrílicas "PLEXIT"
— adesivos especiais

TELEFONES:

32-1022 — 34-1246

LOJA E EXPOSIÇÃO:

rua consolação, 825 — SÃO PAULO

Elektryczne instalacje
przemysłowe

niskiego i wysokiego
napięcia

ELOBRA

OBRAS

ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 - 10.º
Conj. 103 — Tel.: 34-0806

São Paulo

**EMBELEZE
SEU LAR**

E VALORIZE SEU TV
TORNANDO-O
MODERNO,
FUNCIONAL
E AGRADÁVEL

Mesas

ELEM

para TV

Procure nas lojas
especializadas

E L E C T R O N

**MANUFATURA DE PRODUTOS
ELETRO-MECANICOS LTDA.**

Micromotores elétricos de qualquer tipo de 1/200 até 1/5 HP, também com redutor incorporado para qualquer demultiplicação

Caixa Postal, N.º 8982

Rua Indiana, 366 — Telefone: 61-9442

Brooklin Paulista Novo — SÃO PAULO-17

Indústria de Malhas Finas “ESLA” Ltda.

Rua Professor Lombroso 287/289 - Fone: 51-9267

End. Electr. “ E S L A N Y L ”

S Ã O P A U L O

Criações finas para senhoras e cavalheiros em fios tecturizados e naturais para todas as estações do ano.

COMPANHIA QUÍMICA
INDUSTRIAL DE
LAMINADOS



Składa wszystkim swoim
Klientom i Przyjaciółom
życzenia WES O Ł Y C H
ŚWIĄT i szczęśliwego
NOWEGO ROKU!

CONSTRUÇÕES
MECÂNICAS

Rozenowicz
Limitada

TRANSPORTADORES
ALIMENTADORES
ELEVADORES
PENEIRAS
MOINHOS DE MARTELOS
ESTRUTURAS METÁLICAS

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Caixa Postal, 11.912

S Ã O P A U L O

CONTITEC

CIA. CONTINENTAL TÉCNICA

Rury stalowe bez szwu,
ciągnione na zimno

4,0 do 50,0 m/m średnicy i
0,5 do 2,75 m/m grubości
ściany

*Rury bez szwu miedziane,
mostężne i aluminiowe.*

Praça Sta. Helena, 26
Caixa Postal, 8451
Fone: 63:6054

End. Telefónico

" C O N T I T E C "

S Ã O P A U L O

Tipografia Alada Ltda.

Rua Vitória, 237
Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

- Druki handlowe
wszelkiego rodzaju
- Zaproszenia na śluby
- Karty wizytowe
- Stemple

WYKONANIE SOLIDNE
I TERMINOWE

"PINTURAS LASOTA"

WYKONUJEMY PRACE MA-
LARSKIE KOŚCIOŁÓW I
KOLEGIÓW W INTERIORZE
STANU.

STEFAN J. LASOTA

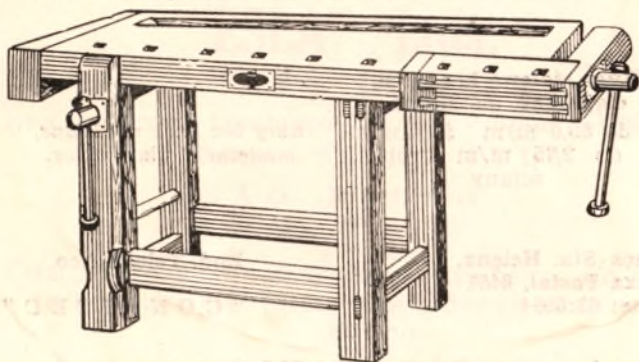
Rua Júlia da Costa, 1.171

CURITIBA — PARANÁ

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, - SÃO PAULO



Warsztaty stolarskie, modelarskie, dla ślusarzy, jubilerów
i innych zawodów. Instalacje przemysłowe. Wykonanie
specjalnych zamówień.

Na składzie dużo warsztatów gotowych.

PRODUTOS QUÍMICOS
“TANATEX” LTDA.

São Paulo

Escritório: Rua Álvaro de Carvalho, 118 cj. 503/4
Tel.: 36-4532 e 34-5061

PRODUTOS ESPECIAIS P/ PROCESSOS DIFÍCEIS
DE BENEFICIAMENTO

CARRIERS P/TINGIMENTO DE FIBRAS
POLIESTER ETC.

TANALON ESPECIAL

TANAPAL ME

TANAPON X-70

CAROLID

TANAVOL

ETC.

A black and white illustration of a woman with short, dark, wavy hair, looking out over a body of water. She is wearing a dark, long-sleeved sweater with a ruffled cuff on her left arm. She is standing on the deck of a ship, with the ship's rigging and masts visible in the background. In the distance, a large, rounded hill or island is visible on the horizon. The style is a classic fashion illustration with fine lines and shading.

Tricot-là

sweater
original

